BŁĄD RYDZYKA
Radio Maryja już nie łapie fali

DOMY ZŁE
Jak państwo zdradza dzieci

STANY DO ZMIANY
Demokracja silniejsza niż Trump

GŁOS W TAŃCU
Jakub Józef Orliński: talent do pracy

PRZEPROWADZKA
Wychodzimy od siebie, zostajemy sobą

Kraków 17 stycznia 2021 nr 3 (3732) cena 9 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

PROF. WOJCIECH SZCZEKLIK

Kiedy lekarz jest dobry

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

Podwójne wydanie specjalne ŚWIĘTO SPOTKANIA – do czytania i do słuchania!

Wydanie papierowe – ostatnie dni w sprzedaży!

Mistrzowskie teksty i rozmowy o byciu razem, wspólnocie, tęsknocie i... stole.

Do czytania – szukaj w sklepach z dobrą prasą i na powszech.net/swietospotkania, a do słuchania jako audiobook, w interpretacji znakomitych lektorów – tylko w aplikacji Audioteka.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

PARTNERZY WYDANIA

TYGODNIK POWSZECHNY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

ZAiKS

SOS WIOSKI DZIECIĘCE

Wrocławski Dom Literatury

PARTNER STRATEGICZNY:

audioteka

KS. ADAM

Boniecki: *Niebiański wynajem*

Pismem wysłanym 23 grudnia 2020 r. pan mecenas Krzysztof Mazur w imieniu Archidiecezji Krakowskiej, której jest pełnomocnikiem, przekazał nam (pocztą, która dostarczyła list 4 stycznia) oświadczenie, że Archidiecezja Krakowska wypowiada „Tygodnikowi Powszechnemu" Sp. z o.o. umowę najmu z zachowaniem trzymiesięcznego okresu wypowiedzenia i wzywa „Tygodnik Powszechny" do wydania lokalu w dniu zakończenia umowy. Poinformował też, że w sprawie wypowiedzenia kontaktować się można wyłącznie z nim, to jest z panem pełnomocnikiem. Wszystko więc *lege artis*.

Ten wigilijny list dotarł do nas niemal dokładnie w 75. rocznicę dnia, w którym adres „Kraków, ul. Wiślna 12" stał się adresem naszej redakcji (po raz pierwszy pojawił się w stopce „TP" z datą 27 stycznia 1946 r., wcześniej podawano adres: ul. Franciszkańska 3). Cóż, jesteśmy ludźmi w drodze i na ziemi żadne mieszkanie nie jest stałe. Co innego pamięć. Wspomnienie obecności „Tygodnika Powszechnego" na Wiślnej 12 pozostanie choćby dzięki wmurowanej przy wejściu do kamienicy i poświęconej przez kard. Franciszka Macharskiego tablicy ku czci Jerzego Turowicza. Ale nawet gdyby i ona zniknęła, to i tak ten adres, jako na zawsze związany z „Tygodnikiem", pozostanie w literaturze. Otóż kiedy w roku 1947 rozpętała się awantura z powodu książki Stefana Kisielewskiego „Sprzysiężenie" (dopatrywano się w niej pornografii), unieśmiertelnił ją w swoim wierszu Konstanty Ildefons Gałczyński. Utwór zaczyna się tak: „Posłuchajcie, ludkowie / Co się stało w Krakowie / Jakby na złość, naumyślnie, / na świętej ulicy Wiślnej / pod Nomerem Dwanaście. / Stał tam dom szanowany, / wciąż w niem grały organy, / czy to liryk, czy to technik / przed »Tygodnikiem Powszechnym« / kużden czapkę zdejmował". Ciąg dalszy, jak sądzę, znacie: pracujący wówczas w redakcji „TP" ks. Jan Piwowarczyk upomniał wtedy Kisielewskiego. „No, panie Kisiel, że pan pisze pornografię, to rozumiem, ale że taką nudną, to już jest niewybaczalne" – powiedział.

Prawda, „Tygodnik" jako lokator kurialnej kamienicy bywał kłopotliwy. Słyszałem, jak biskup Wojtyła po jakimś spotkaniu z redakcją i ataku Tadeusza Żychiewicza na hierarchów jęknął pod nosem, że „się chyba z tymi ludźmi nie dogada", ale nadal co miesiąc nas do siebie zapraszał i do redakcji nadal przyprowadzał ważnych gości z szerokiego świata. Zresztą, Wiślna 12 to było miejsce spotkań wielkich postaci historycznych, ludzi ciekawych, znanych i mniej znanych, świeckich i duchownych wszelkiej narodowości. Niestety nie prowadziliśmy księgi gości, więc tylko w pamięci można odnaleźć ich nazwiska.

Wymówienie „Tygodnikowi" umowy o najmie pomieszczeń ofiarowanych mu na początku przez arcybiskupa Adama Sapiehę – pomieszczeń, w których redakcja przeżyła rządy pięciu krakowskich metropolitów – poruszyło opinię publiczną. Pod naszym adresem spłynęły liczne listy (część z nich publikujemy na str. 37). Pojawiły się liczne propozycje pomocy. Spontanicznie rozpoczęto zbiórkę pieniędzy na pokrycie kosztów przeprowadzki i wyposażenia nowego lokum – operacji niełatwej, bo angażującej w środku pandemii kilkadziesiąt osób.

A my, nasz zespół? Jak co tydzień, zabraliśmy się do przygotowywania kolejnego numeru „Tygodnika". Po to jesteśmy i to jest dla nas *raison d'être*, gdziekolwiek się znajdziemy i jak długo będziemy mieli czytelników – to znaczy, jak długo będziemy potrzebni.

Słone rachunki za wynajem płaciliśmy sumiennie. Tak naprawdę jednak byliśmy na Wiślnej w poczuciu, że wynajmujemy ten lokal – dwa połączone kiedyś ze sobą mieszkania na pierwszym piętrze kamienicy – od duchów tych, którzy pracowali w nim przez długie dziesięciolecia przed nami, od naszej obecnie Niebiańskiej Redakcji. Staraliśmy się sumiennie odpłacać im za ten wynajem, wydając pismo. I zabierzemy ich ze sobą pod nowy adres, który niedługo sami wybierzemy. ©℗

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY

Zróbmy sobie miejsce!

Od 4 stycznia, czyli od dnia otrzymania wypowiedzenia umowy wynajmu redakcji na Wiślnej 12, płynie do nas od Państwa rzeka wsparcia, m.in. przez wykup prenumerat, e-dostępów, darowizny na Fundację TP (powszech.net/dar), wpłaty przez system mikropłatności FaniPay. Otrzymujemy od Państwa także wiele deklaracji pomocy: rzeczowej, technicznej oraz – finansowej. Widząc Państwa spontaniczne gesty pomocy, uruchomiliśmy zbiórkę celową, z której wpływy zostaną przeznaczone na nowe miejsce „Tygodnika" na mapie Krakowa. Zbiórka jest dostępna pod adresem **powszech.net/miejsce.**

„Tygodnik" jest suwerenny dzięki Czytelnikom. To Państwa domy są prawdziwą siedzibą „Tygodnika".

27 Świat mnie nie dogoni
KRZYSZTOF STORY
Gdybyś moje dzieci zapytał: „Czy mama jest w pracy?", powiedziałyby, że nie. Że jest w górach – opowiada Marta Krzeptowska, która od 17 lat prowadzi schronisko w Dolinie Pięciu Stawów Polskich.

38 Nosił wilk razy kilka
SEBASTIAN DUDA
Strategia ojca Rydzyka na pomnażanie politycznego i religijnego kapitału przestaje działać – kryzys Kościoła stał się zbyt poważny.

50 Stan wyjątkowy
MARTA ZDZIEBORSKA
Zamieszki w Waszyngtonie pokazały, jak groźna dla amerykańskiej demokracji jest powyborcza retoryka Donalda Trumpa.

72 Kroniki powrotów
ROZMOWA Z DEREKIEM GOWEM, ROLNIKIEM I PRZYRODNIKIEM:
Przywracanie bobrów w Wielkiej Brytanii było bardzo długą i zajadłą walką, która wcale się jeszcze nie skończyła. A my tych bobrów desperacko potrzebujemy.

78 Nie ma zmiłuj
ROZMOWA Z JAKUBEM JÓZEFEM ORLIŃSKIM, KONTRATENOREM:
Głos, który brzmi najpiękniej na ziemi, osiągamy trzy razy w roku, zwykle w ćwiczeniówce. Gdy nikt nas nie słyszy.

94 Dom od nowa
MARCIN NAPIÓRKOWSKI
Z punktu widzenia filozofii przeprowadzki życie jawi się raczej jako serial niż film. Opowieść się nie kończy – bo zadomowienie nigdy nie jest ostateczne.

JAN WIERZEJSKI / FOTONOVA // TYTUS ŻMIJEWSKI / PAP // PIOTR KAMIONKA / REPORTER // SIMONE CASETTA / ANZENBERGER / FORUM // GRAŻYNA MAKARA // WIN MCNAMEE / GETTY IMAGES

6 Szczepionka spod lady
MACIEJ MÜLLER

7-11 Obraz tygodnia

18-19 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
PIOTR SIKORA

KRAJ

20 Prawo i żywioł
KLAUS BACHMANN: *Jak szczepi się Polska*

24 Przeciw Kasandrom
KRZYSZTOF BIEDRZYCKI: *Nie ma powrotu do szkoły, jaką znaliśmy*

27 Świat mnie nie dogoni
KRZYSZTOF STORY

ROZMOWA

32 Domy złe
ROZMOWA Z ANNĄ KRAWCZAK, BADACZKĄ DZIECIŃSTWA:
Lubimy cytować Korczaka albo Jana Pawła II. Ale dzieci zdradzamy

37 Tygodnik Czytelników

WIARA

38 Nosił wilk razy kilka
SEBASTIAN DUDA

42 Osobowość totalna
STANISŁAW ZASADA:
O. Maciej Zięba odmienił polskich dominikanów. Ale jego styl nie wszyscy akceptowali

46 Środki nadzwyczajne
MARCIN CHODUŃ:
Czy tegoroczna kolęda to początek nowych tradycji w polskim Kościele?

ŚWIAT

50 Stan wyjątkowy
MARTA ZDZIEBORSKA

53 Milion w dwa tygodnie
INGA ROGG Z NAZARETU I JEROZOLIMY:
Żaden kraj nie szczepi się tak szybko jak Izrael

TEMAT TYGODNIKA

GRAŻYNA MAKARA

12 Kiedy lekarz jest dobry
ROZMOWA Z PROF. WOJCIECHEM SZCZEKLIKIEM, ANESTEZJOLOGIEM:
Pandemia postawiła nam przed oczami podstawowe zasady i wartości. Że styl życia jest kluczowy dla odporności. Że dewastacja środowiska jest zabójcza dla człowieka.

FELIETONY

31 DOROTA MASŁOWSKA **49** ZUZANNA RADZIK **66** ANDRZEJ STASIUK **92** JAN KLATA **93** PAWEŁ BRAVO **98** STANISŁAW MANCEWICZ **98** BARTOSZ MINKIEWICZ

OKŁADKA: PROF. WOJCIECH SZCZEKLIK
FOTOGRAFIA: GRAŻYNA MAKARA
Redaktor prowadzący: MAREK RABIJ

56 Kasjer Putina przejmuje klejnot Krymu
TADEUSZ IWAŃSKI: *Winnice i polityka*

58 Gdzie trzech się bije
ŁUKASZ GRAJEWSKI Z LIPSKA:
Jak toczy się walka o schedę po Merkel

HISTORIA

62 Wileńska krwawa niedziela
ZBIGNIEW ROKITA: *30 lat temu Gorbaczow chciał zatrzymać Litwinów*

POŻEGNANIE

67 Joachim Trenkner, przyjaciel z Berlina
KS. ADAM BONIECKI, WOJCIECH PIĘCIAK

NAUKA

68 Dobrze być kręgowcem
MAGDALENA KULMA
o adaptacyjnym układzie odpornościowym

71 Fabryka w komórce
ANNA BARTOSIK:
Co łączy drożdże i syntezę leków

Z ODDECHEM

72 Kroniki powrotów
ROZMOWA Z DEREKIEM GOWEM

KULTURA

78 Nie ma zmiłuj
ROZMOWA Z JAKUBEM JÓZEFEM ORLIŃSKIM

84 Wszystkie wcielenia rapera
JAN BŁASZCZAK: *Jak Daniel Dumile zrewolucjonizował hip-hop*

87 Koniec buziaczków
PIOTR TARCZYŃSKI: *Wiceprezydentki w Białym Domu i w Hollywood*

90 Częstotliwość drgań
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Cząstki kobiety" Kornéla Mundruczó*

92 Siła krótkiej prozy
LEKTOR *o „Opowiadaniach" Katherine Mansfield*

ZMYSŁY

94 Dom od nowa
MARCIN NAPIÓRKOWSKI

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Strona świata
Królowie, prezydenci, emirowie i szejkowie znad Zatoki Perskiej wypalili fajkę pokoju – o końcu trwającej prawie cztery lata zimnej wojnie państw Półwyspu Arabskiego przeciwko Katarowi pisze **WOJCIECH JAGIELSKI** **tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata**

Własny pokój [Podkast Powszechny]
O tym, jak w kobiecie tworzy się i umacnia niezależność – w pierwszym odcinku nowego cyklu **KATARZYNY KUBISIOWSKIEJ** opowiada **MIRA MARCINÓW**, filozofka i pisarka
powszech.net/podkast

/TYGODNIKPOWSZECHNY ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIK ▪ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

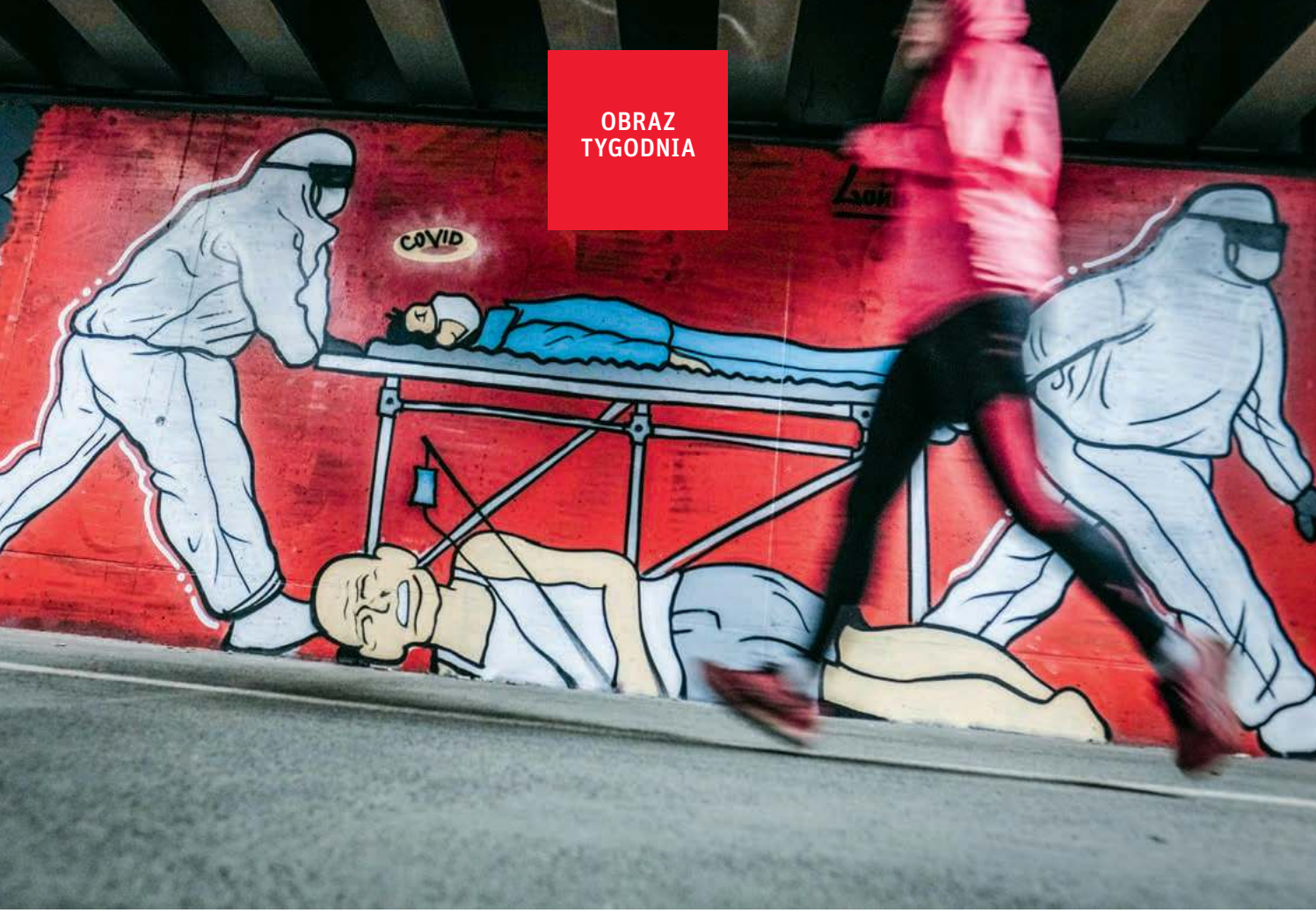

OBRAZ TYGODNIA

SZCZEPIONKA SPOD LADY

Nie wystarczy wskazanie winnych afery ze szczepieniem celebrytów. Jeśli chcemy uniknąć szukania dróg na skróty przez labirynt systemu, musimy zmienić całą filozofię jego działania.

MACIEJ MÜLLER

Mural pod wiaduktem kolejowym nad ulicą Hetmańską w Poznaniu. 9 stycznia 2021 r.

Nie kilkanaście, ale kilkadziesiąt osób ze świata sztuki i biznesu zaszczepiono poza kolejnością w Centrum Medycznym WUM w ostatnich dniach 2020 r. Afera zatacza coraz szersze kręgi. Aktorzy tłumaczą, że zaproszono ich do akcji promującej szczepienia, zdymisjonowana prezeska szpitala – że NFZ i Agencja Rezerw Materiałowych sugerowały im szczepienia osób poza „grupą zero", by nie zmarnowały się dawki; obie instytucje kategorycznie temu zaprzeczają.

Gdy okazuje się, że ludzie znani i bogaci mają przywilej wcześniejszego przyjęcia szczepionki, oburzenie opinii publicznej jest słuszne i zrozumiałe. Skupienie na tym przypadku nie pozwala jednak dostrzec problemów znacznie poważniejszych. W zeszłą sobotę zaszczepiono w Polsce 1235 osób z „grupy zero". Wbrew rządowej narracji akcja postępuje w bardzo nierównym tempie i co rusz się potyka. Ściśle scentralizowany system dystrybucji domaga się uelastycznienia: preparaty są rozwożone do szpitali węzłowych tylko raz w tygodniu. W niektórych z nich w czwartek-piątek nie było już czym szczepić. Pod względem liczby zaszczepionych Polska na razie nie odstaje bardzo na tle Europy, ale wkrótce możemy zostać w ogonie. Memento dla polskiego rządu powinny stanowić wyniki Izraela, który zaszczepił już ponad 20 proc. populacji (prezydent Czech

ostatnio poprosił Izraelczyków o doradztwo). Polska ledwo przekroczyła pół procent.

Tymczasem wzbiera trzecia fala zachorowań, która może wykoleić akcję szczepień. Zadaniem rządzących jest taka organizacja logistyki, żeby Polska jak najszybciej dobiła do poziomu 60-70 proc. uodpornionej populacji. To wyścig o zdrowie i życie setek tysięcy Polaków. A także wyścig z państwami, które dzięki skuteczniejszej akcji będą mogły wcześniej niż my otworzyć swoje gospodarki.

Afera celebrycka przypomniała też o innym problemie: w polskim systemie ochrony zdrowia korzystanie ze znajomości – na oddziale szpitalnym, w gabinecie dyrekcji, w samorządzie – jest chlebem powszednim pacjentów. Tajemnicą poliszynela jest, że kolejki raportowane do NFZ mają niewiele wspólnego ze stanem faktycznym. I że czas oczekiwania na operację można skrócić, odbywając kilka wysokopłatnych wizyt w prywatnym gabinecie ordynatora. Kilka lat temu jedna z organizacji pacjenckich, Porozumienie 1 Czerwca, opublikowała poradnik, który głosił: zapomnijcie o uprzejmości, nie dajcie się odesłać, a nade wszystko korzystajcie ze znajomości, jeśli tylko je macie, bo system oparty jest na uznaniowości. Mimo że każdy rząd uważa kwestie ochrony zdrowia za priorytet, sfera ta jest niedofinansowana i niepoddawana istotnym reformom. System „nie widzi" pacjenta, ponieważ nie został skonstruowany z myślą o nim, tylko o rozliczeniach NFZ ze świadczeniodawcami (więcej: powszech.net/piramida). Jeśli chcemy uniknąć szukania dróg na skróty przez labirynt systemu, musimy zmienić całą filozofię jego działania. Tu nie wystarczy wskazanie winnych afery w CM WUM.

Nadzieję budzi gwałtowny wzrost liczby chętnych na przyjęcie szczepionki: wskaźnik ten wg badania United Surveys dla RMF i „DGP" sięga 70 proc. (wzrost o 25 pkt. proc. względem listopada). Jeśli ktoś naprawdę planował akcję promocyjną z udziałem szczepionych celebrytów – plan spalił na panewce. Ale „afera celebrycka" ma przewrotną puentę: ucichła narracja grup antyszczepionkowych, a narodowe oburzenie dotyczy dzisiaj tego, że ktoś chciał się wepchnąć do kolejki po trudno dostępne dobro. ©℗

PIOTR SKÓRNICKI / AGENCJA GAZETA

Trzech Króli, jeden Stoch

TURNIEJ CZTERECH SKOCZNI po raz trzeci w karierze wygrał Kamil Stoch. Tym razem sukces nadszedł równie niespodziewanie, co śnieg w Madrycie. 28 grudnia cała polska reprezentacja została bowiem wykluczona z pierwszego konkursu w Oberstdorfie – a zatem pozbawiona szans w TCS – po niejednoznacznym wyniku testu na koronawirusa u Klemensa Murańki. Wiarę w pomyślny obrót sprawy stracili eksperci i dziennikarze. Ale nie utracił jej Stoch. Gdy rano w dniu rozpoczęcia turnieju kolejne testy przyniosły negatywne wyniki u wszystkich skoczków, a wraz z nimi zmianę decyzji niemieckiego sanepidu, zamieścił na swoim Instagramie grafikę z trzema królami i gwiazdą betlejemską, podpisując ją: „Przecież to czas cudów. Wszystko się może zdarzyć".

I się zdarzyło: polscy skoczkowie dostali skrzydeł. Ubiegłoroczny triumfator Dawid Kubacki wygrał jeden z czterech składających się na cały turniej konkursów, bijąc rekord skoczni w Garmisch-Partenkirchen. Aż czterech Polaków znalazło się w pierwszej szóstce klasyfikacji generalnej. Ale to Stoch rósł z konkursu na konkurs, wygrywając z rywalami spokojem głowy i lekkością ciała.

LISI NIESNER / REUTERS / FORUM

6 stycznia w Bischofshofen odebrał statuetkę złotego orła, dokładnie 20 lat po tym, jak Adam Małysz wygrał TCS jako pierwszy Polak. Od tamtego czasu nasze emocje wokół dosyć niszowej dyscypliny sportowej nieco okrzepły, ale Trzech Króli to w Polsce nadal święto religijne i świeckie, bo złoto przynoszą także Adam, Dawid i Kamil. Ten ostatni w sobotę zrównał się z Małyszem w liczbie 39 zwycięstw w Pucharze Świata. I leci dalej. Wirtualną linią, do której może doskoczyć, jest miano narciarskiego skoczka wszech czasów.

© BARTEK DOBROCH

MEN: na ostatni guzik. Dyrektorzy: guzik prawda

TO JEDNO JEST PEWNE: w poniedziałek ruszyły testy przesiewowe na obecność koronawirusa dla nauczycieli z klas I-III szkół podstawowych i specjalnych, a także pracowników administracyjnych. Badania – bezpłatne i dobrowolne – potrwają do piątku 15 stycznia. Akcja może objąć nawet 165 tys. osób. W miarę pewny jest także start akcji szczepień tej grupy zawodowej: zapisy mają się rozpocząć wraz z zakończeniem testów, bo nauczyciele – wraz z seniorami i przedstawicielami służb mundurowych – dostali się do tzw. grupy pierwszej.

Nie wiadomo wciąż najważniejszego: kiedy ruszy stacjonarna nauka w szkołach. Gdy zamykaliśmy to wydanie „TP", nie było nawet jasne, czy 18 stycznia – zgodnie z pierwotnym wariantem, teraz raczej mało prawdopodobnym – w ławkach zasiądą dzieci z klas I-III. Na pełen powrót do edukacyjnej normalności przyjdzie zapewne poczekać tygodnie, jeśli nie miesiące.

Stan przygotowań do tego procesu to dwie różne opowieści. Wedle rządowej wszystko jest – jak mówił minister Przemysław Czarnek – „dopięte na ostatni guzik", a najmłodsze dzieci mają się uczyć stacjonarnie w tzw. bańkach. Czyli w oddzielonych od siebie i zlokalizowanych w różnych częściach placówki salach, z różnymi pedagogami, którzy mają unikać wzajemnych kontaktów. I o różnych porach. Dyrektorzy szkół i pedagodzy odpowiadają zgryźliwie: w „bańce" – swojej „bańce komunikacyjnej" – przebywa sam minister. I pytają: co ze świetlicami, stołówkami, korytarzami? I z nauczycielami, którzy – jak np. angliści – muszą krążyć między klasami? Wielu z nich nie chce powrotu do stacjonarnej pracy przed zaszczepieniem większości pedagogów. A na to możemy poczekać jeszcze kilka miesięcy.

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Prezydent się poderwał

ANDRZEJ STANKIEWICZ

Na pierwszy rzut oka pierwsze weto prezydenta w nowej kadencji nie ma wielkiego ładunku politycznego – dotyczy ustawy o organizacji wewnętrznej rządu. Można byłoby nawet wierzyć, że Andrzejowi Dudzie nie przypadł do gustu pomysł, aby nadzór nad Lasami Państwowymi przeszedł z generalnie dość ekologicznego resortu środowiska do zazwyczaj bardziej utylitarystycznie nastawionego ministerstwa rolnictwa. Prezydent przebąkuje jeszcze, że nie podobał mu się mechanizm, który doprowadziłby do przyznania podwyżek sporej części wiceministrów.

Ale prawdziwy powód jest inny: Duda chce wstać z kolan. Zawetowana ustawa nie ma wielkiego znaczenia społecznego – jest za to kluczowa dla działania rządu. Bez niej nie można wprowadzić w życie jego zapowiedzianej we wrześniu struktury, z nowymi ministerstwami.

A zatem to jasny sygnał do centrali PiS. Jeszcze przed wetem prezydent stwierdził, że na stanowisku Rzecznika Praw Obywatelskich widziałby Jana Rokitę – czym odciął się od kandydata PiS, wiceszefa MSZ Piotra Wawrzyka.

Jednocześnie przebudowuje kancelarię, która nie grzeszyła do tej pory efektywnością. Doradcą rolnym Dudy został były minister rolnictwa Jan Krzysztof Ardanowski, wyrzucony z rządu za sprzeciw wobec „piątki dla zwierząt". Wcześniej doradcami prezydenta zostali znienawidzeni na Nowogrodzkiej były rzecznik PiS Marcin Mastalerek oraz były poseł PiS Łukasz Rzepecki. W ostatnich dniach na inne stanowisko został przeniesiony szef gabinetu prezydenta Krzysztof Szczerski. Zwany „wiceprezydentem", był uważany za źródło napięć w otoczeniu Dudy.

W ciągu minionych pięciu lat takich prób wybicia się na niepodległość było wiele. Duda się miota – i to jest problem w jego relacjach z PiS. Ale nie jest to problem główny. Zasadniczą kwestą jest to, że prezydent właściwie nie ma kontaktów z Jarosławem Kaczyńskim, bo nie jest politycznym partnerem dla prezesa PiS. Żadne weto tego nie zmieni. Po wszystkich dotychczasowych zrywach i wetach Duda zawsze i tak wracał na łono partii. Nie ma przesłanek, by sądzić, że tym razem będzie inaczej. ©

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „Tygodnikiem".

KRAJ W SKRÓCIE

WETO GÓRALSKIE
Branża turystyczna i właściciele siłowni złożyli pozwy zbiorowe przeciwko Skarbowi Państwa, podobne kroki szykują dyskoteki i kluby nocne, ale wybuch prawdziwej bomby może nastąpić na Podhalu, gdzie kilkuset przedsiębiorców zrzeszonych w inicjatywie Góralskie Veto zamierza wznowić działalność po 17 stycznia bez względu na nałożone przez rząd obostrzenia.

WETO KONSUMENCKIE
Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów zdecydował, że Agora nie może sfinalizować zakupu Radia Zet, argumentując m.in. tym, że powstały z połączenia podmiot miałby unikalną przewagę na rynku reklamy.

WETO STYLOWE
Podobnych obaw nie wzbudziło przejęcie wydawnictwa Polska Press przez Orlen – nawet z portalu „Rzeczpospolitej" zniknęła krytyka tej operacji, co naczelny portalu tłumaczy obecnością w zdjętym tekście wątków ad personam wobec prezesa Obajtka, które „nieco odstawały od style booka »Rzeczpospolitej«".

SEJM.GOV.PL

WETO OBSKURANCKIE
Ataki ad personam spotkały za to posłankę Marcelinę Zawiszę (aktywnie uczestniczyła w posiedzeniu sejmowej komisji zdrowia karmiąc piersią), choć – jak zauważyła w portalu Oko.press Anna Krawczak – jej zachowanie przywracało opiekuńczość i czułość w sferze publicznej.

Gdy rząd wysyła NBP do kasyna

NOTOWANIA EURO 31 grudnia ubiegłego roku przekroczyły 4,62 zł, a jeszcze dwa tygodnie wcześniej były na poziomie 4,43 zł. W tym samym czasie dolar podrożał z 3,61 do 3,76 zł, a frank szwajcarski z 4,09 do 4,27 zł.

Taki efekt przyniosły interwencje NBP, który pod koniec roku postanowił zabawić się w hazardzistę i grał na osłabienie złotego, kupując duże ilości obcych walut. Służby prasowe banku zapewniają, że chodziło o wsparcie polskich eksporterów, którym pomaga słabość waluty. Szkopuł w tym, że trudno w te tłumaczenia uwierzyć.

Po pierwsze, w pandemii polska gospodarka zestrojona pod tanią produkcję znów stała się dla zagranicznych kontrahentów cennym partnerem. Według grudniowych szacunków samego NBP eksport towarów wzrósł w październiku aż o 9,5 proc. rok do roku. Rekordowa była także sprzedaż za granicę liczona w euro – niemal 23 mld euro, czyli 3,7 proc. wyżej niż rok temu.

Dlaczego więc NBP zagrał przeciwko własnej walucie? Ekonomiści są przekonani, że chodzi o trudną sytuację budżetu. Głębokie osłabienie złotego pod koniec roku pozwoliło na przeliczenie rezerw walutowych NBP po wyższym kursie. W ten sposób w kasie banku centralnego znalazły się – oczywiście czysto hipotetycznie – dodatkowe miliardy złotych zamrożone w tych rezerwach. Ten „zysk", szacowany przez analityków nawet na 11 mld zł, NBP będzie mógł teraz zgodnie z prawem przekazać do budżetu.

Sama interwencja rodzi jednak szereg pytań o rolę banku centralnego. Na czele z fundamentalnym: czy niezależny od rządu NBP, w dodatku statutowo powołany jedynie do trzymania na wodzy inflacji, powinien być zaprzęgany do realizacji doraźnych celów polityki gospodarczej?

©℗ MAREK RABIJ

LICZBA TYGODNIA

9,9

Tyle stopni Celsjusza wynosiła w 2020 r. średnia roczna temperatura powietrza w Polsce. To o 1,6 stopnia więcej od normy z lat 1981–2010. Był to kolejny ekstremalnie ciepły rok, tylko o 0,2 stopnia chłodniejszy od rekordowego w historii pomiarów 2019. Temperatury te są skutkiem globalnego ocieplenia, niosącego m.in. ryzyko suszy i pustynnienia, ekstremalne zjawiska pogodowe, straty różnorodności biologicznej i problemy dla rolnictwa.

DANIEL RIVERA / AFP / EAST NEWS

KOLUMBIJSKI KARNAWAŁ CZARNYCH I BIAŁYCH jest jednym z najstarszych karnawałów w Ameryce; w 2009 r. został wpisany na listę Arcydzieł Ustnego i Niematerialnego Dziedzictwa Ludzkości UNESCO. Łączy ze sobą tradycje kultury andyjskiej, afrykańskiej i hiszpańskiej. Kulminacją jest Wielka Parada, która przechodzi przez ulice miasta Pasto w południowo-zachodniej Kolumbii. Trasa przemarszu liczy ponad 15 kilometrów, a rekordowe parady rozciągały się nawet na 9 kilometrów. Ze względu na epidemię COVID-19 tegoroczna uroczystość odbyła się bez udziału publiczności, a tancerze wystąpili w maseczkach i przyłbicach. ©℗ JT

Wyspy w zamknięciu

POCZĄTEK STYCZNIA przyniósł w Wielkiej Brytanii lawinę zakażeń COVID-19, przekraczającą 50 tys. dziennie. Odpowiedzialny jest za to w znacznym stopniu nowy wariant wirusa, który miał się pojawić na Wyspach już jesienią, ale na dobre ujawnił się w połowie grudnia. Mutacja rozprzestrzenia się znacznie łatwiej, co widać w codziennych danych. Co gorsza, nie chodzi tylko o rekordową liczbę infekcji (w piątek 8 stycznia było to 68 tys. przypadków), ale też zgonów (w tym samym „czarnym" dniu ponad 1,3 tys.). Brytyjskie władze reagują wprowadzaniem kolejnych obostrzeń: Brytyjczycy mają pozostać w domach, pracować zdalnie i wychodzić tylko po zakupy lub w ważnych sprawach życiowych. Na efekty obostrzeń trzeba będzie poczekać, a na razie rozważane są wręcz kolejne restrykcje.

Wielką nadzieją pozostaje szczepionka czy raczej szczepionki, bo dopuszczono tu już do użycia trzy z nich. Przeciwko COVID-19 Brytyjczycy zaczęli szczepić jeszcze przed krajami Unii Europejskiej i pierwszą dawkę otrzymało już ok. 2 mln obywateli. Wśród nich królowa Elżbieta II (ma 94 lata) i książę Filip (99 lat). Królewska para nie była traktowana specjalnie: została zaszczepiona zgodnie z kolejnością ze względu na wiek. Ambitnym celem rządu jest zaszczepienie do połowy lutego 15 mln osób z grup najwyższego ryzyka. ©℗ PATRYCJA BUKALSKA

Lockdown zawiesił też prawa człowieka

INDYJSKIE MEDIA donoszą o kolejnych porwaniach i zmuszaniu do niewolniczej pracy najuboższych mieszkańców kraju – zwłaszcza dzieci. Opinią publiczną szczególnie wstrząsnęło niedawne uwolnienie 37 chłopców z fabryki bransoletek w Jaipurze, których przetrzymywano po pracy w warunkach zagrażających ich zdrowiu i życiu.

Stowarzyszenie Bachpan Bachao Andolan – założone przez Kailasha Satyarthiego, indyjskiego działacza społecznego nagrodzonego w 2014 r. Pokojową Nagrodą Nobla – szacuje, że od początku pandemii w Indiach policja uwolniła z niewolniczej pracy co najmniej 1,6 tys. dzieci, ale skala procederu jest na pewno większa. Skrajne ubóstwo zmusza mieszkańców Indii do brania na siebie coraz większego ryzyka przy szukaniu pracy, a nawet do sprzedaży dzieci handlarzom. Lockdown odciął od źródeł utrzymania ponad 350 mln osób żyjących z prac dorywczych, często nawet dziesiątki kilometrów od miejsca zamieszkania. ©℗ MR

Mgła z Wuhan

WOJCIECH PIĘCIAK

Cztery lata więzienia: taki wyrok usłyszała Zhang Zhan. Według sądu z Szanghaju 37-letnia chińska dziennikarka i blogerka zawiniła publikowaniem materiałów na temat początków epidemii COVID-19 w Wuhan, krytycznie oceniających działania władz. Z akt sądowych, do których dostęp uzyskała agencja AFP, wynika, że została za to oskarżona o „podjudzanie do sporu i sianie niepokoju". Jej adwokaci twierdzą, że jest w „ekstremalnie złym" stanie: po tym, jak w maju ub.r. została aresztowana, niemal od razu zaczęła strajk głodowy i była przymusowo dożywiana.

Wyrok na Zhang Zhan zapadł niemal dokładnie w rocznicę: pod koniec grudnia 2019 r. Pekin poinformował oficjalnie Światową Organizację Zdrowia (WHO) o nowym wirusie. Teraz, w styczniu 2021 r. – a więc dopiero po ponad roku – do Chin przybędzie zespół ekspertów WHO, aby badać genezę SARS-CoV-2. Poprzedziły to wielomiesięczne negocjacje, podczas których ustalano warunki pracy zespołu i jego skład (każdy ekspert musiał być zaakceptowany). Chińskie władze w końcu wyraziły zgodę, aby następnie na początku stycznia zmienić zdanie – gdy eksperci byli już w drodze. W odpowiedzi sekretarz generalny WHO, dotąd wyrażający się o Chinach oględnie – by nie rzec: serwilistycznie – pozwolił sobie na ostry (jak na niego) komentarz. Pekin ustąpił, a przynajmniej robi takie wrażenie: zespół WHO ma przybyć w tym tygodniu.

Jednak czy ekspertom uda się rozwiać zasłonę dymną, którą stawiają chińskie władze, twierdzące dziś, że pandemia zaczęła się w wielu miejscach na świecie? Na razie nie wiadomo nawet, czy wolno im będzie pojechać do Wuhan. Nie ma za to wątpliwości, że nie będą mieć szansy spotkać takich ludzi jak Zhang Zhan – chińskich dziennikarzy i aktywistów uciszonych za interesowanie się genezą koronawirusa. ©℗

Źródła: AFP, DPA, ARD

ARCHIDIECEZJA ŁÓDZKA

Wyjątkowy Orszak Trzech Króli w Łodzi

Z POWODU PANDEMII Orszaki Trzech Króli wyglądały w tym roku inaczej niż zwykle. Były to raczej mini-orszaki, gry miejskie lub po prostu kolędowanie w kościołach transmitowane online. Archidiecezji łódzkiej udało się jednak osiągnąć coś wyjątkowego: dzięki zmienionej formule w orszaku uczestniczyło w tym roku więcej osób niż w latach minionych. Przybrał on bowiem formę akcji charytatywnej, w której wzięło udział około 6 tys. osób.

Wirtualną odsłonę orszaku zainicjował abp Grzegorz Ryś jeszcze przed Bożym Narodzeniem, namawiając do śpiewania kolęd i zbierania darów dla dzieci z hospicjum i Domu Samotnej Matki. W nagraniu sam wystąpił w stroju góralskim i zaśpiewał kolędę. „Możemy zrobić coś, co jest istotą tego orszaku i celem przeżywania tego święta, czyli towarzyszenie trzem mędrcom, którzy Jezusowi przynoszą dary" – wyjaśniał łódzki metropolita. Do wirtualnego kolędowania dołączyli m.in. Golec uOrkiestra, Zakopower, Darek Malejonek oraz aktorka Olga Bończyk. Zebrano 289 tys. zł – kwota ta prawie trzykrotnie przekroczyła zamierzoną. Pieniądze pozwolą na kompleksowe wyposażenie trzech nowych stanowisk w hospicjum specjalizującym się w opiece nad dziećmi z trudnością w oddychaniu. Zebrano także 5 tys. paczek z darami dla Domu Samotnej Matki.

Orszak w formie konwoju ciężarówek z darami udał się w oba miejsca. W postacie trzech króli wcielili się abp Grzegorz Ryś, bp Jan Cieślar z Kościoła ewangelicko-augsburskiego oraz bp Marek Izdebski z Kościoła ewangelicko-reformowanego (na zdjęciu).

©℗ ARTUR SPORNIAK

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

MINISTRANTKI I LEKTORKI
Franciszek przez motu proprio „Spiritus Domini" zmienił kanon 230 Kodeksu Prawa Kanonicznego i zdecydował, że również kobiety mogą przyjąć posługi lektoratu i akolitatu przez akt liturgiczny. Do tej pory kobiety były dopuszczane do służby ołtarza za zgodą celebransów. Papież powołał się na „rozwój doktrynalny, który uwydatnił, iż niektóre posługi ustanowione przez Kościół mają jako podstawę bycie ochrzczonym".

PAPIESKIE PRZEBACZENIE
Benedykt XVI pojednał się z głównym sprawcą afery Vatileaks, zmarłym pod koniec listopada ub.r. byłym papieskim kamerdynerem Paolo Gabrielem, na krótko przed jego śmiercią. Informację zamieszczoną w grudniowym wydaniu „Vatican Magazin" potwierdził abp Georg Gänswein, prywatny sekretarz papieża seniora.

ŚREDNIOWIECZNA RECEPTURA
Uniwersytet Papieski Jana Pawła II w Krakowie opatentował własną markę piwa. Stało się to dzięki pasji dr. hab. Sławomira Dryi, archeologa i wykładowcy Wydziału Historii i Dziedzictwa Kulturowego. Wyodrębnił on drożdże i odtworzył recepturę białego piwa produkowanego w średniowiecznym Krakowie, na podstawie osadu ze ścian w piwnicach Pałacu Lubomirskich przy ul. św. Jana. Piwo ma w smaku przypominać klasycznego pilzneńskiego lagera.

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne
ŁUKASZ GRAJEWSKI
opowie Agnieszce Lichnerowicz o Niemczech po Angeli Merkel (tekst na s. 58) w „Światopodglądzie" Radia Tok FM, w środę 13 stycznia, o godz. 15.20
95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
– www.tokfm.pl

Gambit Watykanu

WOJCIECH KONOŃCZUK

Była to zemsta reżimu: 31 sierpnia 2020 r. na granicy polsko-białoruskiej bez podania przyczyny odmówiono wjazdu na Białoruś abp. Tadeuszowi Kondrusiewiczowi, zwierzchnikowi Kościoła katolickiego w tym kraju. Wcześniej arcybiskup krytykował reżim Łukaszenki za łamanie praw człowieka po sfałszowanych wyborach prezydenckich. Arcybiskup jest obywatelem Białorusi, więc zakazując mu wjazdu, rażąco złamano białoruskie prawo. Łukaszenko oskarżył wtedy duchownego o zaangażowanie polityczne i o to, że jakoby „jeździł do Warszawy na konsultacje i po nowe zadania".

Stolica Apostolska zażądała zmiany decyzji, a zarazem nuncjusz w Mińsku podjął negocjacje z reżimem. Władze, które od lat usiłowały utrzymywać poprawne relacje z Watykanem, zgodziły się na powrót abp. Kondrusiewicza w wigilię Bożego Narodzenia. Szybko się okazało, że jest drugie dno sprawy. 3 stycznia arcybiskup złożył rezygnację w związku z osiągnięciem 75. roku życia i tego samego dnia papież ją przyjął. Nowym administratorem Kościoła na Białorusi mianowano biskupa pińskiego Kazimierza Wielikosielsca (jest o rok starszy od poprzednika). W przeszłości biskup ten niejednokrotnie twardo walczył o prawa wiernych i Kościoła. Watykan dokonał więc swoistego gambitu: zgodził się na ustąpienie szanowanego abp. Kondrusiewicza, wybierając następcę, który będzie kontynuował linię poprzednika. ©

W Danii kazania mają być po duńsku

Z EKSTREMIZMEM RELIGIJNYM rząd duński chce walczyć przy pomocy ustawy, która wymuszałaby na związkach religijnych posługujących się obcymi językami publikowanie wszystkich kazań po duńsku. Chodzi o przeciwdziałanie mowie nienawiści w ekstremistycznych środowiskach muzułmańskich. „Ale 40 różnych wspólnot religijnych, które mamy w Danii, będzie na mocy tego prawa generalnie podejrzane. Dzieje się tu coś, co podważa demokrację" – twierdzi s. Anna Mirijam Kaschner, sekretarz generalna i rzeczniczka Konferencji Episkopatów Nordyckich, obejmującej katolickie Kościoły Danii, Finlandii, Islandii, Norwegii i Szwecji. Prace nad ustawą wznowione zostaną w lutym.

Do Kościoła katolickiego należy około 2 proc. z 5,8 mln mieszkańców głównie luterańskiej Danii. Muzułmanie stanowią 4,7 proc. społeczeństwa.

©℗ ASK

KULTURA W SKRÓCIE

SZELA W KINIE
To już oficjalne: książka laureata Nagrody Literackiej Nike Radka Raka „Baśń o wężowym sercu albo wtóre słowo o Jakóbie Szeli” trafi na ekrany. Odpowiadać za to będzie Michał Gazda, reżyser wielu seriali TV, m.in. „Watahy”.

FERN IDZIE PO OSCARA
Z kolei oparty na (wydanej także po polsku) książce Jessiki Bruder film „Nomadland” w reż. Chloé Zhao został właśnie wyróżniony przez organizację National Society of Film Critics, zrzeszającą najważniejszych krytyków prasowych USA. Film zgarnął całą pulę nagród, w tym tytuł najlepszego filmu minionego roku. Krytycy nie pozostawiają złudzeń – to faworyt tegorocznych Oscarów. Główną bohaterką jest Fern, kobieta po sześćdziesiątce, która tracąc dom w wyniku szalejącej w USA recesji, wyrusza w podróż po kraju.

BLOOBER TEAM / MATERIAŁY PRASOWE

HORROR W KRAKOWIE
Tymczasem w amerykańskich rankingach najciekawszych gier 2021 nie brakuje polskich produkcji. Jeszcze tej zimy gracze będą mogli sprawdzić, jak się udał horror psychologiczny „Medium” (na ilustracji) krakowskiego studia Bloober Team (akcja gry rozgrywa się w stolicy Małopolski w latach 90.). W lutym dostępne będzie już także demo gry „Outriders” stołecznej PCF Group.

GALERIA UFFIZI / MATERIAŁY PRASOWE

ŚWIAT OGLĄDAŁ JE TYLKO DWA RAZY: ponad 150 lat temu we Florencji oraz niespełna 30 lat temu na wystawie w Abruzji. Kruchy papier można wyjmować ze światłoszczelnych, termoregulowanych kapsuł raz na pięć lat. Z okazji przypadającej w tym roku 700. rocznicy śmierci Dantego galeria Uffizi udostępniła skany szkiców do „Boskiej komedii” na swojej stronie www.uffizi.it. Powstawały w latach 1568–1588, ich autorem jest malarz Federico Zuccaro. Przez lata należały do rodu Orsinich, następnie Medyceuszy. W zbiorach Uffizi są od 1738 r. Powyżej: ilustracja do „Pieśni III” „Piekła”; widać na niej łódź Charona.

©℗ MOC

Kiedy odpuścić

ZWIERZĘTA należące do tego samego gatunku i żyjące w sąsiedztwie konkurują o zasoby – a więc z zasady będą sobie wchodzić w drogę. Prowadzi to do napięć, które mogą skończyć się walką – chyba że któraś ze stron odpowiednio wcześnie da za wygraną. Najlepiej, jeśli zrobi to ten osobnik, który niemal z pewnością przegrałby starcie. Tylko jak ocenić swoje szanse na tyle szybko, by sytuacja nie zdążyła się wymknąć spod kontroli? Podjęcie decyzji o zaniechaniu konfrontacji ułatwiać mogą sygnały ostrzegawcze, które wyewoluowały u wielu gatunków zwierząt.

Jednym z nich są żyjące w południowo-wschodniej Azji nietoperze *Hipposideros armiger*. Jak wykazali w „Animal Cognition” Congnan Sun i współpracownicy, te latające ssaki używają okrzyków terytorialnych, które przenoszą bogate znaczenie. W cechach emitowanych przez nie dźwięków ostrzegawczych zakodowane są bowiem informacje dotyczące rozmiaru ciała nadawcy i jego rangi społecznej. Pojawiają się w nich także indywidualne sygnatury. Dzięki temu nietoperze mogą rozpoznać po głosie autora komunikatu – oraz ocenić, kiedy nie warto szukać guza.

©℗ ŁK

Sztuczna inteligencja: krok ku kreatywności

OPEN AI / MATERIAŁY PRASOWE

„TYLKO WYOBRAŹNIA mówi mi o tym, co może być” – pisał niemal sto lat temu André Breton w „Manifeście surrealizmu”. Surrealizm to pierwsze, co przychodzi do głowy, kiedy patrzy się na fantastyczne obrazy foteli w kształcie awokado czy sześcianów-jeżozwierzy. Powstały one za sprawą projektu Dall-E (skojarzenie z Salvadorem Dalim nieprzypadkowe) firmy Open AI. Dall-E to samouczący się algorytm tworzący obrazy na podstawie opisów. Wpisując „fotel w kształcie awokado”, otrzymamy dowolną liczbę wersji właśnie takiego obrazka. Skąd jednak tak abstrakcyjne połączenia jak awokado i fotel? Komputery względnie łatwo było nauczyć myśleć „logicznie”, ale kreatywność maszyn była dla programistów wyzwaniem. Jednym z jej przejawów może być umiejętność spójnego łączenia pojęć – takich jak sześcian i jeżozwierz. Dall-E jest więc próbą zrobienia kolejnego kroku na drodze do sztucznej inteligencji. Można sobie wyobrazić sporo zagrożeń, jakie niesie technologia zdolna wygenerować każdy możliwy obraz, o czym piszą sami jej twórcy. Jej powstanie nie oznacza, że maszyny otrzymały wyobraźnię, natomiast mówi nam o tym, co może być.

©℗ PATRYK STANIK

TEMAT TYGODNIKA

KIEDY LEKARZ JEST DOBRY

PROF. WOJCIECH SZCZEKLIK, ANESTEZJOLOG:

Pandemia postawiła nam przed oczami podstawowe zasady i wartości. Że styl życia jest kluczowy dla odporności. Że dewastacja środowiska jest zabójcza dla człowieka.

GRAŻYNA MAKARA

PROF. WOJCIECH SZCZEKLIK jest kierownikiem Kliniki Anestezjologii i Intensywnej Terapii w 5. Wojskowym Szpitalu Klinicznym z Polikliniką w Krakowie. Ma specjalizacje z chorób wewnętrznych, anestezjologii i intensywnej terapii oraz immunologii klinicznej. Autor prawie 200 publikacji naukowych.

Na zdjęciu: przed izbą przyjęć, Kraków, grudzień 2020 r.

MACIEJ MÜLLER: Ciężki dyżur?

PROF. WOJCIECH SZCZEKLIK: Dosyć. Chociaż pacjentów covidowych jest ostatnio mniej. Spektrum chorób, z którymi walczymy na oddziale intensywnej terapii Wojskowego Szpitala w Krakowie, nieustannie się zmienia. To tworzy problemy logistyczne, bo zakażonych koronawirusem musimy przecież izolować, tworząc tzw. strefy czyste i brudne.

Przed pandemią mieliśmy 11 łóżek dla pacjentów z zagrożeniem życia i to na ogół wystarczało jako zabezpieczenie regionu. Wiosną Polska wyszła z pierwszej fali zakażeń obronną ręką, ale we wrześniu z dnia na dzień musieliśmy dostawić drugie tyle łóżek, potem jeszcze raz tyle. Mieliśmy nawet po 30 pacjentów na respiratorach, całkowicie niewydolnych oddechowo. Byliśmy w szpitalu wszyscy – lekarze, pielęgniarki, personel pomocniczy – właściwie bez przerwy albo z przerwami na parę godzin, żeby trochę przespać się w domu.

Teraz jest chwila oddechu?

Martwię się, że za tydzień czy dwa może przyjść kolejna fala zakażeń. Regenerujemy więc siły, bo jesteśmy wykończeni. To po pierwsze zmęczenie fizyczne: wiele godzin spędzonych przy łóżku pacjentów, wiele nieprzespanych nocy. Ale jest również zmęczenie psychiczne i to w wymiarze, którego wcześniej nie doświadczaliśmy. Ciągłe skupienie, co chwilę skoki adrenaliny. I strach, że sami się zakazimy albo zawleczemy infekcję do domów. A widzimy, co ta choroba potrafi.

Ilu pacjentów umiera?

We Włoszech śmiertelność sięgała na wiosnę 80-90 proc. Jeśli ktoś już trafił na intensywną terapię i wymagał mechanicznej wentylacji płuc, czyli respiratora, było mało prawdopodobne, by przeżył. Ale lekarze na całym świecie nieustannie pracowali nad ulepszeniem schematów leczenia i dzisiaj śmiertelność na intensywnej terapii jest mniejsza, choć nadal ogromna – waha się między 50 a 70 proc.

Pracuję na intensywnej terapii 18 lat i nigdy nie przywykłem do dramatów, które się tu dzieją. A teraz jest gorzej niż kiedykolwiek. Mam w zespole sporo koleżanek i kolegów, którzy dopiero kończyli specjalizację, a pandemia zmusiła ich do szybszego wejścia na oddział. Im jest jeszcze ciężej.

Zna Pan lekarzy, którzy się załamali?

Kieruję oddziałem, więc staram się wychwytywać pierwsze sygnały problemów u moich współpracowników. Jako zespół próbujemy ich wesprzeć, dać więcej oddechu, żeby mogli się pozbierać i wrócić do pracy w pełni sił. Niemniej co jakiś czas roznosi się wieść, że ktoś nie wytrzymał i odszedł.

Anestezjologom zdarza się to rzadziej – od początku uczymy się pracy przy pacjentach na granicy życia i śmierci, widzimy najcięższe urazy i najpoważniejsze postacie chorób. Załamania zdarzały się wśród ginekologów, ortopedów czy pediatrów, którzy nagle musieli porzucić dotychczasowe obowiązki, włożyć kombinezony i ratować chorych z ciężką niewydolnością oddechową czy serca.

Zaszczepił się Pan w ostatnich dniach grudnia. Wystąpił u Pana jakiś niepożądany odczyn?

To było dla mnie spore przeżycie, bo wyczekiwaliśmy szczepionki już od dłuższego czasu. Samo szczepienie nie boli, ukłucia prawie nie poczułem. Następnego dnia nieco bolało mnie ramię, ale nie utrudniło mi to pracy i było swego rodzaju przypomnieniem, że mój organizm zaczyna wytwarzać odporność na tę okropną chorobę. Trudno więc narzekać!

Sondaże wskazują, że ponad 40 proc. Polaków nie chce się szczepić. Takie grupy są także wśród personelu medycznego.

Mam nadzieję, że kiedy wzrośnie liczba zaszczepionych i będzie widać, że działania niepożądane zdarzają się rzadko, postawy się zmienią. Przed podaniem każdego leku trzeba ocenić bilans korzyści i potencjalnych skutków ubocznych. COVID-19 nie tylko zagraża życiu, ale może powodować powikłania w sercu czy płucach, mówi się już nawet o zespole postcovidowym. Więc odpowiedź na pytanie, czy się zaszczepić, jest dla mnie oczywista. Ta szczepionka, mimo że nowa, na wszystkich etapach badań wypadła bardzo bezpiecznie. Jest też nadspodziewanie skuteczna w ochronie przed ciężkimi objawami COVID-19.

Jeżeli chodzi o wahania wśród personelu medycznego, to tego nie rozumiem. Jeżeli ktoś miał do czynienia z pacjentami zakażonymi koronawirusem, nie powinien mieć tych wątpliwości.

↦

↦ **Od tego, jak sprawnie będziemy się szczepić, zależy, czy i kiedy opanujemy pandemię.**

Na pewno już wiemy, że pandemia sama nie przeminie. Nie jest to choroba sezonowa, jak grypa, nie wpływa na nią pora roku, temperatura ani wilgotność. Chwilami bywa mniej aktywna, ale potem atakuje ze zdwojoną siłą. Choroba zakaźna zaniknie dopiero wtedy, gdy większość społeczeństwa zyska odporność – przejdzie chorobę lub się zaszczepi.

Koncepcja promowana przez naukowców podpisanych pod tzw. deklaracją z Great Barrington z listopada 2020 r. proponowała, by chronić jedynie grupy najbardziej zagrożone – starszych i przewlekle chorych – i pozwolić koronawirusowi swobodnie się rozprzestrzeniać u pozostałych. Wszyscy się przekonaliśmy, że nie tędy droga, czego przykładem są Stany Zjednoczone czy Szwecja. Dotychczas COVID-19 przeszło może 5, może 10 proc. Polaków. Gdybyśmy w tym tempie chcieli dążyć do odporności zbiorowej, trwałoby to kilka lat i kosztowało życie kilkuset tysięcy ludzi. W dodatku już wiemy, że niezależnie od środków ostrożności wirus i tak by przenikał do seniorów czy chorych na nowotwory. Przecież przedostał się nawet na Antarktydę!

Żeby uzyskać tzw. odporność zbiorową, potrzebujemy uodpornić przynajmniej 70 proc. społeczeństwa, czyli ok. 26 mln Polaków. Żeby to osiągnąć, trzeba zintensyfikować szczepienia. Wtedy choroba faktycznie wygaśnie lub stanie się endemiczna, czyli będzie pojawiała się na ograniczonym obszarze, ale już nie sparaliżuje naszego życia.

Kiedy zobaczymy, że epidemia jest w odwrocie?

Mam nadzieję, że jeżeli szczepienia będą szły sprawnie, to już w okolicach wakacji odczujemy wyraźną poprawę. Wirus napotka barierę częściowo uodpornionej populacji i nie będzie się już tak łatwo szerzył. Nie będzie więcej lockdownów i będziemy mogli wrócić do normalnych zajęć.

Odporność po przechorowaniu trwa kilka miesięcy, po szczepionce przynajmniej rok – i eksperci podają to jako wiadomość optymistyczną. Naprawdę jesteśmy w stanie zwalczyć koronawirusa, skoro nie potrafimy trwale się uodpornić?

Wygląda na to, że odpowiedź immunologiczna na szczepienie jest silniejsza niż po przechorowaniu COVID-19 czy bezobjawowym zakażeniu, choć nie ma jeszcze na to silnych dowodów. Nie wiemy jednak na razie, jak jest długotrwała. Faktycznie liczymy na to, że odporność po szczepieniu wytrzyma nawet rok. Optymizm wynika z faktu, że po szczepieniu (szczególnie po drugiej dawce) poziomy przeciwciał przeciwko wirusowi SARS-Cov-2 są bardzo wysokie, dodatkowo sam wirus jest stosunkowo mało zmienny genetycznie. Zwłaszcza jeżeli porównany go do innych wirusów RNA: grypy czy HIV.

Niemniej jednak ostatnio pojawiają się nowe mutacje (teraz najwięcej mówi się o brytyjskiej), które w pewnym momencie mogą doprowadzić do uodpornienia się wirusa na szczepionkę. Ale nawet gdyby się tak stało, to nie mamy się czym martwić. Mamy technologię, znamy wirusa, więc szczepionkę będzie można szybko dostosować do ewentualnej nowej postaci wirusa. W najgorszym razie będzie trzeba się szczepić na COVID-19 jak na grypę – co rok.

Ale istnieje też możliwość, że szczepionka będzie chroniła tylko przed ciężkim przebiegiem, a nie przed zakażeniem. I co wtedy?

Na razie nie wiemy, czy szczepionka chroni przed bezobjawową postacią zakażenia, podczas której można roznosić wirusa. To dlatego na razie po zaszczepieniu nie rezygnujemy z maseczek, dystansowania się i częstego mycia rąk. Niemniej większość naukowców sądzi, że nawet jeśli po szczepieniu przechodzilibyśmy bezobjawową infekcję, zakaźność będzie znacznie mniejsza. A nawet jeśli szczepionka nie powstrzymałaby koronawirusa przed dalszym przenoszeniem, to i tak będziemy chronieni przed ciężkim przebiegiem choroby. Nie będzie paraliżu szpitali, problemów z leczeniem innych chorób, zwiększonej liczby zgonów. Nasze życie wróci do normy.

To skąd wątpliwości wobec szczepionki?

Chyba chodzi przede wszystkim o tempo prac nad nią. Dotychczas rekordowy czas wprowadzenia do użytku szczepionki – od odkrycia patogenu do wyprodukowania preparatu – wynosił 10 lat, była to szczepionka na odrę. Tymczasem COVID-19 pojawił się w Wuhan pod koniec 2019 r., a już w styczniu 2020 r. udało się opisać kod genetyczny wirusa i natychmiast ruszyły prace nad szczepionką – m.in. oparte na technologii mRNA. Tutaj mamy trochę szczęścia, bo technologia ta rozwijana była od ok. 20 lat i testowana w obronie przed innymi zagrożeniami, jak wścieklizna, SARS czy MERS, a także choroby nowotworowe. Na to, że szczepionka powstała tak szybko, wpływ też miały połączone wysiłki naukowców na całym świecie, burzliwy przebieg pandemii (łatwiej jest przeprowadzić badania kliniczne) oraz wysokie fundusze przeznaczone na ten cel. Warto podkreślić, że choć tempo powstawania szczepionki było imponujące, to nie pominięto żadnych etapów jej powstawania: fazy przedkliniczne, kliniczne i rejestracja przebiegały prawidłowo.

Myślę, że wątpliwości co do szczepień wynikają również z małej wiedzy społeczeństwa na ich temat oraz masowej dezinformacji, która rozpowszechniana jest w mediach społecznościowych, np. że podanie preparatu zmieni ludzki kod genetyczny. To oczywista bzdura, a tego typu opinie rodzą się ze względu na nikły poziom wiedzy biologicznej – i brak skutecznej akcji informacyjnej.

Ale po części rozumiem niepokoje. W ciągu poprzedniego roku naukowcy nieraz zawiedli.

Na przykład?

Na początku marca, kiedy pandemia pustoszyła Włochy, francuski zakaźnik prof. Didier Raoult ogłosił, że odkrył lek na koronawirusa. Chodziło o chlorochinę, znaną od ponad stu lat, stosowaną w leczeniu chorób reumatycznych czy malarii, która w warunkach *in vitro* skutecznie ogranicza replikację wirusów. Raoult przeprowadził eksperyment na bodaj 26 osobach, z czego parę osób „zgubiło się" w przebiegu badania i nie wiemy, co się z nimi stało. Według wyników, które opublikował, chlorochina miałaby skutecznie hamować rozwój choroby. Poziom entuzjazmu i nacisk ze strony polityków (czego przykładem Donald Trump) był tak duży, że na całym świecie do schematów postępowania z chorymi na COVID-19 wprowadzono możliwość jej podawania.

W normalnych warunkach żadne szanujące się czasopismo naukowe nie wy-

drukowałoby artykułu z tak słabą metodologią, a przed wprowadzeniem leku do użytku klinicznego wiele zespołów z całego świata próbowałoby potwierdzić odkrycie prof. Raoulta, żeby określić faktyczną skuteczność leku i jego bezpieczeństwo.

Po kilku miesiącach było jasne, że chlorochina nie pomaga w leczeniu, natomiast wywołuje u zakażonych zaburzenia rytmu serca. Czyli przez to, że zaniedbano tradycyjną ścieżkę naukową, stosowaliśmy lek, który pacjentom szkodził. Pójście na skróty w nauce i nacisk na nią ze strony mediów czy polityków są niedopuszczalne bez względu na okoliczności.

Według Pana powinien istnieć państwowy przymus szczepień?

Nigdy nie przekonywał mnie pomysł paszportu immunologicznego. Szczególnie, że nie mamy jeszcze pewności, jak długo będzie działać odporność. Wprowadzałoby to podziały w społeczeństwie. Stawiałbym raczej na edukację i pełną przejrzystość – przede wszystkim nie można ukrywać informacji o niepożądanych odczynach. Powinniśmy szczepić na zasadzie dobrowolności, potrzebny jest czas, żeby społeczeństwo nabrało przekonania, że to bezpieczne. Szczepionka jest na tyle udana, że powinna się sama obronić.

Spodziewam się jednak nacisków ze strony pracodawców na pracowników i nie tylko: niezaszczepieni mogą mieć np. ograniczony dostęp do kin czy na wydarzenia artystyczne, a niektóre linie lotnicze już wprowadzają obowiązek posiadania certyfikatu o szczepieniu. Ale to nie jest dobra motywacja. Pomyślmy raczej w ten sposób: nawet jeśli nie boimy się o siebie, to zadbajmy o osoby narażone na ciężki przebieg COVID-19. Warto się zaszczepić nie po to, żeby pójść na koncert czy polecieć za granicę, tylko dla nich.

Szczepionka na COVID-19 nie jest wyjątkiem, sama idea szczepień jest od lat pod ostrzałem. Skąd ten kryzys?

Wielu strasznych chorób, które wyeliminowaliśmy szczepieniami, jak odra, polio, błonica czy gruźlica, po prostu już nie widzimy. Szczepionki to obok antybiotyków i aseptyki największe wynalazki medycyny – i chyba w ogóle największe osiągnięcia na drodze do przedłużenia ludzkiego życia.

Ciągle się tej choroby uczymy.

Coraz więcej wiemy o tym, jak dzięki narzędziom intensywnej terapii zwiększyć szansę chorych na przeżycie.

Ale silna nieufność towarzyszy szczepieniom od samego początku. Pod koniec XVIII w. Edward Jenner zauważył, że osoby zajmujące się bydłem nie chorują na dziesiątkującą wtedy społeczeństwo ospę prawdziwą. Osoby te przechodziły podobną chorobę, choć o znacznie łagodniejszym przebiegu – tzw. krowiankę, która wywoływała m.in. wysypkę z ropnymi pęcherzykami. Jenner wyizolował ekstrakt z tych zmian i podał go pewnemu chłopcu. Rok później podał mu ropną wydzielinę od chorego na ospę prawdziwą – i chłopiec nie zachorował. Kolejne doświadczenia dowiodły, że uodpornienie na mniej zjadliwy szczep patogenu (wirus krowianki) zapobiega ciężkim przebiegom ospy. W Anglii rozpoczęto masowe szczepienia – i reakcje społeczne były identyczne jak te dzisiejsze. Wiele osób brzydziło się po prostu preparatu z ropy. Ponad 200 lat później boimy się sterylnego kawałka mRNA. Wszystko, co dla nas nowe, budzi niepokój.

Niemniej w końcu udało się zahamować epidemię.

Podobnie było w połowie XX w. podczas szczepień na polio, groźnego wirusa, który wywołuje chorobę Heinego-Medina. Tutaj obawy były częściowo uzasadnione, bo okazało się, że w trakcie masowych szczepień jedna z partii wyprodukowanej szczepionki zawierała wirusa nie do końca „unieszkodliwionego", co doprowadziło do powikłań neurologicznych u części zaszczepionych dzieci. Zahamowało to szczepienia przeciwko polio na długi czas i do dzisiaj daje pożywkę wszystkim, którzy występują przeciwko szczepieniom. Ale i w tym przypadku szczepionka finalnie doprowadziła do wyeliminowania choroby powodującej śmierć lub kalectwo milionów dzieci, a jednorazowy błąd w produkcji nigdy się nie powtórzył.

W każdym przypadku masowych protestów i wprowadzania nowych technologii ogromna była skala dezinformacji. Tak też dzieje się teraz. W internecie jest mnóstwo niewiarygodnych źródeł wiedzy, ludzie składają sobie skrawki jakichś teorii, wyciągają przypadkowe wnioski. Dezinformacja albo budzi nadmierny lęk, albo wprost przeciwnie: skłania np. do zaniedbywania podstawowych zasad sanitarnych. Od początku pandemii za pośrednictwem Twittera staram się z tym walczyć, udostępniając sprawdzone informacje naukowe na temat pandemii. Przed rokiem 2020 nigdy bym nie uwierzył, że dam się wciągnąć w media społecznościowe...

Może powinniśmy mówić o głębszym kryzysie zaufania – nie tylko do szczepień, ale w ogóle do medycyny? Ludzie zobaczyli, że lekarze nie są bogami.

Nie jesteśmy. Nie mamy leku, szukamy rozwiązań po omacku. Przez pandemię nie potrafimy pomagać pacjentom chorym na serce czy nowotwory. Słyszymy: skupiliście się na jednej chorobie, a powinniście leczyć wszystkie. Tylko że koronawirus to uniemożliwia... Pacjent chory na raka czy potrzebujący nawet drobnej operacji chirurgicznej może nie przeżyć pobytu w szpitalu, gdy wkoło szaleje pandemia.

Ale są też reakcje przeciwne. Wspaniałe było wsparcie, jakiego doświadczaliśmy w marcu i kwietniu. Brakowało wtedy wszystkiego, nawet środków ochrony osobistej, a ludzie przynosili nam własnoręcznie wykonane maski, fartuchy czy przyłbice. To dodawało skrzydeł. Dzisiaj natomiast wszystkich dopadło zmęczenie i frustracja. Mamy dość wszystkiego, co dotyczy COVID-19. Chcielibyśmy normalności.

Z jednej strony są Pańskie studia, trzy specjalizacje, 20 lat praktyki, a z drugiej coś niesłychanie prymitywnego: nić RNA w otoczce białkowej z kolcami. I to Pan jest w tej konfrontacji bezradny.

To prawda. Ale gdybym na tym się skupił, straciłbym poczucie sensu własnej pracy. Nie patrzę na statystyki śmierci, przed oczami mam raczej tych pacjentów, których wysiłkiem całego zespołu udało się przywrócić do życia mimo skrajnie ciężkiego przebiegu choroby. Mimo ↦

↦ wielu niepowodzeń części pacjentów jesteśmy w stanie pomóc. Ciągle się tej choroby uczymy. Coraz więcej wiemy o tym, jak dzięki narzędziom intensywnej terapii zwiększyć szansę chorych na przeżycie.

O Marku Edelmanie mówiło się, że patrzył na człowieka i wiedział, co mu jest. Dostrzegał więcej niż specjaliści. Dzisiaj takie spojrzenie na chorego jest jeszcze osiągalne, czy wszystko już determinują algorytmy postępowania i sprzęt specjalistyczny?

Edelman czy mój ojciec są dla mnie wzorami holistycznego podejścia do pacjenta. To nie zbiór narządów, tylko człowiek, który przychodzi do lekarza ze swoimi problemami. Lekarz musi zobaczyć coś więcej niż uszkodzoną wątrobę. To istota ludzka, a nie przypadek, który trzeba dopasować do drzewka diagnostycznego. Bez tego wymiaru medycyna ma ograniczony sens i skuteczność.

Najtrudniejsze wyzwanie pandemii polega na tym, że częstokroć tracimy kontakt z pacjentem. Pracujemy w kombinezonach ochronnych, w maskach i okularach. Pacjent intensywnej terapii nawet w normalnych czasach jest samotny i odizolowany od świata. Pandemia to spotęgowała: chory umiera bez rodziny, odarty z człowieczeństwa.

Ci, którym udało się wyjść z choroby, wspominają, że w szpitalu nie mogli rozpoznać, kto do nich podchodzi, nie widzieli twarzy ani nawet oczu lekarzy czy pielęgniarek.

Ja nie jestem w stanie nawet zbadać chorego stetoskopem. Mam na sobie podwójne grube rękawice, więc nawet takie gesty, jak uścisk dłoni, są nieosiągalne. Nasza praca traci ludzki wymiar – to bardzo obciąża psychicznie. To zupełnie inna medycyna niż ta, którą znaliśmy. Dla mnie niezmiernie ważne jest, żeby niezależnie od naszego przebrania pacjent wiedział, że nie jest sam i że jesteśmy tam z nim i dla niego.

Medycyna zachodnia jest – w przeciwieństwie do systemów tradycyjnych – chyba z założenia mało holistyczna, bardzo poszatkowana na specjalizacje.

Jeśli ograniczymy się do algorytmów postępowania, może będziemy najlepsi, jeśli chodzi o leczenie jakiegoś skrawka ciała, ale nie uczyni z nas to dobrych lekarzy. Do tego trzeba być po prostu dobrym człowiekiem. Chodzi o otwartość, chęć przebywania z ludźmi, gotowość do rozmowy i zrozumienia problemów innych.

Jeśli chcemy zoperować rękę, musimy wiedzieć wszystko o jej anatomii, a także o technikach chirurgicznych czy materiałach, które można wszczepić. Specjalista musi być w swojej działce jak najlepszy – ale bez spojrzenia na organizm jako całość nie będzie w stanie skutecznie leczyć. Musi z pacjentem spędzić czas, nie tylko zebrać dokładny wywiad, ale poznać go trochę jako człowieka. Ja mam to szczęście, że specjalizuję się w intensywnej terapii z anestezjologią, która obejmuje stany ciężkie, oraz w internie, która zajmuje się niemal wszystkimi chorobami wewnętrznymi. Lecząc płuca, patrzę na serce czy wątrobę i staram się zrozumieć, gdzie tkwi przyczyna choroby.

Równocześnie zdaję sobie sprawę, że nie możemy znać się na wszystkim, minęły czasy lekarzy-omnibusów. Często odpowiedzią medycyny na potrzebę całościowego spojrzenia na człowieka jest tworzenie zespołów terapeutycznych. „Dyskutujemy chorego", czyli konsultujemy jego stan z kolegami mającymi szerszą wiedzę o innych narządach czy układach. Takie podejście ma niestety również swoje wady, bo w gąszczu objawów i podczas bardzo szczegółowych dyskusji medycznych często gubi nam się pacjent i jego prawdziwy problem.

Wspomniałem o systemach tradycyjnych, bo w zeszłym roku z ust lekarzy niespodziewanie zaczęliśmy słyszeć rady dotyczące bardzo podstawowych spraw: żeby uniknąć ciężkich objawów COVID-19, powinniśmy dobrze się odżywiać, wysypiać, unikać stresu.

Rzeczywiście, brzmi to jak frazesy. Zawsze wiedzieliśmy, jak ważny jest styl życia dla skuteczności systemu immunologicznego, ale chyba nie mówiliśmy o tym wystarczająco często. Wydawało się, że pacjenci nie takich rad oczekują od ludzi z tytułami, studiujących latami medycynę. Może paradoksalna korzyść z pandemii będzie polegała na tym, że wrócimy do podstaw. Zdecydowanie powinno to głośno wybrzmieć: zdrowy tryb życia jest podstawą naszego dobrego samopoczucia i wzmacnia nasz organizm do walki z chorobą – w tym z koronawirusem.

Pana ojciec, prof. Andrzej Szczeklik, uważał, że leczenie to współmyślenie z pacjentem, jego ciałem i duszą, podkreślał, że lekarz nie może zaniedbać poszukiwania „medycyny z duszą". Czy podczas pandemii jest na to miejsce?

Zajmuję się medycyną na kilka sposobów, jako naukowiec, dydaktyk i lekarz. Wszystkie te moje role są dla mnie ważne i w pewien sposób się uzupełniają – choć bycie lekarzem zawsze stawiałem na pierwszym miejscu. Często się zastanawiam, co czyni „dobrego" lekarza, i z biegiem czasu coraz mocniej jestem przekonany, że jest to bycie z chorym i towarzyszenie mu w chorobie. On musi czuć, że nie jest nam obojętny i że niezależnie, jak będzie przebiegać choroba, będziemy przy nim. To jest najważniejsze, bo nie ma pan pojęcia, jak ciężko jest stanąć przed chorym w momencie, kiedy wiemy, że nie ma już żadnej szansy – a mimo to być z nim do końca. Pandemia przypomniała mi, że zaufanie między lekarzem i pacjentem oraz wytrwałość w przezwyciężaniu wszelkich przeszkód i niepowodzeń są w naszym zawodzie najważniejsze.

Jak pisał mój ojciec: „Chory przychodzi ze swym bólem, cierpieniem, wołaniem o pomoc. A lekarz, nie bacząc na lęk chorego (i swój własny), wiedząc, jak mało wie (zawsze za mało), mówi: »Stanę przy tobie. Razem spojrzymy niebezpieczeństwu w twarz«". To właśnie jest dla mnie „medycyna z duszą" i cechy, które czynią dobrego lekarza.

Prof. Andrzej Szczeklik podkreślał, jak ważne jest przebycie wspólnej drogi przez lekarza i chorego. Tylko czy ten wymiar medycyny jest w ogóle możliwy na intensywnej terapii?

Trochę w inny sposób niż na internie, gdzie chorzy są przytomni – ale tak. Na oddział intensywnej terapii trafiają pacjenci w najcięższych stanach, pod wpływem silnych leków, co nie zmienia faktu, że jeśli tylko możliwy jest kontakt, rozmawiamy, uspokajamy. Jeśli rozmowa jest niemożliwa, aspekt międzyludzki realizuje się gdzie indziej – spędzamy więcej czasu z rodziną pacjenta. Musimy ją podtrzymać na duchu, wspólnie dojść

do tego, jakie byłyby życzenia chorego, gdyby mógł aktywnie uczestniczyć w leczeniu. Takie kwestie zajmują anestezjologom chyba jeszcze więcej czasu niż lekarzom innych specjalności. Przynajmniej jedną trzecią czasu spędzamy każdego dnia na rozmowach z rodzinami. Kiedy natomiast pacjent zaczyna wracać do przytomności, wsparcie ze strony pielęgniarek, lekarzy i rehabilitantów jest kluczowe.

W „Kore", jednej z książek Pańskiego ojca, czytamy o poszukiwaniu ciemnego źródła choroby. Co nim jest w przypadku COVID-19?

Chyba strach. Medycyna nie potrafi powiedzieć, kto przejdzie tę chorobę łagodnie, a kto najciężej. Więc zaobserwowanie u siebie objawów może wywołać panikę. Zadaniem lekarza jest uświadomienie pacjentowi, że choroba może przyjąć ciężki przebieg, ale też zapewnienie, że wspólnie zrobimy wszystko, co możliwe, żeby ją przezwyciężyć.

Czuje Pan więź z pacjentami?

Zdecydowanie. Pacjenci leżą u nas długo, nawet po 50-60 dni. Nieraz z domu wydzwaniam do kliniki, żeby spytać, co się dzieje z tym czy innym chorym. Bardzo przeżywamy sukcesy i niepowodzenia w ich leczeniu. Oczywiście do pewnej granicy. Musimy wytworzyć barierę do ochrony własnej psychiki. Bo bywa, że leczymy kogoś tygodniami i nagle następuje tąpnięcie. W ciągu godziny czy dwóch pacjent umiera. Takich przypadków podczas pandemii mieliśmy wiele.

GRAŻYNA MAKARA

Gdyby nie połączone siły naukowców z całego świata, nie mielibyśmy nawet tego światełka nadziei, co teraz. Mam nadzieję, że utrzyma się społeczne zainteresowanie medycyną i w ogóle nauką.

Jeżeli ktoś nie zdoła wytworzyć tej bariery, w takich momentach często się załamuje i nie jest w stanie dalej pracować w zawodzie, co wcale nie jest takie rzadkie.

Z czym zostaniemy po pandemii?

Uświadomiła nam, że mimo osiągnięć w wielu dziedzinach nie jesteśmy wszechwładni, jak mogło nam się wcześniej wydawać. Równocześnie chyba wszyscy dostrzegli, że rozwój nauki, szczególnie medycyny, jest kluczowy dla przetrwania ludzkości. Gdyby nie połączone siły naukowców z całego świata, nie mielibyśmy nawet tego światełka nadziei, co teraz. Mam nadzieję, że utrzyma się społeczne zainteresowanie medycyną i w ogóle nauką. Tym bardziej musimy zadbać o rzetelną informację. Zaniedbanie będzie skutkowało brakiem zaufania, tak jak w przypadku szczepionek.

Pandemia postawiła nam też przed oczami podstawowe zasady i wartości. Że styl życia jest kluczowy dla odporności. Że dewastacja środowiska jest zabójcza dla człowieka. Nie odrobiliśmy lekcji po pierwszym SARS. Może tamta epidemia za krótko trwała, ogarnęła za mały obszar, żebyśmy się opamiętali? Kiedy udało się ją powstrzymać, zaprzestano dalszych badań i nie wyciągnięto wniosków. COVID-19 w końcu zahamujemy, ale nie mam wątpliwości, że prędzej czy później zaatakują nas inne patogeny odzwierzęce. Mam nadzieję, że nie spoczniemy na laurach i kiedy pojawi się następne zagrożenie, będziemy przygotowani.

©℗ Rozmawiał MACIEJ MÜLLER

TYGODNIK POWSZECHNY ▪ **www.TygodnikPowszechny.pl**

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik),
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Okoński, Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmińska (kierownik), Mateusz Gawron, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Jan Klata, Andrzej Stasiuk, Jacek Podsiadło, Dorota Masłowska, Zuzanna Radzik, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Joachim Trenkner
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA — S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

Quad — Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny"

▪ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

▪ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Życzenie

„Jakub złączył swe nogi na łożu, wyzionął ducha i został przyłączony do swego ludu. Józef rozkazał swym sługom lekarzom, żeby zabalsamowali jego ojca" (Rdz 49, 33; 50, 2). Jakub wyraża życzenie, by jego ziemska powłoka spoczęła w rodzinnym grobowcu w Hebronie. Praojciec nie chce być pochowany w Egipcie, gdzie spędził ostatnie 17 lat. Józef wydaje dyspozycję, by ojcowskie zwłoki zakonserwować.

Oto jak Herodot opisuje technikę balsamowania w starożytnym Egipcie: za pomocą żelaznego haka wyciągano przez nozdrza mózg. Następnie robiono wzdłuż boku nacięcie, żeby wyjąć trzewia. Po przepłukaniu moczono je w winie palmowym i naparach z ziół. Potem wolną przestrzeń jamy brzusznej wypełniano mirrą, kasją i innymi wonnymi korzeniami. Po zaszyciu ciało starannie myto i ściśle okręcano tkaniną.

Podobne działanie nosi znamiona zakazanego w żydowskim prawie bezczeszczenia zwłok. Choć Tora została nadana na górze Synaj stulecia po ich śmierci, zgodnie z romantyczną wizją patriarchowie przestrzegali jej praw. Jest więc sens zapytać: Izraelici i balsamowanie?

Jeden z komentatorów twierdzi, iż prawo nie zostało naruszone, gdyż dokonano tylko „zewnętrznego balsamowania". Inny utrzymuje, że Józef złamał prawo i został ukarany przedwczesną śmiercią. Księga Rodzaju kończy się jednak słowami: „I umarł studziesięcioletni Józef. Zabalsamowano go i został złożony do trumny w Egipcie". Przekonuje mnie dopiero trzecia interpretacja: Jakuba zabalsamowano bez wyjmowania organów wewnętrznych – wstrzykiwano mu konserwujące substancje ziołowe poprzez jamę nosową, a iniekcje są dozwolone. Dlaczego Józef zlecił konserwację zwłok właśnie lekarzom? Jednak skoro trzeba wykonać serię zastrzyków...

Problem transportu ciała na zagraniczny pochówek sięga więc czasów patriarchów. Są osoby, które nie mieszkają w Ziemi Świętej, ale właśnie tam chciałyby spocząć. Respektowanie międzynarodowych umów wymaga, by przed „wysyłką" wstrzykiwać im do układu krwionośnego roztwór formaliny. Za tezą, iż Jakub nie został zabalsamowany w sposób tradycyjny, przemawia także czas trwania samego procesu. Tora wspomina o 40 dniach, podczas gdy starożytni potrzebowali aż 70. To prawda, że Egipcjanie odprawiali żałobę po Jakubie przez dni 70 – jednak czy wszyscy musieli wiedzieć, że „potraktowano" jego zwłoki w sposób niestandardowy?

A dlaczego w ogóle balsamować Jakuba? Czy ciało osoby tak sprawiedliwej mogłoby ulec rozkładowi? Według jednej z interpretacji Józef wiedział, że zwłoki ojca dotrwałyby bez konserwacji do czasu pogrzebu. Obawiał się jednak, by Egipcjanom nie przyszło wówczas do głowy oddawać Jakubowi boską cześć. Tylko bez cudu! ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Kuszenie Pana Boga

Samuel pomylił głos Boga z głosem człowieka. Dopiero Heli pomógł mu te dwa głosy odróżnić. Z nami dzieje się podobnie. Utożsamiając nasze poglądy z poglądami Boga, łatwo doprowadzić do tragedii. Znamy przecież takich religijnych przywódców, którzy porywali za sobą tłumy tylko po to, żeby zbić interes finansowy, psychiczny, społeczny czy religijny, nie mówiąc o politycznym, a potem, by tych wykorzystanych i siebie samych doprowadzić do zagłady. Zwykle wielkie nieszczęścia zaczynają się od drobnych przyjemności lub twardych przekonań, jak choćby sposób przystępowania do Stołu Pańskiego.

Nieprzyjmujący Chleba „na rękę" uzasadniają swoją niechęć obawą przed profanacją Ciała Pańskiego, świętokradztwem, zamachem na odwieczną tradycję, choć wiadomo, że przez tysiąc lat w ten sposób przystępowano do Stołu Pańskiego. Odrzucają też argumentację natury medycznej, estetycznej i etycznej. Powołują się za to na opinię pseudospecjalistów i na prywatne objawienia, zapominając, że nawet te potwierdzone przez Kościół nie należą do depozytu wiary i nikt nie musi w nie wierzyć.

Prących wszelkimi sposobami do postawienia na swoim, czyli przyjmowania Chleba wprost do jamy ustnej, chciałbym prosić o postawienie się w miejsce szafarza, prezbitera czy świeckiego. Choćbym nie wiem jak się starał, mało kiedy udaje mi się uniknąć obślinienia palców. Proszę sobie teraz wyobrazić, że takimi palcami podaję Hostię czyjemuś dziecku lub schorowanemu, starszemu człowiekowi. Albo odwrotnie, wyobraź sobie, że podaję Hostię tobie. Proszę, nie każcie mi wierzyć w cudowną moc Ciała i Krwi Pańskiej, bo taka wiara jest niczym innym, jak tylko kuszeniem Pana Boga, ja naprawdę mam dosyć swoich starych i nowych grzechów i nie chcę dokładać jeszcze jednego. Przecież Jezus wciąż przypomina, że: „To ludzie źli i wiarołomni domagają się znaku, ale będzie im dany jedynie znak proroka Jonasza". Ten znak, cud, został nam już dany, po co szukać jeszcze czegoś więcej?

Myślę, że wielu z nas ma już dość stania w takim liturgicznym, a przede wszystkim moralnym rozkroku. Wybór między przyjmowaniem hostii do ust czy na rękę nie jest wyborem między większym i mniejszym dobrem, dobrym i lepszym sposobem komunikowania. W ostatecznym rozrachunku jest to wybór między życiem i śmiercią. Uważajmy, żeby nie sprawdziły się na nas słowa Jezusa: „Ten lud czci Mnie wargami, ale ich serce jest daleko ode Mnie. Daremnie jednak cześć Mi oddają, głosząc pouczenia, które są ludzkimi nakazami. Odrzucając przykazanie Boże, trzymacie się ludzkiej tradycji. Dalej mówił im: »Zręcznie uchylacie przykazanie Boże, aby tworzyć własną tradycję«". ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Przestroga

Boska Wiedza
jest
we wszystkim.

HILDEGARDA Z BINGEN

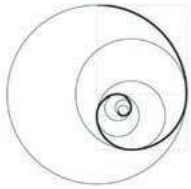

Wielka Droga
rozpościera się wszędzie.
Może być
na prawo i na lewo.

LAOZI

Najmocniejsza przestroga, jakiej udzieliło nam Słowo w minionym czasie? Według mnie ta, która zabrzmiała we fragmencie Pierwszego Listu św. Jana: „Nie [postępujcie] tak, jak Kain, który pochodził od Złego i zabił swego brata. A dlaczego go zabił? Ponieważ czyny jego były złe, brata zaś sprawiedliwe” (1 J 3, 12).

To zdanie nie dawało mi spokoju przez kilka kolejnych dni. Jak to? – pytałem. Jak to: pochodził od Złego? Przecież to nieprawda. Przecież pochodził od Boga. Wyraźnie mówi o tym Księga Rodzaju: „Mężczyzna [Adam] zbliżył się do swojej żony Ewy. A ona poczęła i urodziła Kaina, i rzekła: »Otrzymałam mężczyznę od Pana«” (Rdz 4, 1). Czy to możliwe, żeby człowiek „otrzymany od Pana” stał się naraz „pochodzącym od Złego”? W jaki sposób może się to stać?

Odpowiedź pada – jak się wydaje – w Janowym tekście nieco dalej. Apostoł pisze: „Jeśliby ktoś posiadał majętność tego świata i widział, że brat jego cierpi niedostatek, a zamknął przed nim swoje serce, jak może trwać w nim miłość Boga? (1 J 3, 17).

Kluczem jest tu słowo „trwać” – greckie *méno*. Otóż, jak widać, nie wystarczy pochodzić od Pana; trzeba jeszcze w Nim trwać. A jeszcze ściślej: trzeba Jemu pozwolić „trwać” w sobie. Chodzi o to, by Jego miłość trwała w nas.

Kain wygnał z siebie otrzymaną od Boga zdolność miłowania (*agápe*). Można powiedzieć, że zanim sam stał się tułaczem, wygnał z siebie miłość Boga. Zanim zabił brata – zabił miłość w sobie.

To wielkie wezwanie do uważności. Do tego, by pilnować w sobie wszystkich darów Boga. Prawda, że „dary Boga są nieodwołalne” (zob. Rz 10, 29), to znaczy Bóg ich nie odwołuje. Z drugiej wszakże strony nikomu nie narzuca ich siłą.

Okres Bożego Narodzenia ciągle nam to uświadamia: każdemu z nas dana jest szansa, by się „narodzić z Boga” (zob. J 1, 13); nikt jednak z nas nie jest do tego zmuszony. Szansa jest dana i zadana naszej wolności, i w pełni odpowiada naszej pierwotnej prawdzie. Człowiek może jednak ulec pokusie innego postrzegania siebie i tego, co uważa dla siebie korzystne. Może – jak Kain – zacząć widzieć nawet w najbliższych nie braci, lecz rywali; może w zazdrości podobnej do Kainowej zacząć traktować miłość Boga do brata jako odrzucenie siebie. Radość brata może go wpędzić – jak Kaina – w smutek i przygnębienie. Dramatem jednak jest nie tylko jeden czy drugi zły czyn; dramatem – mówi Jan – jest to, kim się człowiek staje: pochodzący od Boga staje się „pochodzącym od Złego”.

Konieczna puenta? Jest oczywiste, że ani św. Jan, ani cytujący go Kościół nie chcą w nas przetrącić Bożonarodzeniowej radości. Przeciwnie, chcą jej w nas ustrzec. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (17 – 24 I)

2. niedziela zwykła: 1 Sm 3, 3b-10. 19; Ps 40; 1 Kor 6, 13c-15a. 17-20; J 1, 35-42;
Poniedziałek: Hbr 5, 1-10; Ps 110; Mk 2, 18-22;
Wtorek: Hbr 6, 10-20; Ps 111; Mk 2, 23-28;
Środa: Hbr 7, 1-3. 15-17; Ps 110; Mk 3, 1-6;
Czwartek: Hbr 7, 25 – 8, 6; Ps 40; Mk 3, 7-12;
Piątek: Hbr 8, 6-13; Ps 85; Mk 3, 13-19;
Sobota: Hbr 9, 1-3. 11-14; Ps 47; Mk 3, 20-21;
3. niedziela zwykła: Jon 3, 1-5. 10; Ps 25; 1 Kor 7, 29-31; Mk 1, 14-20.

Wybrał PIOTR SIKORA

PRAWO I ŻYWIOŁ

Antyszczepionkowcy bardziej niż ktokolwiek inny powinni się domagać wprowadzenia ustawowego obowiązku szczepienia na COVID-19.

KLAUS BACHMANN

AGNIESZKA SADOWSKA / AGENCJA GAZETA

Szpital Kliniczny Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku. Szczepienia pracowników przeciwko COVID-19. 4 stycznia 2021 r.

Początek kampanii szczepień na COVID-19 to nie powód, by myśleć o końcu pandemii. Przeciwnie, może nawet oznaczać całkiem nowe problemy. Jeśli operacja przebiega w danym kraju zbyt wolno, zostanie on niejako postawiony do kąta przez międzynarodową społeczność: loty do niego nie zostaną szybko wznowione, co np. dla gospodarek zależnych od wpływów z turystyki może być gwoździem do trumny. Pandemia zamroziła międzynarodową komunikację i turystykę, a teraz zacznie się redystrybucja udziałów na tym rynku na długie lata – w zależności od tego, jak szybko poszczególne państwa zdołają zmniejszyć ryzyko infekcji i zachorowania na swoim terenie.

Starsi, czyli mniejszość

Analogiczne rozwarstwienie zacznie zachodzić wewnątrz każdego kraju, dopóki nie będzie mowy o takim stopniu zbiorowej odporności, który pozwoli uchronić służbę zdrowia przed zapaścią. Dla wszystkich zwolenników urynkowienia i prywatyzacji służby zdrowia to ważna lekcja: los wielu innych branż gospodarki zależy od wytrzymałości i jakości jednej usługi publicznej!

Jeśli liczba niechętnych szczepionkom będzie zbyt duża, może to trwać lata. Masowa odporność zostanie osiągnięta poprzez wzajemne zakażanie się, za cenę zapaści służby zdrowia i bardzo wysokiej liczby ofiar. W Polsce jesteśmy dość blisko takiego scenariusza. Według sondaży tylko ok. 43 proc. Polaków zamierza się szczepić. Nic dziwnego: rządzący bardzo późno zaczęli składać jednoznaczne deklaracje, wielu pamięta „nie, bo nie" prezydenta Dudy, zresztą zaufanie Polaków do instytucji państwa zawsze było niskie.

Rząd scentralizował gromadzenie danych o ofiarach śmiertelnych pandemii już podczas pierwszej fali, a kilka tygodni temu zakazał publikowania danych, za pomocą których można było weryfikować prawdziwość informacji o infekcji. Nie zdążył jednak zmanipulować danych o nadumieralności, które najwymowniej świadczą o wydolności służby zdrowia oraz pośrednich i bezpośrednich ofiarach pandemii. Do końca listopada 2020 r. w Polsce umarło 74 tys. więcej osób niż w roku poprzednim. W Stanach Zjednoczonych różnica ta wyniosła ok. 377 tys. zgonów, w Niemczech – 15 354 zgony. Czyli dla Niemiec wskaźnik nadmiarowych zgonów na milion mieszkańców to 187,24, dla Stanów – 1138,97, dla Polski – 1947,36...

Aby było jasne: nie twierdzę, że 74 tys. zmarłych więcej to wina rządu. To skutek słabości i wieloletniego niedofinansowania służby zdrowia, skutek paniki, która kazała ludziom chorującym na inne dolegliwości zostać w domu i nie chodzić do lekarza podczas pierwszej fali, to wina przekształcenia całych szpitali w szpitale jednoimienne oraz sytuacji, w której dla dużej liczby ludzi cierpiących na choroby cywilizacyjne wirus okazał się śmiertelny z powodu ich osłabienia. Wiele z tych rzeczy było nie do uniknięcia podczas pierwszej fali. Ale teraz już nikt nie może się zasłaniać brakiem doświadczenia i każdy z nas współdecyduje o tym, czy ten scenariusz się powtórzy.

W krajach o ugruntowanej demokracji, gdzie stabilne i niezależne instytucje ograniczają pole manewru rządu i chronią mniejszości wszelkiego rodzaju (są nimi też osoby starsze z chorobami współistniejącymi) przed jednostronnymi decyzjami większości, sprawa jest jasna: większość nie ma prawa skazywać mniejszości na pewną śmierć. W Polsce, gdzie takich instytucji już nie ma, a w dodatku wielu ludzi uważa demokrację za ustrój, którego istotą jest zapewnienie większości nieskrępowanego rządzenia, nie jest to oczywiste. Wystarczy kilkudziesięcioprocentowa relatywna większość niechętnych szczepionce, by skazać na śmierć kolejne kilkadziesiąt tysięcy ludzi przy biernej postawie pozostałych.

Paradoks polega na tym, że nawet ta relatywna większość nie odniesie żadnych korzyści. Jeśli się wszyscy szybko zaszczepimy, możemy mieć poluzowanie restrykcji, w miarę funkcjonalną służbę zdrowia i mało dodatkowych ofiar. Bez szczepień czekają nas: lockdown, zapaść służby zdrowia i dużo dodatkowych ofiar. A z powodu słabości naszej służby zdrowia restrykcje w życiu codziennym i tak będą. Marzenia o „szwedzkiej drodze" i „żywiołowo osiągniętej odporności stadnej" są marzeniami o innym społeczeństwie, młodszym, zdrowszym i z lepszą służbą zdrowia.

Kto płynie głównym nurtem

Z tego względu byłoby wysoce wskazane, aby Sejm i Senat uchwaliły ustawę narzucającą obowiązkowe szczepienia na COVID-19 wszystkim Polakom, dla których szczepionka jest bezpieczna. Byłoby to i celowe, i demokratyczne. Nie naruszyłoby praw człowieka ani konstytucji (gdyby to drugie miało jeszcze jakiekolwiek znaczenie). Doszłoby zapewne do naruszenia nietykalności cielesnej ↦

↦ antyszczepionkowców, ale negatywne skutki dla nich i tak byłyby mniejsze niż w przypadku wydłużenia okresu osiągania masowej odporności. To ostatnie jest bowiem śmiertelne, to pierwsze – tylko bolesne.

Nie byłby to pierwszy raz, gdy państwo zmusza pojedynczych obywateli do zachowania chroniącego ogół. Robiło to przy wprowadzeniu obowiązku szczepiennego dotyczącego innych chorób, okresowych badań, zakazu prowadzenia pojazdów w stanie nietrzeźwym, a także odbierając prawo jazdy ludziom o słabym wzroku czy ograniczając dopuszczalną prędkość jazdy samochodem. Jedyny wielki problem to – jak przy innych nakazach i zakazach – skuteczność. Ale ten problem tak czy owak – nawet bez ustawowej regulacji – zostanie rozwiązany i to w najmniej właściwym do tego miejscu – na ulicy.

Normy społeczne wpływają na nasze zachowanie dlatego, że stoi za nimi monopol państwa na stosowanie przemocy, albo dlatego, że organy państwa, które wydają przepisy z nimi zgodne, cieszą się dużym zaufaniem. Wtedy nawet apele nieobwarowane karami mogą znaleźć posłuch. Żadna przecież ustawa nie zmusza nas do pomocy staruszce, która upadła na chodniku, ani do przekazania darowizny na rzecz służby zdrowia – a mimo to wrzucamy pieniądze do puszki WOŚP, aby w oczach własnych i innych uchodzić za dobrych ludzi.

W swoich zachowaniach naśladujemy więc zachowania naszej grupy referencyjnej (przyjaciół, rodziny, parafii, kręgu kolegów). W najbliższych tygodniach dowiemy się, jak wygląda w Polsce mainstream dotyczący szczepień. Jeśli ruch antyszczepionkowców przeważy, tylko nonkonformiści będą się szczepić. Wtedy rząd będzie zmuszony albo wprowadzić restrykcje wbrew większości obywateli, albo całkowicie poświęcić służbę zdrowia.

Trudno sobie wyobrazić, aby rząd ze słabą, chwiejną większością w Sejmie i bez wyraźniej strategii, który raz po raz ucieka się do improwizacji, wziął na siebie ryzyko wprowadzenia drastycznych ograniczeń wbrew woli większości i sporej części własnego elektoratu. Zostaje drugie wyjście: nie wprowadzić obowiązku szczepienia i liczyć na to, że udział ciężkich infekcji w ogólnej liczbie zakażeń zmaleje, że zarażać się będzie coraz więcej młodych i zdrowych, którzy nie obciążą oddziałów intensywnej opieki. Można też założyć, że ludzie starsi i chorzy, którzy mogliby doprowadzić do przeciążenia szpitali, już zmarli. Kto się jednak przeliczy, będzie miał do czynienia z paniką i z koniecznością ostrego lockdownu w czasie, kiedy inne państwa będą otwierać swoje gospodarki i granice.

> Drukarz, powołując się na klauzulę sumienia, może odmówić gejowi wykonania usługi. O ile silniejszy argument może mieć właściciel restauracji, **który odmawia wstępu niezaszczepionym klientom,** chroniąc bezpieczeństwo własne i gości.

Bez litości

Wygrana przeciwników szczepień jest mało prawdopodobna, bo mają przeciwko sobie rząd, rządowy aparat propagandowy, media opozycyjne, są też słabo zorganizowani. Bardziej prawdopodobne, że mainstream będzie przeciwko nim i ludzie, którzy chcą się zachować moralnie, będą się szczepić i będą uważać uchylanie się od szczepienia za coś godnego potępienia. I to jest właśnie sytuacja, w której sami antyszczepionkowcy powinni się domagać uchwalenia ustawy wprowadzającej obowiązek szczepienia. Bez niej problem zostanie rozwiązany żywiołowo i w sposób bardziej bezwzględny.

Decydować będzie bowiem rodzaj wolnego rynku. Jak to wygląda, można już obecnie śledzić w doniesieniach z zagranicy, a czasami też z Polski: wojsko wysyła na zagraniczne misje tylko żołnierzy, którzy mogą udowodnić, że zostali zaszczepieni na COVID-19. Australijska linia lotnicza Qantas ogłosiła, że na pokład wpuszcza tylko pasażerów ze świadectwem szczepienia, a mniejsze linie idą jej śladem.

W Niemczech trwa dyskusja, czy Lufthansa powinna postąpić podobnie. Wielu polityków opowiada się przeciwko dyskryminacji niezaszczepionych (dyskutuje się nawet o ustawowym jej zakazie) – ale dzieje się to w kraju, gdzie ludzi gotowych do szczepień jest bardzo dużo, zaufanie do państwa wysokie, a postulat niedyskryminowania dotyczy tylko początkowego okresu, w którym nie wszyscy mogą się zaszczepić równie szybko. Kiedy każdy będzie już miał tę możliwość, dylemat wróci: albo będzie powszechny obowiązek ustawowy, albo społeczeństwo wprowadzi go samo, z większą bezwzględnością niż ustawodawca.

Getta nieszczepionych

Bez ustawowej regulacji przeciwnicy szczepień mogą się nie szczepić, ale konsekwencje ponoszą wtedy sami. Kiedy zechcą wyjechać za granicę, ich los zależy od regulacji innych państw. Obecnie przedsiębiorca lub turysta wyjeżdżając musi albo przedstawić wynik aktualnego testu na COVID-19, albo odsiedzieć swoje na kwarantannie – czasem też powtórnie po powrocie do swojego kraju. Antyszczepionkowiec, który czuje się wykluczony we własnym kraju, może pójść do sądu. Nie ma jednak sądu, który byłby w stanie obalić zakaz wjazdu do innego kraju – decyzja o tym, kto może i kto nie może wjechać na jego teren, leży wyłącznie w gestii jego władz.

Podobnie sytuacja wygląda też w samej Polsce. Restauracje, kina i teatry nie mogą nam zakazać palenia papierosów, ale mogą zakazać palenia wewnątrz lokalu. Analogicznie mogą też wpuszczać tylko osoby zaszczepione. Teoretycznie można by im takiej dyskryminacji zakazać – do czego obecnie zmierza niemiecka dyskusja. Ale nawet wtedy ustawodawca nie nakaże ludziom zaszczepionym wchodzenia do wspólnego pomieszczenia z nieszczepionymi. Jeśli większość ludzi uzna szczepienie za konieczne, właściciel restauracji stanie przed dylematem, czy zarabiać na klientach szczepionych, czy też ich odstraszać, budując niszę dla mniej licznych antyszczepionkowców.

Szczepionka daje szczepionym pewność, że nie zachorują, to znaczy, że nie będą mieli objawów. Na razie nie wia-

domo, czy zaszczepiony po kontakcie z zakażonym może przenosić wirusa na innych. Kto więc, będąc zaszczepionym, wchodzi do restauracji, w której przebywają osoby zakażone, ma pewność, że nie zachoruje, ale nie ma pewności, czy nie przyniesie wirusa do domu, gdzie mieszkają jego niezaszczepieni rodzice albo dziecko z wadliwym systemem odporności. Na pewno zadziała efekt psychologiczny każący unikać kontaktów z osobami uważanymi za niebezpieczne.

Powstanie „gett dla niezaszczepionych" jest bardzo prawdopodobne, jeśli państwo zostawi sprawę siłom wolnego rynku albo, mówiąc inaczej, ulicy. I paradoksalnie takie getta staną się największymi źródłami infekcji.

Nowa klauzula sumienia

Niektórzy z niemieckich antyszczepionkowców już przewidzieli, co ich czeka, i zapobiegawczo odgrywali rolę ofiar, przyklejając sobie podczas ubiegłorocznych manifestacji na ubrania gwiazdy Dawida – ku oburzeniu mediów i polityków.

Państwo nie może antyszczepionkowcom nakazać noszenia oznak informujących o braku szczepienia, nie może też jednak zakazać szczepionym oznaczania siebie samych. Puszczenie tego na żywioł będzie szczególnie dotkliwe dla wszystkich tych, którzy nie mogą się szczepić, bo np. cierpią na schorzenia, które wykluczają taką możliwość. Bez regulacji ustawowej będą dyskryminowani na równi z tymi, którzy mogą, ale nie chcą się szczepić. Innymi słowy: dla niezaszczepionych dyskryminacja będzie większa, jeśli państwo tej sprawy nie ureguluje w ogóle, niż po uchwaleniu ustawy o powszechnym obowiązku szczepień.

Żyjemy w kraju, w którym drukarz, powołując się na klauzulę sumienia, może odmówić gejowi wykonania usługi, mimo że ta usługa w niczym drukarzowi nie zagraża. O ile silniejszy argument ma właściciel restauracji, który odmawia wstępu niezaszczepionym klientom, powołując się nie tylko na własne (i, jak w przypadku drukarza, dość arbitralne) sumienie, lecz także na potrzebę ochrony bezpieczeństwa własnego i gości?

Gdyby Polska była dobrze funkcjonującą demokracją liberalną, w której ustawy uchwala się po szerokich konsultacjach i dogłębnej dyskusji w obu izbach parlamentu, proces przygotowania ustawy wprowadzającej powszechny obowiązek szczepień umożliwiłby antyszczepionkowcom przedstawienie ich argumentów. Jeśli faktycznie wiedzą lepiej i więcej o tym, jak funkcjonują wirusy i szczepionki, niż lekarze, naukowcy, Światowa Organizacja Zdrowia i agencje dopuszczające szczepionki do użytku, mieliby okazję, by to udowodnić.

Tak jednak się nie stanie. Można śmiało zakładać, że w obecnym systemie politycznym rząd, gdyby się zdecydował na taki krok, skłoni Sejm do uchwalenia ustawy w ekspresowym tempie, odrzucając wszystkie zmiany Senatu i każąc prezydentowi natychmiast złożyć podpis, a dyskusja i konsultacje odbędą się wtedy, kiedy już wszystkie błędy, ułomności i niezamierzone skutki ustawy wyjdą na jaw. Ekspresowa procedura i tak jest lepsza od sytuacji, w której minister zdrowia podpisuje rozporządzenia w zaciszu gabinetu, otoczony przez lobbystów, albo od braku jakichkolwiek decyzji.

Taka ustawa definiowałaby wyjątki i dokumenty, za pomocą których obywatele mogą udowodnić, że nie mogli i nie musieli się zaszczepić. Ograniczałaby też zakres dyskryminacji osób, które się z własnej woli nie zaszczepiły. Stałoby się to, co regulacje zawsze powodują: wolny rynek zostanie okiełznany, sytuacja stanie się dla wszystkich trochę bardziej obliczalna i będzie podlegać kontroli sądów.

Tak byłoby lepiej, ale tak nie będzie. Dla zbyt wielu ludzi demokracja polega na tym, że większość, korzystając z monopolu państwa na stosowanie przemocy, narzuca mniejszości to, co sama uważa za słuszne. Dotąd za takie rozumowanie demokracji mniejszość płaciła słoną cenę, a kiedy jej się udało uzyskać większość, chwytała za ten sam kij i biła nim dotychczas rządzących i ich zwolenników. W tym przypadku będzie inaczej: za brak regulacji zapłacą wszyscy. Tam, gdzie zwolennicy i przeciwnicy szczepionki się kłócą, tylko jeden korzysta – wirus.

© KLAUS BACHMANN

REKLAMA

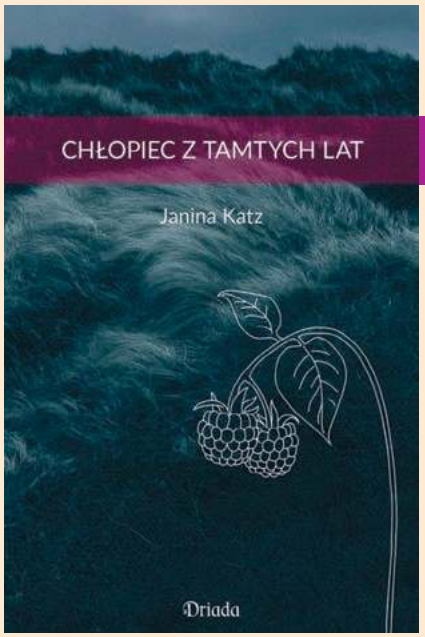

Driada

Długo oczekiwana powieść Janiny Katz

o emigrantach, którzy po Marcu 1968 r. próbują ułożyć sobie życie w Danii.

Ten oraz inne nasze tytuły, m.in. reportaż duńskiej dziennikarki i serię "Andersen dla dorosłych"

znajdziesz w: www.ksiegarniadunska.pl

Przeciw Kasandrom

KRZYSZTOF BIEDRZYCKI

Po pandemii nie ma powrotu do szkoły, jaką znaliśmy. Nauczanie online obnażyło bezsens dydaktyki opartej na transmisji wiedzy, którą umocniła ostatnia reforma PiS.

COVID-19 nie tylko zabija, ale powoduje trzęsienie ziemi chyba we wszystkich dziedzinach życia, także w życiu młodych ludzi. Alarmują WHO i UNICEF. Nawet papież Franciszek. Dzieci pozbawione ruchu, zamknięte w domach, siedzące przed komputerami zapłacą (niektóre już płacą) wysoką cenę zdrowotną, w tym psychiczną.

Utrwalą się, a nawet pogłębią różnice społeczne, a w konsekwencji polityczne – znacznie lepiej, co nie znaczy, że dobrze, radzą sobie dzieci ze środowisk o wyższym statusie ekonomicznym i większym kapitale kulturowym. Tak zostanie na lata.

Zwiększają się różnice między krajami, a wręcz kontynentami. Ekonomiści przestrzegają, że „pokolenie COVID-19" (wszystkie roczniki, które obecnie są objęte nauką szkolną, a nawet dzisiejsi studenci) może być trwale upośledzone na rynku pracy. Lekarze dodają, że z braku ruchu mogą żyć krócej niż ich rodzice i dziadkowie.

To są wizje Kasandry, ale pamiętajmy, że Kasandra jednak miała rację.

Izotop dla każdego

Na początku lat 90. widziałem w księgarni książkę „Przepowiednie o końcu świata i dobre dla Polski". Tym razem dobrych wieści dla Polski nie ma. Koniec jakiegoś świata, także w edukacji, przyszedł i jesteśmy w tej samej sytuacji, co niemal wszyscy. A nawet gorszej, bo nieszczęście zarazy nałożyło się na wcześniejsze nieszczęście zmian w szkolnictwie przeprowadzonych przez Annę Zalewską. Nauka online w całej pełni obnażyła niecelowość i bezsens tamtych przedsięwzięć.

Nie wiemy, jak z pracą zdalną radziliby sobie nauczyciele gimnazjalni, ale można domniemywać, że jednak lepiej niż ci ze szkół podstawowych, zwłaszcza wiejskich. Byli wyposażeni w lepszą wiedzę o nowoczesnych metodach dydaktycznych, w tym o możliwościach tkwiących w technologiach cyfrowych.

Dużo o tym pisano, ale poza nauczycielami i rodzicami nikt już nie pamięta, co eksperci Anny Zalewskiej przygotowali dzieciom. Wielokrotnie zadawano pytanie, po co były tamte zmiany. Przekonujących odpowiedzi nie doczekaliśmy się, ale z różnych uzasadnień można wywnioskować, że były trzy cele.

Jeden – jak wynika z opinii nowego ministra edukacji, niezrealizowany – to wychowanie patriotyczne. Temu miałyby służyć język polski, historia i wiedza o społeczeństwie podporządkowane wąsko pojmowanej narodowej aksjologii. Drugi cel to spełnienie oczekiwań lobby dyrektorów i nauczycieli licealnych, by wzmocnić, a więc wydłużyć ten etap edukacji. Żeby to osiągnąć, zlikwidowano gimnazja, czyli rodzaj szkół, w którym w ciągu kilkunastu lat istnienia wypracowano najefektywniejsze w całym systemie metody nauczania.

Był jednak i cel trzeci – spełnienie oczekiwań środowisk akademickich, by przygotować dobrych kandydatów do studiów na wszelkich kierunkach. Uznano, że przyczyną niedokształcenia jest brak wiedzy. Dlatego postanowiono, że wszystkich uczniów wyposaży się w tak duży zasób wiadomości, iżby mogli potem bez kompleksów podejmować jakiekolwiek studia. Skoro dzisiaj studenci pierwszego roku fizyki mają braki w wiedzy z tej dziedziny, to wszyscy ich młodsi koledzy już na etapie szkoły podstawowej powinni opanować tak dużo faktów fizycznych, by mogli – jeśli kiedyś się na to zdecydują – bez kompleksów podjąć studia na tym kierunku. Podobnie jest z polonistami, biologami i muzykologami. A zatem np. uczeń siódmej klasy musi wiedzieć, co to są izotopy, za pomocą których wzorów obliczyć ruch jednostajnie przyspieszony i ruch zmienny, jak oszacować procent wagi łosia względem wagi niedźwiedzia, znać ery geologiczne, poglądy konserwatystów krakowskich w XIX wieku, dokonywać obliczeń w systemie binarnym, a nadto przeczytać drugą część „Dziadów" i „Zemstę", szykować się do lektury „Quo vadis" i znać treść poszczególnych trenów Kochanowskiego.

Ramy nauczania są sztywne, więc uczeń spędza w szkole (a teraz przed ekranem komputera) bez mała 40 godzin tygodniowo, ponadto codziennie dodaje do tego – powiedzmy – dwie godziny nauki po lekcjach. Pojawił się paradoks. Jako cele ogólne w poszczególnych przedmiotach w podstawach programowych wskazano samodzielne myślenie, rozwiązywanie problemów, kreatywność (tak!) – a nie zostawiono na to czasu.

Wszystko dla wszystkich

Było ciężko i przed epidemią. Zresztą półgębkiem przyznali się do tego rządzący. W programie wyborczym PiS w 2019 r. napisano: „Nowa podstawa programowa (...) różni się od dawnego »minimum programowego«, ponieważ określa maksimum treści, pozostawiając nauczycielowi możliwość dostosowania ich do potrzeb i zdolności uczniów". Wskazano więc maksimum (skądinąd to zadziwiająca logika, czyżby więcej nie było wolno?), a sprzedano to w postaci podstawy obowiązującej wszystkich.

Nie ma co się jednak zatrzymywać przy samej niespójności. Chodzi o rzecz naprawdę poważną. Szkoła, której celem jest przygotowanie każdego ucznia do studiów w jakiejkolwiek dziedzinie, nie spełni, bo nie może spełnić funkcji, do której jest powołana. Owszem, dobrze jest coś wiedzieć o limfocytach i odróżniać Poloneza As-dur od Poloneza A-dur Chopina, a także wiedzieć, którzy wodzowie prowadzili powstańców listopadowych czy styczniowych do kolejnych klęsk. Tylko że znacznie ważniejsze jest rozwijanie samodzielnego myślenia, umiejętności docierania do wiedzy, weryfikowania jej wiarygodności, formułowania opinii i jej uzasadniania, rozumowania i rozumienia, budowanie wrażliwości, mówienie o emocjach, przeżywanie literatury i sztuki. Obowiązujący od 2017 r. system oparty został na fałszywym przekonaniu, że najważniejsza jest akademicka wiedza, tyle tylko że sprowadzona do postaci *ad*

GRZEGORZ CELEJEWSKI / AGENCJA GAZETA

Zdalnie prowadzona lekcja w szkole w Katowicach, październik 2020 r.

usum Delphini, a więc z natury uproszczona. Wobec tego na lekcjach biologii kształci się przyszłego studenta biologii (albo lekarza), na lekcjach plastyki historyka sztuki lub malarza, a na lekcjach matematyki matematyka.

Wprost o tym napisała autorka podręcznika do fizyki: „dobre podstawy pozwolą w liceum wybrać klasę o profilu ścisłym, a potem studia techniczne". Po to jest nauka fizyki w szkole. Potem tylko dodaje od niechcenia: „humanista także powinien znać zasady funkcjonowania przyrody". Tylko że dla przyszłego inżyniera owo „maksimum treści" oznacza za mało, niech on rozwija swoje zainteresowania i wykracza poza szkolne uproszczenia. Natomiast wszyscy niech poznają zasady myślenia naukowego, stawiania tezy i szukania doświadczalnych dowodów na jej uzasadnienie, niech zamiast obliczania wzorów poznają reguły rządzące światem. Niech zrozumieją, jak funkcjonuje fizyczna rzeczywistość.

Zmiany dla pozorów

Nauczanie online obnażyło nieskuteczność dydaktyki opartej na transmisji wiedzy. Uczeń, nawet jeśli siedzi przed ekranem tych kilka przepisanych godzin, w znacznie mniejszym stopniu niż w klasie absorbuje przekaz, bo możliwości skupienia są ograniczone. Toteż cele, które zostały wyznaczone przez podstawę programową, nawet w optymalnych warunkach (świetnie prowadzone lekcje, dzieci mające dobre warunki do pracy zdalnej i dobrze zmotywowane) są niemożliwe do osiągnięcia. Co dopiero mówić o sytuacjach – chyba częstszych niż rzadszych – gdy warunki wcale nie są wymarzone: nauczyciele sobie nie radzą, zawodzi technologia, dzieci nie łączą się na lekcje.

Na pewno są tego świadome władze oświatowe, ale podjęte przez nie działania bazują na kolejnej grze pozorów. Uznano mianowicie, że jedyne, co można zrobić, to ułatwić egzaminy. I ogłoszono, że egzamin ósmoklasisty, a także matura będą w tym roku prostsze. Trochę mniej zadań, mniej rygorystyczne kryteria oceniania. I okrojona o 30 procent podstawa programowa. O jakie 30 procent?

Przyjrzyjmy się, jak to wygląda w przypadku języka polskiego. W szkole podstawowej wycofano umiejętności związane z wypowiedziami ustnymi, tworzeniem tekstów na nośnikach elektronicznych czy samokształceniem (a więc umiejętności i tak niesprawdzane na egzaminie), a także zrezygnowano ze znajomości dwóch części mowy – partykuły i wykrzyknika, homonimów, użycia średnika. Dodatkowo odpuszczono lekturę kilku drobnych tekstów i jednej powieści – „Syzyfowych prac" (co za ironia: gdy w 2008 r. powieść ta przestawała być lekturą obowiązkową, ogłoszono niemal żałobę narodową, jeden z dzienników na pierwszej stronie opublikował wielkie zdjęcie Żeromskiego w czarnej obwódce; w 2017 r. ją przywrócono, by teraz na chwilę znów odsunąć na bok).

Na maturze zrezygnowano z egzaminu ustnego – i tyle. Mamy więc do czynienia z działaniami doraźnymi i pozornymi, z lekkim ułatwieniem życia zdającym. Nie ma natomiast pomysłu, co dalej, bo edukacja w takiej formie, jaką jej nadała minister Zalewska, już nie działa. O ile w ogóle w jakiś sposób przez chwilę działała.

Wyzwanie, nie katastrofa

Czy nauka zdalna ma tylko wady? Nie, jest przecież sprawdzona w wielu krajach. To nie tylko możliwość prowadzenia lekcji dla uczniów, którzy nie są fizycznie obecni w szkole. To przełamanie klasycznego szkolnego układu klasy, gdzie uczniowie siedzą jeden za drugim i widzą tylko plecy kolegów – tu wszyscy są równi i widzą nawzajem swoje twarze.

Inna, czasem lepsza, może być dynamika działań dydaktycznych, gdy np. wspólnie realizuje się jakiś projekt. Dobre perspektywy otwiera praca polegająca na wyszukiwaniu w sieci i weryfikowaniu informacji, sprawdzaniu źródeł, korzystaniu z filmów i innych materiałów. Dobrze się sprawdzają tak praca samodzielna, jak w grupach. Zmienia się ↦

↦ rola nauczyciela, który nie jest już w centrum (czego wyrazem jest jego uprzywilejowana pozycja w przestrzeni klasy), ale pozostaje mu rola pierwszego wśród równych. Tak więc chodzi nie o to, że ta forma nauki jest katastrofą, ale że może służyć osiągnięciu innych celów aniżeli te wyznaczone przez tradycyjną, a zrestaurowaną w Polsce w ostatnich latach, dydaktykę.

Fundacja Gospodarki i Administracji Publicznej oraz Małopolska Szkoła Administracji Publicznej Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie opublikowały niedawno raport „Poza horyzont. Kurs na edukację. Przyszłość systemu rozwoju kompetencji w Polsce" opracowany przez zespół pod kierunkiem prof. Jerzego Hausnera. Prace rozpoczęły się długo przed pandemią, ale potwierdzają to, z czym polska edukacja się zmierzyła, gdy uderzył w nią koronawirus. Warto do tego raportu w przyszłości wrócić, bo powinien się stać inspiracją nie tylko do myślenia o szkole, ale przede wszystkim do działań.

Tutaj chciałbym zwrócić uwagę na fundamentalny postulat – przejścia od transmisyjnego modelu edukacji do modelu relacyjnego, w którym najistotniejsze byłoby samodzielne docieranie do wiadomości, oparte na zaangażowaniu emocjonalnym w poznawanie świata (ekscytacji), własnym doświadczeniu, kojarzeniu faktów i opinii (asocjacji), a także odróżnianiu jednych od drugich, budowaniu więzi i umiejętności współpracy. W pierwszym modelu nauczyciel jest przekazicielem wiedzy, mentorem. W drugim – towarzyszem w poszukiwaniu mądrości.

To nie może się udać

Myślenie o nowym modelu szkoły to już nie jest potrzeba kreatywnych nauczycieli i przejętych rozmaitymi teoriami dydaktyków akademickich. To kategoryczny wymóg w sytuacji, gdy szkoła, jaka funkcjonowała przez dziesięciolecia, w mig została zakwestionowana.

Niestety wielu nauczycieli, nawet tych, którzy dobrze opanowali formy kształcenia na odległość, próbuje przenieść tradycyjne metody do sieci. A to nie może się udać. Inna jest percepcja uczniów, inna komunikacja, inne sposoby docierania do wiedzy. O wiele łatwiej było opanować Teamsa czy Skype'a, niż zmienić dydaktykę. Oczywiście nie można o to winić nauczycieli, bo takie zmiany nie dokonują się w ciągu kilku miesięcy. Zwłaszcza że nie przestała obowiązywać podstawa programowa ani – mimo pewnych modyfikacji – formuła egzaminów. Trudno też się spodziewać, że zostaną podjęte radykalne kroki na szczeblu ministerialnym – są wprawdzie zapowiadane, ale mają dotyczyć wychowania patriotycznego w rozumieniu obecnej władzy, a nie istoty kształcenia.

Co zatem należałoby zrobić? Na poziomie elementarnym inicjatywa powinna należeć do nauczycieli. Zarówno zmniejszenie wymagań egzaminacyjnych, jak wspomniany wyżej zapis z deklaracji programowej partii rządzącej pokazują, że istnieje hierarchia ważności treści nauczania, a nauczyciel musi decydować, co jest naprawdę istotne dla wszystkich, a o czym wystarczy rozmawiać z uczniami szczególnie zainteresowanymi przedmiotem.

To ma duże znaczenie przy zdalnej edukacji. Większość może poświęcić 15 minut uwagi na prezentację budowy atomu – zapaleni do tematu niech natomiast sami szukają informacji, uczą się je weryfikować, wykorzystywać i prezentować kolegom. To samo z pozostałymi przedmiotami, nawet z językiem polskim i matematyką. A może zwłaszcza z nimi, gdzie trzeba kłaść nacisk na samodzielność myślenia i rozwiązywania problemów, a nie odtwarzanie wiedzy. Choć egzaminy nie cieszą się dobrą opinią, to warto zauważyć, że podczas egzaminów z języka polskiego i matematyki wymienione w poprzednim zdaniu umiejętności są premiowane.

Chodzi o przesunięcie akcentów w ramach obowiązujących podstaw programowych i obecnych wymagań egzaminacyjnych. To jednak wymagałoby od nauczycieli dużo wysiłku – a do tego mają energię i chęć tylko nieliczni. Trudno zresztą wymagać oddolnej rewolucji programowej na masową skalę.

Najpewniej więc nadal nauka będzie się toczyła tak, jak dotychczas. Coraz sprawniej technicznie, bez zmian jeśli chodzi o cele i treści kształcenia. Będziemy udawali, że już w szkole podstawowej w skali masowej przygotowujemy przyszłych naukowców. I spróbujemy za jakiś czas wrócić do budynków szkolnych, by wszystko było po staremu. A nie będzie.

Trzeba więc intensywnie myśleć nie o reformie, ale o fundamentalnej przebudowie systemu. Poddajmy się zatem myśleniu utopijnemu.

Nauczyciel w centrum

Ponadpolityczne porozumienie w sprawie kształcenia wydaje się teraz niemożliwe, ale może kiedyś, jak 50 lat temu w Finlandii, wypracujemy konsensus? Oparty na rzetelnej wiedzy pedagogicznej, psychologicznej i antropologicznej, a nie na doraźnych celach rządzących partii. Żeby uwolnić edukację od gier politycznych, trzeba by powołać ekspercką Komisję Edukacji Narodowej, która opracowywałaby strategię kształcenia, podstawy programowe i zatwierdzała podręczniki. Gdyby doszło do opracowania nowej konstytucji, koniecznie musiałby się w niej pojawić zapis w tej sprawie.

I druga utopia. Mogą się zmieniać rządy, programy, mogą przychodzić epi-

POŻEGNANIE

Z głębokim smutkiem i żalem
przyjęliśmy wiadomość o śmierci

Ś.† P.

Zbigniewa Kamoli

Wyrazy głębokiego współczucia
Rodzinie i Bliskim

składają

Wojciech i Agnieszka Kostrzewa

demie, a i tak w edukacji na pierwszej linii frontu będą nauczyciele. I o nich trzeba szczególnie zadbać. Samo ich wykształcenie na uczelniach nie wystarczy, bo potem przez 40 lat są właściwie pozostawieni sami. Przychodzą kolejne reformy, zmienia się świat, trzeba się dostosowywać do nowych technologii i do nowego rozumienia świata, a oni co najwyżej się „doskonalą". Tymczasem nauczyciel, któremu powinniśmy zaufać, który powinien być samodzielny w podejmowaniu decyzji dydaktycznych, zarazem musi mieć silne wsparcie. Nie kontrolę, jak to jest obecnie, ale wsparcie.

Dwojakiego rodzaju. Najpierw psychologiczne – nauczyciele należą do grup najdotkliwiej doświadczających wypalenia. W dalszej kolejności wsparcie dydaktyczno-merytoryczne: każdy pedagog powinien mieć prawo (a może i obowiązek) do urlopu naukowego co kilka lat (*sabbatical*), kiedy wracałby na uniwersytet, żeby nie podczas krótkiego kursu, ale w ciągu systematycznych wykładów uzupełnić wiedzę ze swojego przedmiotu, poznać nowe metody, wymienić się doświadczeniami, wreszcie – na kilka miesięcy samemu na powrót stać się studentem/uczniem. Nauczyciela wytrąconego z rutyny, a zarazem pewnego swoich kompetencji, możemy potem obdarzyć pełnym zaufaniem.

A jeśli nie utopia, to co? Wyłącznie wizje Kasandry? Wstrzymanie oddechu i oczekiwanie na lepsze czasy? Konserwowanie szkoły, jaką zweryfikowała rzeczywistość? Zrzucanie odpowiedzialności na nauczycieli, którzy i tak są przygnieceni sytuacją? Wzięcie sprawy w swoje ręce przez rodziców, którzy przecież w sytuacji zamknięcia w dużej mierze musieli zorganizować edukację domową?

Warto zacząć myśleć o szkole po pandemii, zanim zderzymy się z rzeczywistością, w której niewiele poza ławkami i woźnymi będzie takie samo. ©

DR HAB. KRZYSZTOF BIEDRZYCKI *jest profesorem UJ. Historyk literatury i krytyk literacki, badacz edukacji. Członek polskiego zespołu koordynującego międzynarodowe badanie umiejętności uczniów PISA, autor podręczników z języka polskiego dla liceów.*

ARCHIWUM KRZEPTOWSKICH / FOTONOVA

Ekipa budowniczych okładająca kamieniem stare schronisko według projektu Karola Stryjeńskiego, 1933 r.

Świat mnie nie dogoni

KRZYSZTOF STORY

Od niedawna w schronisku w tatrzańskiej Dolinie Pięciu Stawów Polskich jest już zasięg komórkowy. Ale w ciągu ostatniego półtora wieku zmieniło się tu znacznie więcej.

Opowieść o takich miejscach można zacząć od wspomnień i obrazów z pamięci. Na szczęście mam kilka pochodzących z doliny.

Dobrze np. pamiętam pewną noc w marcu 2018 r. W polskich schroniskach czasy wszechobecnego nocowania „na glebie" w zasadzie już się skończyły. Idąc nocą do łazienki, raczej nie pokonuje się już toru przeszkód z ciał śpiących turystów. Ale tamtej nocy w Dolinie Pięciu Stawów Polskich było inaczej. Nigdy nie widziałem bardziej zatłoczonego schroniska, ktoś nawet w jadalni rozwiesił hamak między filarami. W miejscu otwartym dla wszystkich szukałem kawałka przestrzeni tylko dla siebie. Kolega wcisnął mi do ręki wielki puchowy śpiwór. Rozłożyłem się na zewnątrz, na kamiennej podmurówce okalającej schronisko. Noc była bezchmurna, czyli zimna, temperatura spadła poniżej -10 stopni. Śnieg skrzył się od mrozu, a na niebie dało się policzyć wszystkie gwiazdy. W żadnym łóżku w życiu nie wyspałem się tak, jak na tych kamieniach.

Dolina

Schronisko w Dolinie Pięciu Stawów Polskich nie potrzebuje anegdot i dykteryjek, by uznać je za wyjątkowe. Wystarczą dwa fakty. Pierwszy: obiekt znajduje się na wysokości 1670 m n.p.m. i jest najwyżej położonym schroniskiem w Polsce (oraz trzecim, po obserwatorium meteorologicznym oraz górnej stacji kolejki na Kasprowym Wierchu, najwyżej położonym budynkiem w kraju). Drugi: nie da się tu dojechać samochodem, co odróżnia „Piątkę" od innych schronisk. Nie ma w kraju drugiego obiektu turystycznego z tak trudną logistyką.

„W Pięciu Stawach, żeby mieszkać, trzeba być twardym i nie szukać wygód. Nie ma ciepłego mieszkania w schronisku, jest niesamowita wilgoć, a jak wiatr zacznie wiać jesienią, to kończy na wiosnę. Słońce tu mało kiedy zawita, zamieć bez przerwy" – pisała w swoich ↦

↦ pamiętnikach pod koniec lat 70. XX w. Maria Krzeptowska, wieloletnia gospodyni schroniska.

Powyższy cytat pochodzi z książki „Pięć Stawów. Dom bez adresu" dziennikarki Beaty Sabały-Zielińskiej. – Te rekordy, te „naj" można by mnożyć – mówi „Tygodnikowi" autorka. – Sama dolina jest przyrodniczym cudem. Ma największą w Tatrach powierzchnię jezior. Zadni Staw jest najwyżej położonym jeziorem w Polsce, Wielki Staw najgłębszym w Tatrach, a spływająca z doliny 70-metrową kaskadą Siklawa największym wodospadem w kraju. Wreszcie biegnie tamtędy najstarszy szlak w polskich Tatrach: z Morskiego Oka na Halę Gąsienicową przez Zawrat.

Pierwsze schronisko powstało tu już w 1876 r. nad brzegami Małego Stawu. Działało tylko w lecie. Drugie było całoroczne, ale wkrótce okazało się za małe. Trzecie przetrwało II wojnę światową, ale spłonęło 12 dni po jej zakończeniu. Czwarte to mały, drewniany budynek odbudowany po wojnie przez Marię i Andrzeja Krzeptowskich. Służy do dziś Tatrzańskiemu Parkowi Narodowemu. Obecne schronisko jest piątym w dolinie i pierwszym w nowym miejscu. Od 1954 r. życie (ludzkie, bo jelenie i niedźwiedzie chodzą tu swoimi ścieżkami) koncentruje się w kamiennym budynku nad Przednim Stawem.

Jadalenka

Serce budynku znajduje się na prawo od wejścia. To mała jadalnia z długimi stołami – nie ma wyjścia, trzeba siedzieć, jeść i pić z nieznajomymi.

– W ten sposób ludzie szybciej się poznają – mówi Marta Krzeptowska, która od 17 lat prowadzi schronisko razem ze swoją siostrą Marią Krzeptowską-Marusarz, na którą wszyscy mówią Marychna.

Wcześniej prowadził je ich ojciec (Andrzej junior) i wujek (Józef), a przed nimi – dziadek (Andrzej senior) i babcia (Maria). Klan Krzeptowskich jest związany z Doliną Pięciu Stawów Polskich od ponad stu lat. Marta i Marychna wychowały się w domu bez adresu. W domu, w którym wtedy było jeszcze mniej komfortu niż dzisiaj. Ich mama, Magda Krzeptowska, w książce Sabały-Zielińskiej wspomina: „Życie w Stawach z czwórką dzieci nie było łatwe i gdy teraz o tym myślę, to nie mogę uwierzyć, że to wszystko udało się jakoś spiąć. Największym wyzwaniem było... pranie. Te góry pieluch, które trzeba było moczyć, zmieniać wodę, potem pakować do frani, czyli *de facto* prać je w rękach i biegać po kosówkach, rozwieszając je na sznurach rozciągniętych wśród zarośli – koszmar. Do tego był problem z dojściem do łazienki, bo na podłogach spali ludzie. Opracowałam doskonały system nocników, czyli mówiąc wprost, miałam wiadro z pokrywką".

Beata Sabała-Zielińska: – Oprócz jadalni jest w „Piątce" jeszcze jadalenka. To prywatna część na zapleczu, gdzie nie można po prostu wejść. Trzeba być zaproszonym. Jestem góralką, znałam dziewczyny i od dawna słuchałam historii opowiadanych w jadalence. Ale dopiero zbierając materiał do książki zrozumiałam, jak duże to jest wyróżnienie.

W jadalence na pewno opowiadano historie Marii Krzeptowskiej, która gospodarzyła na Stawach przez 40 lat. Na przykład o tym, jak w czasie wojny szmuglowała narty na Słowację. Albo jak po pracy potrafiła zjechać do Roztoki na partyjkę brydża i po nocy sama podchodzić na nartach z powrotem. Opowiadano o jej synu Andrzeju, który prowadził schronisko 25 lat. Tak samo teraz opowiada się historię jego dwóch córek.

Już mając 12-13 lat pracowały w bufecie, sprzedawały pocztówki, pomagały jak mogły.

– Ojciec dawał nam dużo zadań – wspomina Marta. – Nie kontrolował nas, raczej uczył odpowiedzialności, samodzielności. Gdy miałam 12 lat, musiałam zaplanować, ile zamówimy pocztówek na sprzedaż. Tata potrafił dopuszczać różne błędy. I dzięki temu, że mogłyśmy je popełniać, dużo łatwiej było nam później prowadzić schronisko.

7 lipca 1998 r. Andrzej i Marychna podpisali nową umowę z PTTK, już jako współdzierżawcy. Starsza z sióstr miała wtedy 19 lat. Andrzej powiedział tylko: „Dobrze, dziecko, to teraz działaj". Następnym razem pojawił się w schronisku dwa miesiące później.

TOMASZ GĘBUŚ / BEW

Zasiadanie

Dla młodszej Krzeptowskiej decyzja o pracy w schronisku nie była oczywista. – Nie miałam tej presji, że beze mnie tradycja umrze.

Gdy Marychna była w zaawansowanej ciąży, poprosiła siostrę o pomoc. Na chwilę, bo Marta miała swoje życie. Podróżowała, studiowała historię sztuki w Warszawie, miała pomysł na siebie poza schroniskiem.

– To było jednocześnie bardzo niespodziewane i naturalne – mówi Marta. – Gdy przyszła wiadomość od Marychny, zrozumiałam, że ja naprawdę tego chcę. Jednego dnia przepisałam się na studia zaoczne, następnego byłam już w Zakopanem. Marychna prosiła, żebym przyjechała na chwilę pomóc, i zostałam.

W lecie zawsze któraś z sióstr jest w schronisku. Ale funkcjonowanie Stawów to nie tylko dzieło klanu Krzeptowskich.

– Turyści kojarzą tych, którzy pracują na górze, ale to nie wszyscy – mówi Marta. – Mamy też biuro na dole, gdzie pracuję m.in. z Asią, moją przyjaciółką od pierwszej klasy podstawówki. To są bardzo mocne więzi, bo praca opiera się na bardzo intensywnym byciu razem.

Więzi widać po stażu pracy załogi schroniska. Krystyna Drzyzga, pierwsza twarz, którą widzi turysta za barem „Piątki" – 20 lat. Darek Burdyl, szef kuchni, autor przepisu na żurek – 20 lat. I rekordzista, ojciec Darka – Mieczysław Burdyl.

– Mietka zatrudniła jeszcze nasza babcia – wspomina Marta. – Jest w schronisku od 1967 r. O Stawach wie absolutnie wszystko i wszystko potrafi naprawić.

Ten zespół tworzy obiekt, który większość wspinaczy uważa za najbardziej gościnne schronisko tatrzańskie. Dla wielu „Piątka" wydaje się nierozerwalnie związana z rodziną Krzeptowskich, choć to nie do końca prawda. Schronisko jest własnością PTTK. – Nasza historia to nie jest efekt romantycznej klanowości, tylko masa rzetelnej pracy i współpracy z PTTK, która trwa od pokoleń – mówi Krzeptowska. – To są świetne relacje.

Rodzinom, które są z PTTK związane od dawna i co do których nie ma zastrzeżeń, Towarzystwo zwyczajowo przedłuża umowy bez przetargu. A że Marychna i Marta mają po trójce dzieci, to szanse na następne pokolenie Krzeptowskich w schronisku są duże.

– Nie wyobrażam sobie „Piątki" bez Krzeptowskich – mówi Beata Sabała-Zielińska. – Zawsze jest mi trudno stamtąd zejść. I to nie tylko zasługa załogi, ale też samego schroniska. Mała chatka wysoko w górach. Mam tam poczucie, że świat mnie nie dogoni. Nie przyjdą SMS-y, nie zadzwoni telefon, nie napadnie mnie życie. Tam się nie siedzi, tam się zasiada.

Zorba w Tatrach

Trudności z opuszczeniem schroniska nie wynikają jedynie z gościnności. Natura regularnie odcina dolinę od reszty świata. Na początku 2019 r. sypnęło tak, że budynek ledwo wystawał spod śniegu. Zdjęcia robiły furorę w internecie, turystów ewakuowano śmigłowcem, a załoga przez trzy tygodnie wyjadała zapasy ze spiżarni. W lipcu 2019 r. gwałtowne ulewy pozrywały mosty i zalały większość szlaków. A nawet przy dobrych warunkach w zimie podejście wymaga doświadczenia i odpowiedniego sprzętu.

– To jest miejsce, w którym natura potrafi utrzeć człowiekowi nosa. Trzeba się z nią mocno naszarpać – mówi Beata Sabała-Zielińska.

Szarpać się musi przede wszystkim załoga. Luksusów jest w dolinie niewiele, a było jeszcze mniej. Do 2010 r. prąd pochodził z małej elektrowni wodnej skonstruowanej przez gospodarzy w 1962 r. Produkowała pięć kilowatów mocy – mniej niż potrzebuje typowy dom jednorodzinny. Wspomagano się agregatem i walczono o każdy wat. Marychna wspomina, że przed wysuszeniem włosów musiała wyłączyć lodówkę, żeby nie wybiło korków. I że do niedawna zamiast automatycznej pralki mieli jedynie zwykłą franię.

W „Piątce" sporo się zmienia. W 2010 r. zbudowano nową elektrownię i nowoczesną oczyszczalnię ścieków (modernizowano wtedy pod kątem ekologii wszystkie schroniska w Tatrach). Głównym wyzwaniem nadal pozostaje transport. Przez lata normą było wnoszenie towarów na własnych plecach. Później ↦

korzystano z koni – trzech małych, a silnych hucułów, które Maria Krzeptowska odkupiła z budowy kolei linowej na Kasprowy Wierch. Mietek Burdyl pierwsze konne transporty do schroniska prowadził mając 16 lat.

Najwięcej problemów sprawiał ostatni, najbardziej stromy fragment szlaku, wzdłuż Litworowego Żlebu. Przy dużym oblodzeniu nawet w rakach jest tu ciężko podejść. Przełomem była budowa Zorby – kolejki towarowej zaprojektowanej przez Józefa Krzeptowskiego w 1968 r. Choć trudno tu mówić o projekcie – raczej o partyzantce. Silnik z motoru WSK, niestabilne podpory, jedna lina. Czterech ludzi postawiło Zorbę w trzy dni (oczywiście nielegalnie). Nazwano ją na cześć popularnego wówczas filmu. Działała przez 20 lat.

Dzisiaj na miejscu Zorby (która zerwała się, rozbijając przy okazji pokaźny ładunek śmietany i cebuli) stoi winda towarowa z odpowiednimi atestami i projektem. W lecie towar do windy dostarcza mały ciągnik, zimą korzysta się z quada lub skutera śnieżnego. Czasami nawet skuter ugrzęźnie w śniegu. Wtedy trzeba po prostu czekać. Choć i to może się zmienić, bo siostry Krzeptowskie odkupiły niedawno od szwedzkiej armii... amfibię na gąsienicach. Pojazd jeszcze nie był testowany w walce.

Raport taterników

Szwedzka amfibia to nie jedyny militarny akcent historii Stawów.

– Podczas pracy nad książką zaskoczyło mnie to, jak dużo można powiedzieć o jednym miejscu – mówi Sabała-Zielińska. – To nie jest tylko historia schroniska, rodziny i turystyki. W „Piątce" działa się też historia Polski.

Przez dolinę szły ścieżki kurierów, którzy w trakcie II wojny światowej przekazywali informacje między Polską a rządem na uchodźstwie. Przez tatrzańskie przełęcze do Polski wrócił marszałek Rydz-Śmigły.

Szczególną rolę „Piątka" odegrała w historii stanu wojennego. Na przełomie lutego i marca 1982 r. w schronisku pojawił się katowicki pluton ZOMO, który kilka tygodni wcześniej pacyfikował kopalnię Wujek. Zomowcy mieli przejść w Tatrach szkolenie, które zorganizował Jacek Jaworski – taternik, toprowiec i milicjant.

Oprócz Jaworskiego szkolili Ryszard Szafirski, Janusz Hierzyk i Józef Olszewski. Ten ostatni nie wiedział, że koledzy celowo zgodzili się na pracę z oprawcami z Wujka. Podczas ekstremalnych treningów i alkoholowych biesiad w „Piątce" zomowcy zaczęli opowiadać o zbrodniach z grudnia 1981 r. Na podstawie ich słów taternicy ustalili, kto wydał rozkaz ataku i pierwszy otworzył ogień. „Raport taterników" powstał w trzech odręcznie pisanych egzemplarzach. Wszystkie zaginęły, ale zachowało się spisane przez Jaworskiego streszczenie.

JAN WIERZEJSKI / FOTONOVA

MARTA KRZEPTOWSKA:

Gdybyś moje dzieci zapytał: „Czy mama jest w pracy?", powiedziałyby, że nie. Że jest w górach.

Istnienie „Raportu" było przez lata podważane. Jaworski, Szafirski i Hierzyk trzymali spisek w tajemnicy. Dla reszty środowiska górskiego stali się zdrajcami. Szafirski i Jaworski musieli wyjechać z kraju. Gdy w 1997 r. sąd uniewinnił zomowców, Jaworski odtworzył raport. Dopiero 31 maja 2007 r., po 26 latach od pacyfikacji kopalni Wujek, skazano wszystkich funkcjonariuszy odpowiedzialnych za tamtą zbrodnię. „Raport taterników" był kluczowym dowodem.

– Ten dokument powstawał nocami w Dolinie Pięciu Stawów Polskich i pozwolił rozliczyć zbrodnię, która dotknęła nas wszystkich – mówi Sabała-Zielińska. – Trzech ludzi zapłaciło za to ogromną cenę. Ostracyzm środowiska był najbardziej bolesny, prawie do końca żyli w niesławie.

Każdy kiedyś zaczynał

Na co dzień historia schroniska jest dużo spokojniejsza. Płynie w rytm pór roku i kilku ważnych momentów. Jednym z nich jest powitanie nowego roku tradycyjnym zjazdem na nartach z pochodniami.

– To przedziwne uczucie, bo kiedy zjeżdżasz z czołówką, widzisz wszystko przed sobą. Z pochodnią widzisz tylko mały fragment – mówi Marta Krzeptowska. Ale na co dzień mało jest pochodni i fajerwerków, więcej ciężkiej pracy. – Tylko że życie w Stawach nigdy nie było nazywane pracą. Oczywiście, że bywa ciężko. Ale nie definiuję tego jako pracy, tylko jako życie. Gdybyś moje dzieci zapytał: „Czy mama jest w pracy?", powiedziałyby, że nie. Że jest w górach.

Pochodnie zostaną jako element tradycji. Inne rzeczy stopniowo się zmieniają. Ostatnio pojawił się zasięg telefonii komórkowej. Zwiększa się też ruch turystyczny w Tatrach.

– Chciałyśmy, żeby ta strefa była bez zasięgu – przyznaje kierowniczka schroniska. – Żebyśmy tam byli faktycznie razem, tak w pełni. Ale bezpieczeństwo jest jednak ważniejsze.

– Smartfony w górach zamiast rozmowy, coraz większy ruch na szlakach, wielu nieprzygotowanych turystów. Trochę mnie to martwi – dodaje Sabała-Zielińska. – Patrzę na swoją książkę i zastanawiam się, czy nie jest ostatnim zdjęciem dobrych czasów. Czy nie opisałam czegoś, co za chwilę zniknie? A potem myślę sobie, że każdy czas ma swoich bohaterów. Każdy z nas w tych górach kiedyś zaczynał. A zatem każdy ma prawo w nie pójść i przeżyć je po swojemu.

Scena z książki Beaty Sabały-Zielińskiej: Marta z mężem, Jaśkiem Wierzejskim, siedzą w schronisku w styczniu. Samiuteńcy, ktoś z obsługi ma dojść dopiero wieczorem. Postanawiają pójść na narty. Chcą wyjść, więc zaczynają rozglądać się za kluczem do głównych drzwi. Okazuje się, że tego klucza nie ma. Bo nigdy nie był potrzebny.

© KRZYSZTOF STORY

DOROTA

Masłowska:
Karnawał w nieRio

Dziwny karnawał w tym roku, taki milczący. Wszystkie te lampki świecą na nic; miasto, w którym życie nigdy nie jest do końca piękne, teraz jeszcze przymarło, zawiesiło się, nie reaguje na żadne konfiguracje klawiszy.

We wtorki wieczorem jeżdżę do radia autobusem pustym i aseptycznie jasnym, mijam okna opatrzone znakami Strajku Kobiet i tęczowymi flagami; gdyby nie one, byłby bezczas. Patrzę na nielicznych przechodniów, aż dziwne, że nie idą do tyłu; mijam nagie ściany nieukończonej developerki pomazane już sprejem obowiązkowo chwalącym Legię, i oklejone folią witryny restauracji. Czasem mam cały autobus dla siebie, choć niekiedy ktoś popsuje tę idyllę; facet w ogłaszającej poniewczasie „Christmas!" czapce i masce przedstawiającej straszną rozdziawioną paszczę; dziadek w sandałach na bose stopy; mężczyzna z tanim litrowym piwem w siatce (drugie w ręce), obgadujący przez telefon kolegę, który wpadając w ciągi alkoholowe zbyt dużo wydaje (nawet 400 złotych w jeden dzień), za pozytywny kontrprzykład stawiający siebie, który nawet w ciągach nie szasta wcale pieniędzmi. Jest styczeń i w zawsze rozchaosowanym radiu też panuje jakaś uroczysta pustka. Niby cicho, ale jak na szkolnym holu po lekcjach czy korytarzu zamkniętego urzędu gazują w powietrzu molekuły tamtego dawnego rwetesu, bałaganu. Melancholia i bezsens zimowych ulic wydają się chwilami tak już wyśrubowane, że zaczynam upatrywać w tym jakiegoś smaczku, wytrawności. Bębnienie deszczu o szyby, maseczki w błocie, mokre buty. Kasjerki tężeją za ladami w półkomie, jabłka są lodowate i mają aromat ziemniaków. To skomplikowane, trudne bukiety, dla wytrawnych smakoszy. A gdyby tak otworzyć się na to, zakochać w tym? Poddać się remanentowi i nieczynności, być jak pusta restauracja z zaklejoną witryną, jak upadła kawiarnia, w której sparciałe fotele i bibeloty-rarogi stoją w witrynie jeden na drugim, czekając na wywózkę zdecydowanie droższą niż one same.

Była koło nas taka tragiczna kawiarnia, idąca jakby do góry nogami do tyłu, gdy wszystko niby tak pędzi do przodu. Za ten niedorzeczny wsteczny krok miała u mnie pięć gwiazdek, choć realnie zasługiwała na minus jedną gwiazdkę z powyłamywanymi nogami.

Na horyzoncie widać było te szklane wysokościowce, od których można dostać kompleksu wyższości, i wszystkie lokale wokół dawno już serwowały kawę ze zrównoważonych upraw z mlekiem bezmlecznym, wychodząc naprzeciw snobizmom dietetyczno-moralnym ochockich bananów z każdą skarpetą od innego młodego polskiego projektanta. Ale tam takie problemy jakby nie istniały. Wolno się sączyła czarna kawa w tym Rio. W lodówce pyszniły się niewegańskie galaretki w kolorach LGBT+. Lody zdecydowanie nierzemieślnicze, nienaturalne, karmel niesłony; odkręcana klamka od toalety, bo nie od tego jest kawiarnia, żeby sobie każdy przychodził i siedział na tronie, ile by chciał, nie mówiąc o wciąganiu kokainy. Było ciemno i każdy stół kupiony był na innym Kole, a każde koło od innego wozu: krzesła w innym stopniu rozchybotania i wysiedzenia; serwety z kompletnie różnymi konstelacjami plam, z każdej można było wywróżyć temu lokalowi inną przyszłość i żadna nie była dobra, lecz na żadnej nie było widać zbliżającej się pandemii. Każda kelnerka miała inne problemy i swój powód, by mieć swój żal do klientów. Każda jedna swą urazę mniej ukrywała, bo też przyłażą, wydziwiają, trzeba koło nich chodzić, dopytywać, być miłym; domu se nie mają? Czajnika nie mają? Wszystko to miało może przywoływać szum starej płyty, niezidentyfikowany czas przeszły, jednak przywoływało tylko lata 90. i popularny ówcześnie nurt aranżacyjny „ostatnie chwile mieszkania zmarłej babci tuż przed przyjazdem ekipy opróżniającej". Jeśli chodzi o mnie, bardzo rzadko tam chodziłam, bo świece w butelkach, meloniki, maszyny Singera i stare numery „Gali" przerażają mnie. Ale widziałam tam przez szybę cukiernice pełne cukru, różnych starszych ludzi jedzących gluten i popijających laktozą, bardzo zadowolonych. Gdy niedawno zobaczyłam, że lokal splajtował, ścisnęło mi się serce. Czyli będą już tylko fajne, dobrze urządzone, sensowne kawiarnie z dobrą kawą i nieopryskliwymi baristami?

Trwał demontaż okropnych dekoracji, a potem na szybie pojawiła się już folia. Milczący karnawał w nieRio, bawmy się. ©

POŻEGNANIE

Z wielkim żalem żegnamy
naszą cioteczną siostrę i przyjaciółkę

Ś.†P.

siostrę Anuncjatę Ewę Jaskłowską

urszulankę szarą
ze Zgromadzenia Urszulanek w Lipnicy
pod Poznaniem.

Pozostanie w naszych sercach i pamięci
jako osoba zawsze gotowa do pomocy i modlitwy.

Z. i A. Wielowieyscy

ROZMOWA

DOMY ZŁE

ANNA KRAWCZAK, BADACZKA DZIECIŃSTWA, MATKA:

Traktujemy prawa dziecka na serio, gdy otwierana jest szkoła im. Janusza Korczaka albo Jana Pawła II. Bardzo lubimy ich cytować. Ale dzieci zdradzamy.

ARKADIUSZ ZIÓŁEK / EAST NEWS

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Myślała Pani, co by z nimi było...

ANNA KRAWCZAK: ...gdyby trafiły do domu dziecka? Tysiące razy.

Co?

Przepadłyby. Zwłaszcza dla mojej córeczki to byłby koniec.

Od 1 stycznia dużych domów dziecka miało już nie być.

Miały być tylko te dla maksymalnie czternaściorga dzieci. Ale ten standard udało się osiągnąć 70 proc. placówek.

Domy dziecka, do których jeszcze wrócimy, to wrzód na systemie. Rzecz w tym, że to, co uchodzi za jego zdrową tkankę, też jest przeżarte chorobą. Pokazuje to Pani historia.

Opowiem ją panu, ale pod jednym warunkiem: bezwzględnej ochrony moich dzieci i rodziny. Tak jak czynię to jako antropolożka Interdyscyplinarnego Zespołu Badań nad Dzieciństwem UW: czerpię z własnych doświadczeń, ale tylko gdy mogę sobie na to pozwolić. Albo w formie tzw. fikcyjnej autoetnografii: opowiadając własną historię, zmieniam niektóre szczegóły, wplatając w narrację typowe doświadczenia innych uczestników systemu.

Rok 2016. Mając już dwójkę biologicznych dzieci, zostają Państwo z mężem niezawodową rodziną zastępczą.

Takie rodziny, a także te zawodowe oraz wspomniane placówki opiekuńczo-wychowawcze, zwane domami dziecka, to części pieczy zastępczej – w Polsce służącej, przynajmniej teoretycznie, jako tymczasowe miejsca schronienia dla dzieci.

Rodzina zastępcza była jak skrojona dla Pani: nie miała Pani motywacji macierzyńskich, tylko wychowawcze.

Myślałam o tym jak o zawodzie – ale nie w sensie wynagrodzenia, bo rodzina niezawodowa go nie otrzymuje. To miało być wypełnianie bardzo potrzebnej w Polsce usługi opiekuńczej.

Weszłam w tę rolę z wyobrażeniami zbudowanymi w 80 proc. na swoich badaniach systemu brytyjskiego, a w 20 proc. na blogu polskich rodziców zastępczych.

Co Pani z niego wyczytała?

Że polska teoria rozmija się z rzeczywistością. Tyle że miałam irracjonalną wiarę, iż takie jest ich – autorów bloga – doświadczenie, moje zaś będzie inne. Inne, czyli podobne do praktyki systemu brytyjskiego.

Jak on wygląda?

Jest gdzieś pomiędzy skrajnościami: norweskim, w którym patrzy się wyłącznie na dziecko, a polskim – skrajnie familiocentrycznym, gdzie po interwencyjnym odebraniu dziecka dąży się za wszelką cenę do tzw. reintegracji.

W tym samym 2016 roku znalazła się pod Waszym dachem dwójka dzieci: dwuletni chłopiec i roczna dziewczynka. Co było z nimi wcześniej?

Nie odpowiem na to pytanie, poprzestając na stwierdzeniu, że były krzywdzone. Mogę panu powiedzieć, „jak to często bywa".

Jak?

Zabezpieczane są dzieci gwałcone, głodzone, bite, skrajnie zaniedbane. Nie-

dawno przymierzałam się do napisania tekstu. Poprosiłam starsze dzieci z rodzin zastępczych i adopcyjnych, by – za zgodą swoich opiekunów – napisały, czym jest dla nich rodzina. Młodsze dzieci miały to narysować.

Co Pani zobaczyła?

Na przykład rysunek wykonany przez dziewczynkę – przedstawiał pogrzeb jej matki, nadal żyjącej. Opatrzyła go komentarzem, że byłby to najszczęśliwszy dzień w jej życiu. Albo rysunek w wykonaniu chłopca: matka tłucze głową jego siostry o ścianę. I wiele podobnych.

„Czwórka z asystą MOPS-u od kilku lat, jedno z dzieci chodziło na żebry do sąsiadów, żeby nie umrzeć z głodu – pisała Pani na Facebooku tuż przed świętami. – Drugim rzucano o ściany. Policja przyjeżdżała regularnie z powodu przemocy domowej, ale – jak wyjaśniła pracownica systemu – »nie mogliśmy interweniować bez poważnych powodów«".

W Polsce jest bardzo wysoki próg tolerancji wobec dziecięcej krzywdy. Wiemy to też z dokumentów. Na przykład z materiałów szkoleniowych jednego z Regionalnych Ośrodków Pomocy Społecznej, gdzie znajduje się taka m.in. porada: „Nawet jeżeli w rodzinie dzieją się rzeczy przerażające, są tam bardzo silne więzi emocjonalne. Zerwanie tych więzi może u dziecka spowodować olbrzymi dramat i utratę sensu życia".

„Nawet jeśli dzieją się rzeczy przerażające"...

Analizowałam niedawno ministerialne sprawozdanie z realizacji ustawy o wspieraniu rodziny i systemie pieczy zastępczej: czas pracy z rodziną biologiczną, służący uniknięciu zabezpieczenia dzieci, systematycznie się wydłuża, wynosząc już 20 miesięcy. A dzieci ↦

↦ czekają. Znoszą krzywdę. I coraz później są zabierane w bezpieczne miejsca.

U Was też tak było.

Tyle że ja wówczas wierzyłam w tę reintegrację. Do dzisiaj wierzę, że może się udać. I czasami się udaje.

Ale wtedy moja wiara była idealistyczna.

Na Wyspach udaje się co czwarta reintegracja. A w Polsce?

W Polsce nie wiadomo.

Bo?

Bo nikt tego nie bada.

Przez 30 lat działa system, którego filarem jest uzdrawianie źle funkcjonujących rodzin, i nikt nie bada jego efektywności?

Nie.

Obecna władza, która pomoc rodzinom wypisała na sztandary – też nie?

Też nie.

Ale to tylko jedna z rzeczy, których nie wiemy. Brytyjczycy przygotowują sążniste raporty, superszczegółowe wyliczenia na każdy niemal temat: szkolnych osiągnięć, stanu psychicznego, i to z rozbiciem na różne rodzaje rodzin.

My tego wszystkiego wiedzieć nie chcemy.

Jak wyglądała pomoc rodzicom biologicznym dzieci, które do Was trafiły?

Powiem najogólniej, jak się da: ta reintegracja się nie powiodła. A pozorna praca trwała trzy lata...

Z czasem było widać, że nie ma postępu. Ale sąd nie reagował – nie było terminów kolejnych rozpraw. Decyzja o odebraniu praw rodzicielskich, która nie była zresztą końcem tej historii, nastąpiła dwa lata po odebraniu dzieci.

Czyli głównym problemem była przewlekłość pracy sądu?

Tak, choć częsty jest też inny wariant: sąd pracuje, ale ciągle odkłada decyzję o odebraniu rodzicom praw.

Robimy teraz z zespołem badania sędziów rodzinnych. Jedna z nich opowiadała o chłopcu, który jako niemowlę trafił do rodziny zastępczej. Teraz ma siedem lat, jest mocno zaburzony. I znajduje się nadal – wciąż tymczasowo! – w rodzinie zastępczej. Konkluzja sędzi: „Czasami się zastanawiam, czy nie zmarnowałam tego dzieciaka".

Zmarnowała?

Nie chcę wychodzić z roli badaczki. Powiem tak: dziecko spędziło siedem lat z „tymczasowymi" „ciocią" i „wujkiem".

Co się działo pod Waszym dachem przez pierwsze miesiące?

Przywołam obraz z pierwszej nocy. Chłopiec, którego we wszystkich swoich pracach i wpisach nazywam Myszką, płakał. Nie widziałam nigdy takiej rozpaczy: trzy, może cztery godziny. Dla niego samo położenie się w łóżeczku było zagrożeniem. Uspokoił się, gdy się przytulił do swojej siostry.

Wie pan, to jest ta banalna prawda: kiedy wali się świat, kotwicą jest bliska osoba.

Pani aż takiej bliskości nie mogła dać. „Wiem już, że więcej tego nie zrobię" – notowała Pani w tamtym czasie.

Jeden z fizjoterapeutów zalecił mi wykonywanie z dzieckiem ćwiczeń w wannie. Byłam co prawda w kostiumie kąpielowym, ale to nic nie dało. Wzięłam dziewczynkę na pierś, by wykonać ćwiczenie: unoszenie się w wodzie. Poczułam zalew oksytocyny.

Później ten „zalew" nazwała Pani już inaczej.

Więzią, miłością po prostu, której – wedle języka szkoleń, ustaw i wytycznych – nie wolno mi było odczuwać. Bo przecież moje dziecko jest ze mną tymczasowo.

Kiedy nastąpił przełom?

Pierwsze pół roku to było budowanie poczucia bezpieczeństwa. A później? Nie sposób wytyczyć cezury. Ale pamiętam obrazy, np. wspólny wyjazd do Włoch. Nasze biologiczne dzieci i te nam powierzone razem się bawią, śmieją, pryskają w basenie. I myśl: „Już im tego nie wolno zabrać".

Mijał drugi rok, a dzieci były u Was nadal „tymczasowo".

Byliśmy na superwizji, która nam uświadomiła, że cały czas rozmawiamy o nas: o naszych uczuciach, obietnicach. „Gdzie w tym wszystkim są dzieci?" – takie pojawiło się pytanie. Dzieci, które od dwóch lat mają „ciocię", choć nieustannie próbują mówić „mama", a ja je koryguję. Zrozumiałam, że wpadliśmy w pułapkę.

Teraz, rozmawiając z rodzicami zastępczymi, nie wciskam im tego szajsu.

Ten „szajs" to polski system i pewnie setki pozycji literatury specjalistycznej.

Tak, choć to wymaga kilku przypisów. Te zasady w wielu sytuacjach działają. Na przykład gdy dziecko, którego rodzice po narodzinach zrzekną się swoich praw, trafia do rodziny zastępczej faktycznie na krótko, bo zaraz zostanie adoptowane.

„Szajsem" nazywam hipokryzję: trwającą latami „tymczasowość".

Jak jest w innych krajach?

Na Wyspach średni czas procedowania sprawy dziecka od momentu wylądowania w pieczy zastępczej do chwili wyjaśnienia jego prawnej sytuacji wyniósł w 2018 r. dwadzieścia kilka tygodni.

A co, jeśli dziecko ani nie może wrócić do rodziców, ani nie ma szans na adopcję?

To może trafić do długoterminowej rodziny zastępczej, która faktycznie staje się jego rodziną aż do osiągnięcia pełnoletności.

W Polsce rodzin długoterminowych nie ma.

Były, ale zostały wykreślone z ustawy. Prawo mówi, że jeśli sytuacja dziecka się nie wyjaśni w ciągu – uwaga! – półtora roku, to organizator pieczy zastępczej może wysłać do sądu pytanie: co dalej? Co nie znaczy, że to pytanie jest dla sądu wiążące.

W tym czasie opiekun zadaje sobie pytania. Kim dla tego dziecka jestem? Ile może trwać tymczasowość?

Ile?

Z badań Aliny Prusinowskiej-Marek wynika, że średnio trzy lata i siedem miesięcy.

Ile to jest dla rocznego dziecka?

Wieczność. Moja córeczka wykonała wszystkie kamienie milowe u nas. Te trzy lata, które przeżyła w warunkach tymcza-

sowości, to była trzykrotność jej dotychczasowego życia.

Rok 2019, wygłasza Pani referat dla przedstawicieli systemu. I opowiada Pani, co w „tymczasowym" życiu Pani rodziny zdążyło się wydarzyć: „Trzy Gwiazdki, dwie Wielkanoce, wakacje na Mazurach, w Czechach (...), pięć przyjęć urodzinowych...

...dwa pasowania na przedszkolaka, pikniki, grille, hospitalizacje, czytanie książek. Mała robi pierwszy krok, Myszka umie liczyć do dziesięciu, wizyty kolegów w domu, Mała osiąga normę rozwojową, robienie naleśników, spanie pod namiotem, pierwsza wizyta w filharmonii, operetce, teatrze, planetarium; trzy święta babci i dziadka, (...) cztery kleszcze, Myszka wjeżdża samochodem w futrynę i łamie górną jedynkę".

„Ciociu, ty nikomu mnie nie oddasz, prawda?" – to pytanie też cytowała Pani w referacie.

Wywołał spore poruszenie, mimo że słuchacze wszystko to przecież wiedzieli.

Skąd więc to poruszenie?

Być może stąd, że na „takie dzieci" – dzieci z zaniedbanych rodzin – nie patrzymy jak na własne. Że je dehumanizujemy.

Bardzo mocne określenie.

Poparte setkami obserwacji. Raz zresztą postawiłam jedną z urzędniczek przed ćwiczeniem: poprosiłam, by wyobraziła sobie w podobnej sytuacji swoje dziecko. I usłyszałam, że „takich dzieci" nie można porównywać do tych – w domyśle – „normalnych".

Nie chciałabym wchodzić zbyt głęboko w wątki psychoanalityczno-kulturowe, ale ten brak szacunku dla życia dziecka to dla mnie sygnał, że dla wielu dzisiejszych dorosłych, którzy decydują o losach obcych dzieci, dzieciństwo wcale nie było czasem szczęścia i beztroski. Może trudno im „skontaktować się" z prawdziwą krzywdą, bo sami nie skontaktowali się ze swoimi traumami?

W Polsce mamy jeszcze dodatkowy, kulturowy czynnik: dogmatem jest „trwałość rodziny", choćby i kosztem dziecka.

Wracamy do roku 2019: rok wcześniej biologiczni rodzice powierzonych Pani dzieci utracili swoje prawa, ale jedno wniosło apelację. Sprawa utyka, terminów rozpraw brak. Aż po Pani referacie bieg zdarzeń nagle przyspiesza.

Któryś z urzędników dzwoni do sądu. Sąd zwołuje rozprawę. Sędzia odrzuca apelację. Dzieci po trzech latach stają się wolne.

A Wy padacie ofiarą szantażu.

Nie chcę mówić o sobie. Znowu opowiem panu, „jak to bywa". Opiekunowie zastępczy wiedzą już – tak jak i my wiedzieliśmy – że dzieci są u nich tak długo, iż przeniesienie ich w inne miejsce będzie dramatem. Wtedy słyszą: „Albo wystąpicie o przysposobienie, albo dzieci pójdą gdzie indziej".

O co chodzi?

Także o pieniądze. Rodzina zastępcza to koszty: dla państwa, dla samorządu. Adopcja to zwolnienie z kosztów.

Ale co do zasady adopcja jest dla dziecka dobra?

Niekoniecznie. Co prawda po jej przeprowadzeniu powstaje niezależna rodzina, ale traci ona świadczenia i przywileje, jakie miała wcześniej: konsultacje, leczenie, dostęp do sieci wsparcia itd. Traci środki na kontynuację rehabilitacji i np. terapii traumy. A większość dzieci w pieczy to nie są dzieci zdrowe. Orzeczenia o niepełnosprawności, FAS, traumy są normą.

Poza tym wskutek zmiany statusu rodziny na adopcyjną system traci zwykle kolejną rodzinę zastępczą – a tych w Polsce brakuje.

Dla nas idealnym rozwiązaniem było wówczas pozostanie rodziną zastępczą. Ale to rozwiązanie okazało się niemożliwe.

Na rozprawie adopcyjnej Pani płakała...

...bo to kłębowisko emocji, które trudno mi było wtedy ponazywać: co jest szczęściem, co żalem, co ulgą, a co smutkiem. Dziś wiem, że szczęściem jest bezpieczeństwo moich dzieci. Żal: że dochodzenie do tego musiało tak wyglądać. Smutek: że nie będę już matką zastępczą.

A ulgą?

Jeszcze w dniu rozprawy dałam na FB wpis, wyłącznie dla „znajomych". Pierwsze zdanie: „Systemie, wypierdalaj z mojego życia". Ten wpis, z tym zdaniem miałam w głowie przez lata.

Zastanawiam się, ile jest osób, którym to zdanie się ciśnie na usta, ale nie mogą go wypowiedzieć.

Jest ich masa. Sama bym z panem nie rozmawiała, gdybym nadal była rodziną zastępczą.

Pani opowieść jest też o utracie wiary w sens.

Nie! Nigdy jej nie straciłam – rodzicielstwo zastępcze jest wspaniałe.

Pani komunikat brzmi mniej więcej tak: zostań rodzicem zastępczym, ale jak już nim będziesz, idź pod prąd przepisom i zaleceniom.

Inaczej: jak nim zostaniesz, działaj zawsze w interesie dziecka. I zmieniaj system od środka.

Wróćmy do domów dziecka. Co Pani miała na myśli mówiąc, że Pani dzieci w placówce by przepadły?

Że mój syn, nawet gdyby sobie tam poradził, przetrwałby kosztem pogłębienia zaburzeń więzi. A moja córeczka? Jest dziś emocjonalnie najzdrowszym spośród całej mojej czwórki dzieckiem. Tylko że miała najtrudniejszy start, po którym nastąpił okres gigantycznej, wspólnej pracy.

Jest niezwykle krucha, delikatna, trzeba było ją nieustannie wzmacniać. ↦

Trzeba wyrzucić do kosza kodeks rodzinny i opiekuńczy.
I napisać go na nowo. Z jedną zmianą: zastąpieniem „władzy rodzicielskiej" – „rodzicielską odpowiedzialnością".

↦ Być przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Rozmawiać, tulić, opatrywać zranione kolanko, które wcale nie było zranione... Przekazywać jej całą swoją siłę. Ten proces nigdy się nie zadzieje bez głębokiej więzi z dorosłym.

W domu dziecka się nie da?

A jest pan to sobie w stanie wyobrazić z „ciocią", która po ośmiu godzinach idzie do domu? Zmienia pracę albo idzie na macierzyński? Dziecko w placówce nie zrobi urodzin dla kolegów i koleżanek. „Piżamówki" z popcornem.

To dlaczego te domy nadal istnieją? I dlaczego wysyła się tam dzieci kilkuletnie, w dodatku bezprawnie?

Dokładnie: 1355 dzieci poniżej siódmego roku życia. Tyle przebywa ich w placówkach. Plus kolejne półtora tysiąca w wieku 7-10.

Choć nie powiedziałabym, że to bezprawne: ustawodawca się zabezpieczył. Nie wolno umieszczać małych dzieci w instytucjach, ale jeśli nie da się znaleźć rodziny zastępczej, to wtedy wolno.

Powiaty tak się właśnie tłumaczą – brakiem rodzin.

Prawda jest taka, że tych rodzin się często nie szuka. A nie szuka się, bo istnieje wobec nich głęboka nieufność.

Tymczasem placówkę łatwo kontrolować: jest dyrektor, personel, pracownicy, wszyscy patrzą sobie na ręce. Dzieci mają miskę, są czyste, jest nowa, kolorowa tapeta – żyć nie umierać.

Jeden z Pani głośniejszych wpisów dotyczył pieniędzy. Pokazała Pani, że domy dziecka są wielokrotnie droższe. Gdzie sens?

„Dzieci są dla nas tak bezcenne, że nie liczymy pieniędzy" – może takie jest myślenie niektórych lokalnych włodarzy.

Proszę nie żartować.

Jasne, że za tym stoi wygodnictwo, bo wszystko jest w jednym miejscu i nie trzeba się użerać z kilkunastoma rodzinami. Ale nie wykluczam, że wtórna racjonalizacja istnienia placówek odwołuje się do wartości – „dla naszych dzieci wydamy każdy grosz".

I zorganizujemy jeszcze zbiórkę na klocki. Pani poszła z tymi zrzutkami na wojnę.

KAMIL PIKLIKIEWICZ / EAST NEWS

ANNA KRAWCZAK jest matką czworga dzieci. Blisko związana z dwiema organizacjami: Stowarzyszeniem na rzecz Leczenia Niepłodności i Wspierania Adopcji „Nasz Bocian", którego była szefową, i z Koalicją na rzecz Rodzinnej Opieki Zastępczej. Członkini Interdyscyplinarnego Zespołu Badań nad Dzieciństwem Uniwersytetu Warszawskiego.

Bo to są zbiórki na paracetamol, którym chcemy leczyć nowotwór wątroby. Nie twierdzę, że zasypanie dzieci lego, lalkami i hulajnogami nie wywoła u nich uśmiechu. Tylko pytanie, czy tego potrzebują? Nie, potrzebują kogoś w szpitalu, gdy złamią rękę. Kogoś, kto będzie przy nich podczas śniadania, obiadu i kolacji, zawsze ten sam, bez dyżurów i urlopów. Potrzebują rodziny.

A takie zrzutki oddalają nas od modelu, w którym podobne sceny byłyby możliwe.

Jest źle, ale i tak o niebo lepiej niż kiedyś. Od ponad dekady trwa w Polsce tzw. deinstytucjonalizacja.

I nadal co czwarte polskie dziecko z pieczy zastępczej przebywa w instytucji, co na tle innych krajów, w których odsetek ten wynosi kilka procent, nie wygląda dobrze. Z drugiej strony, dekadę temu mówienie o „czternastkach" było opowieścią z kosmosu.

Ale te „czternastki" to często nic innego jak instytucjonalne molochy podzielone na segmenty.

I wówczas zmiana jest fikcją. Pamiętam wizytę w jednym z największych polskich domów dziecka, który przystosowywał się właśnie do nowych przepisów. Weszłam do wielkiej, mrocznej, nieużywanej już jadalni kojarzącej się z refektarzem, którą zastąpiły mniejsze aneksy kuchenne. Jakaś pani powiedziała: „I tyle fajnego miejsca się zmarnowało"...

Wiele jeszcze przed nami pracy.

Co – poza likwidacją placówek – musi się stać, by system, który zasysa krzywdzone dzieci, nie krzywdził ich powtórnie?

To musiałaby być zmiana radykalna, nie żadna nowelizacja.

Trzeba wyrzucić do kosza kodeks rodzinny i opiekuńczy. I napisać go na nowo. Z jedną fundamentalną zmianą: zastąpieniem „władzy rodzicielskiej" – „rodzicielską odpowiedzialnością".

I tyle?

Wszystko inne – włącznie np. ze stworzeniem długoterminowych rodzin zastępczych – jest już tego konsekwencją. Przeszkodą dla zmian jest nasze głębokie przekonanie, że możemy z dziećmi zrobić, co nam się podoba, byle chronić „integralność rodziny".

W Polsce traktujemy prawa dziecka na serio głównie w postulatach i odczytach, gdy np. otwierana jest szkoła im. Janusza Korczaka albo Jana Pawła II. Bardzo lubimy ich cytować, jesteśmy w tym mistrzami świata! Ale dzieci zdradzamy.

Dam panu taki obraz. Gdy kobieta zostanie zgwałcona przez partnera czy męża, nikomu nie przychodzi do głowy, by pierwszym wobec niej działaniem była próba pojednania z gwałcicielem. A w przypadku dzieci ten pomysł jest fundamentem działania systemu! Tak jakbyśmy mówili: cokolwiek przeżyłeś/przeżyłaś, i tak najlepszy dla ciebie jest powrót do taty i mamy.

Bo wierzymy w potęgę biologii.

Nie ma potęgi biologii – jest potęga więzi.

Pani dzieci dzisiaj?

Mają pięć i sześć lat. A ja mam stuprocentową pewność, że po tym, co przeszły, nie istniał dla nich na tym świecie lepszy scenariusz niż pojawienie się u nas.

©℗ Rozmawiał
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Idę za Wami

Od 2008 r. mieszkam w Wiedniu. Do wyjazdu czytałem „TP" – od numeru majowego z 2001 roku co tydzień. Wtedy „TP" ukazywał się w formacie A3 i czytało się go na biurku, inaczej gniótł się. Macie teraz młodą redakcję, ale jesteście marką – macie odwagę zadawać pytania i zostawiać czytelnika z wyborem. Cieszę się, że ks. Boniecki jest z Wami i – podobnie jak inni – nie rozumiem zakazów nakładanych na niego. Proszę być dobrej myśli w sprawie przeprowadzki. Ja chcę teraz wykupić prenumeratę, by pokazać, że to tylko adres, i że idę za Wami, dokądkolwiek pójdziecie.

KONRAD DZIENIO

Pewnego razu na Wiślnej

Dawno, dawno temu wybrałem się do Krakowa na tygodniowe wakacje z córką. Codziennie spacerowaliśmy po starej części miasta, odwiedzając różne mniej lub bardziej oczywiste miejsca. Ja prócz Wawelu, Kazimierza i Sukiennic miałem jeszcze jeden cel. Wiślna 12.
W pokoju „telewizyjnym" moich dziadków stał rozkładany stojak na gazety, a w nim równo ułożone „Tygodniki". To nie znaczy, że nikt ich nie czytał. Czytało – i to kilka osób. Zawsze jednak dbano o to, aby złożyć je równo i ułożyć w odpowiednim miejscu. Dla dziecka nie były one interesujące. Może poza tropieniem ingerencji cenzury, która swoje istnienie zaznaczała czarnymi plamami i adnotacjami o decyzji urzędnika. Czytać „TP" zacząłem znacznie później. Potem postanowiłem zostać jego ambasadorem. Nieproszony. Jak była okazja, zostawiałem przeczytany egzemplarz na ławce w parku, autobusie czy pociągu licząc, że ktoś się zainteresuje, przeczyta, a potem już sam kupi następny.
O tym wszystkim chciałem Wam owego gorącego lipcowego dnia opowiedzieć. Czy starczyło mi odwagi? Nie miałem okazji tego sprawdzić. Owszem, wszedłem do bramy, pokonałem schody, zbliżyłem się do drzwi. Ba! Nawet zapukałem. Niestety, nikt mi nie otworzył. Najwyraźniej cała redakcja wyszła – pomyślałem. Ale drzwi nie były nawet porządnie zamknięte, jak się okazało podczas trzeciej serii pukania. Zadziwiła mnie ta Wasza nonszalancja. A może ufność? Wtedy pokusa zwyciężyła. Ostrożnie uchyliłem drzwi. Powiedziałem głośno „dzień dobry" i wszedłem. Przechadzałem się od biurka do biurka. Niczego nie dotykałem, ale moje oczy pasły się widokiem miejsc pracy ludzi, których znałem tylko z podpisów pod artykułami. Bez trudu znalazłem biurko ks. Bonieckiego, naczelnego „TP". Przyglądałem się wycinkom gazet, zauważyłem strażacki kask (dobrze pamiętam, był tam kask?), zaciągałem zapachem papierosów. Jak na filmach kryminalnych niedopałki jeszcze tliły się w popielniczkach. Za mną dreptała córka, która przypominała mi, że to nie w porządku tak do kogoś wchodzić bez zaproszenia. Przyznałem jej rację. Przeszedłem się jeszcze raz po skrzypiącej drewnianej podłodze, a potem wyszliśmy zostawiając drzwi dokładnie tak samo niedomknięte jak je zastaliśmy. Miałem nadzieję, że może spotkamy kogoś na schodach, w bramie, na ulicy. Pomyślałem, że mogę do Was przyjść innego dnia, ale nie zrobiłem tego.
Takie wspomnienie chciałbym Wam ofiarować na pożegnanie adresu Wiślna 12.

MACIEJ DOBOSIEWICZ

Adres

Zmiana może być „na lepsze", ale zawsze ma swoją cenę. To miejsce żyje duchem dawnych ważnych spraw i wspaniałych ludzi oraz współczesnych istotnych spraw i wyjątkowych ludzi, którzy nadają temu wszystkiemu ciągłość i wzmacniają znaczenie. „Tygodnik" będzie „Tygodnikiem", gdziekolwiek los go poniesie. Nie od nowa, ale nadal. A Wiślna 12 pozostanie adresem-pomnikiem i żaden arcybiskup tego nie zmieni.

JOANNA RÓZGA

Klucze

Ręce mi opadają i serce się ściska. Ale właściwie należało się tego spodziewać. Że przyjdą z zardzewiałymi nożycami przeciąć zetlałą wstążkę wiszącą u szczytu skrzypiących schodów. Słyszę kroki na tych schodach. W wyobraźni można było długo je liczyć. Wśród nich także moje. Już się nie zdobędę na wizytę w Domu odebranym. Gdy będziecie rozdawać klucze ku pamięci, odłóżcie jeden dla mnie.
Czy mój żal i złość są uprawnione? Napisanie tego listu mam za uprawnione. Przecież brałam udział w zawłaszczaniu tego miejsca. Proszę zarezerwujcie dla mnie miejsce, gdy będziecie ostatni raz wspinać się po tych schodach i z nich zstępować ostatni raz. Chciałabym też, byście postawili jakąś godną macewę na skraju pobliskiego zieleńca. Sporo jest w Krakowie przechodniów, którzy chętnie położą na niej rękę. Serdecznie życzę Redakcji nowego adresu. Oby dało się go prędko wybrać i zasiedlić. Nawet jeśli nie zdołam od razu tam dotrzeć, to jednak zaproście mnie któregoś dnia. Nie chcę kończyć tego listu smutną, bezsilną łezką. Znajomy weterynarz mawia do kota, którego właśnie operował: „Roman, dasz radę!". Kochani, Wy też dacie radę! Pokonacie góry bałaganu, jakie spowoduje przeprowadzka. Będzie się Wam dobrze pisać i redagować na szerokim wietrze. Będziecie lżej oddychać – na swoim. Liczę, że z nowego miejsca będziecie śmielej odzywać się do Kościoła, z którego nikt nas nie wywłaszczy, choćby chciał.

HALINA BORTNOWSKA

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Brzesku, I Wydział Cywilny toczy się postępowanie z wniosku Andrzeja Maja z udziałem Józefa Wilka, Romana Plechowicza, Jerzego Skuty, Ewy Jani, Marii Plechowicz, Lucyny Fetela, Sebastiana Młynarczyka, Łukasza Młynarczyka, Piotra Kozaka, Bogumiły Solak, Alicji Kozina, Franciszka Kozaka, Piotra Plechowicza, Renaty Surawskiej o stwierdzenie nabycia spadku po Piotrze Skuta, s. Jana i Jadwigi, który zmarł 08.04.2000 r. w Dąbrówce Morskiej. Ostatnim miejscem zwykłego pobytu Spadkodawcy była Dąbrówka Morska. Piotr Skuta w chwili śmierci miał 83 lata. Pozostawił on testament, w którym jako majątek wskazał działki ewidencyjne nr 131, 206, 92, 104/1, 104/2, 105, 216, 136, 126, 220, 671, 239 w Dąbrówce Morskiej.

Sąd Rejonowy w Brzesku, I Wydział Cywilny wzywa wszystkich spadkobierców, aby zgłosili się w Sądzie Rejonowym w Brzesku, I Wydział Cywilny w ciągu 3 miesięcy od ukazania się niniejszego ogłoszenia i udowodnili nabycie spadku po Piotrze Skuta, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku. Sygn. akt I Ns 184/20

NOSIŁ WILK RAZY KILKA

Strategia ojca Rydzyka
na pomnażanie politycznego i religijnego kapitału
przestaje działać – kryzys Kościoła stał się zbyt poważny.

SEBASTIAN DUDA

W ostatnich miesiącach Kościół w Polsce doświadczył mocnego tąpnięcia. Znaków, że nadchodzi kres katolicyzmu, jaki znamy, jest coraz więcej. Przez długi czas wielu katolików łudziło się, że kraj nad Wisłą będzie bastionem skutecznie opierającym się upadkowi „cywilizacji katolickiej". Taki przynajmniej głos można było usłyszeć na falach Radia Maryja. Ostatnio dość niespodziewanie okazało się jednak, że kierownictwo toruńskiej rozgłośni – tak świetnie, jak można było mniemać, radzące sobie w Polsce „dobrej zmiany" – odczuło na sobie skutki chorób toczących współczesny katolicyzm.

O. Tadeusz Rydzyk nie przyjmował dotąd do wiadomości, że Kościół w Polsce zmaga się z tym samym kryzysem, jak Kościół w innych częściach świata. Jego biznesowe imperium zdawało się na kryzys impregnowane. Rzesze wyznawców – nawet jeśli z latami nieco topniejące – zapewniały mu stałe wsparcie. Wielu biskupów w Radiu Maryja oraz w wianku otaczających je instytucji widziało bastion najbardziej przez siebie hołubionej formy rodzimej religijności. Ścisłe związki z rządzącą partią dawały od 2015 r. konkretne apanaże materialne. Bezpieczeństwo i dobrostan radiomaryjnego katolicyzmu miały zatem solidne podstawy.

I nagle pod koniec ubiegłego roku dobre samopoczucie ojca dyrektora zostało wystawione na próbę. 5 grudnia w Toruniu zorganizowano obchody 29. rocznicy powstania Radia Maryja. Ze względu na pandemiczny reżim sanitarny feta nie mogła być tak huczna jak w przeszłości. Uroczystość trzeba było przenieść z hali widowiskowej Arena do wybudowanego przez Rydzyka kościoła Najświętszej Maryi Panny Gwiazdy Nowej Ewangelizacji i św. Jana Pawła II. Niemniej na uroczystościach stawiło się kilkunastu biskupów, a w tylko nieco przerzedzonych ławach zasiedli wspierający radiomaryjny katolicyzm politycy (m.in. Mariusz Błaszczak, Zbigniew Ziobro i Antoni Macierewicz).

Odczytano list od prezydenta Andrzeja Dudy, który porównał dzieła Radia Maryja do „cudu nad Wisłą". Uznał, że w Toruniu „przed niemal 30 laty zrealizowano przedsięwzięcie o ogromnym wpływie na bieg polskich spraw, na polską rzeczywistość społeczną, kulturową i duchową". Wedle prezydenta stało się tak dzięki stale obecnemu na falach toruńskiej rozgłośni przesłaniu, „które w świecie naznaczonym konfliktami i radykalnymi przemianami cywilizacyjnymi od lat niezachwiane głosi ewangeliczne »tak – tak, nie – nie«". Andrzej Duda mocno podkreślił (posługując się znaną z radiomaryjnych audycji retoryką), że owo przesłanie wskazuje „na wartości, które są fundamentem zachodniej cywilizacji i od ponad tysiąca lat stanowią rdzeń polskiej tożsamości. Jest to tym istotniejsze, że wśród zgiełku współczesnego świata nie brakuje przecież przekłamań, manipulacji i fałszywych obietnic. Orężem przeciw nim jest prawda i wolne słowo. Z takim przekonaniem Radio Maryja pełni swoją społeczną służbę".

Nic dziwnego, że przy takiej i podobnych laudacjach poczucie pewności o. Rydzyka mogło wydawać się niezachwiane. A jednak nie wziął on pod uwagę, że Radio Maryja działa mimo wszystko w kościelnych ramach, które próchnieją i trzeszczą wskutek największego od wieków kryzysu.

Ziemia spod nóg

O. Rydzyk z pewnością nie myślał, że będzie musiał publicznie przeprosić za słowa wypowiedziane podczas tamtych obchodów. Coś takiego nie miało dotąd precedensu. A jednak się stało, co świadczy w pierwszym rzędzie o tym, że redemptorysta przestał dostrzegać okoliczności, które mogą zaszkodzić jego biznesowemu imperium.

Podczas jubileuszowych uroczystości szef Radia Maryja wystąpił bowiem w obronie odesłanego przez Watykan w trybie pilnym na emeryturę (wolno mniemać, że przede wszystkim za tuszowanie przestępstw seksualnych podległego mu kleru) biskupa kaliskiego Edwarda Janiaka. O. Rydzyk powiedział o skompromitowanym hierarsze: „To jest współczesny męczennik. Mediów. Media to zrobiły".

Szokujące słowa? Przecież „męczeństwo", jako niemal warunek konieczny spełnionego chrześcijaństwa, to podstawa radiomaryjnej teologii. Wedle niej chrześcijanie swoją wiarę wyznają najmocniej tylko w obliczu prześladowań. Bez prześladowców świadectwo wiary jest właściwie niemożliwie, bo widzieć w nim należy, jak opowiadał już w 2002 r. w wywiadzie rzece „Tak-tak, nie-nie" o. Rydzyk Stanisławowi Krajskiemu, „wyraz nie tylko odwagi, ale wyraz umiłowania prawdy i miłości. Trzeba wówczas być również gotowym na męczeństwo. Bo męczeństwo to jest skutek odpowiedzi zła na to, że mu się przeciwstawiam". W takiej teologicznej perspektywie mówienie chrześcijanom (a już szczególnie tym wyżej od maluczkich postawionych w kościelnej hierarchii) o popełnianych przez nich grzechach i przestępstwach utożsamione zostaje z prześladowaniem. Oto dlaczego przed laty Radio Maryja zapamiętale broniło arcybiskupów Paetza i Wielgusa.

Dziś ten sam semantyczny manewr o. Rydzyk próbował zastosować względem bp. Janiaka. Nie tylko uznał byłego ordynariusza kaliskiego za męczennika. Nie omieszkał też odnieść się do uznawanej przez siebie teologicznej wykładni grzeszności: „To, że ksiądz zgrzeszył... no zgrzeszył. A kto nie ma pokus?". Wiadomo, że to pytanie retoryczne, bo przecież zależność pokusy i grzechu wielokrotnie poświadczona jest w Ewangelii.

Toruńska rozgłośnia od lat stosuje taką komunikacyjną strategię. Ja sam już w 2003 r. pisałem na łamach „TP" w tekście „Miłość i wojowniczość", że „największy kłopot w odtworzeniu teologicznej optyki Radia Maryja sprawia język, którym posługują się jego redaktorzy i prelegenci. W swoje wypowiedzi, nawet te najbardziej bulwersujące, bo niezgodne z duchem współczesnego nauczania Kościoła, wplatają biblijne cytaty i ich parafrazy, wyimki z papieskich tekstów lub zwyczajowe zapewnienia o pełnej chrześcijańskiej miłości postawie. Zapewne wstawki te służą przede wszystkim przekonywaniu słuchaczy, iż istotnie mają do czynienia z chrześcijańskim przekazem. Inna rzecz, że za pomocą owych cytatów i strzelistych aktów propaguje się w Radiu Maryja okrojoną i uproszczoną wizję chrześcijaństwa, którą na dodatek przedstawia się jako powszechnie obowiązującą w Kościele".

Przez lata owe założenia radiomaryjnej retoryki nie uległy zmianie. To właśnie ona – tak pozornie ewangeliczna – przyciąga do mediów o. Rydzyka zarówno ludzi, którzy bezrefleksyjnie widzą w niej ↦

TYTUS ŻMIJEWSKI / PAP

Msza z okazji obchodów 29. rocznicy powstania Radia Maryja w kościele Najświętszej Maryi Panny Gwiazdy Nowej Ewangelizacji i św. Jana Pawła II. Toruń, 5 grudnia 2020 r.

↦ najlepsze świadectwo chrześcijańskiej wiary, jak i zręcznych macherów, wietrzących szansę na swój sukces oraz usprawiedliwienie z pomocą ewangelicznych parafraz własnych niegodziwości. Tymi macherami nie są tylko broniący „cywilizacji chrześcijańskiej" politycy, ale i niektórzy hierarchowie. To do nich właśnie zwracał się o. Rydzyk podczas ostatnich jubileuszowych obchodów Radia Maryja w następujących słowach: „Albo co porządniejszy katolik, ksiądz – zaraz walić w niego. A katolicy – niemądrzy i słabi – powtarzają. Będą za to odpowiedzialni: za to kamienowanie słowami. (...) Zobaczcie, ile na mnie piszą i mówią. Panie ministrze sprawiedliwości, gdybym był winny, to powinniście mnie zamknąć, bym już siedział – według tego, co oni mówią. Dlatego zwróćmy uwagę na to, co mówią, i nie dajmy się. Nie dajmy się. I w Kościele się nie dajmy".

Czy nie brzmi to jak wezwanie do obrony „świętych szańców" pod wodzą charyzmatycznego, niesłusznie oskarżanego przez „siły ciemności" kapłana? Przez długi czas o. Rydzyk nieustannie budował swoją pozycję na takiej właśnie autoprezentacji. Dzięki niej już w kilka lat po powstaniu Radia Maryja zdołał wokół siebie zgromadzić pokaźne grono odbiorców, co nie umknęło uwagi biskupów i polityków. I aż do tej pory przeciwstawianie się wszelkiemu „atakowi na Kościół" przynosiło mu korzyści. Czy miałoby być inaczej po filmach braci Sekielskich albo w czasie ulicznych demonstracji, występujących przeciw orzeczeniu Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji, gdy wyraziście odsłoniła się skala dechrystianizacji młodego pokolenia Polek i Polaków? O. Rydzyk najwyraźniej uznał, że nic szczególnego się nie stało i z tego powodu znów zwrócił się do swoich zwolenników z typowym dla siebie apelem: „I nie dajmy się, katolicy, że na księdza jakiegoś zaczną warczeć, jakieś filmidło zrobią – i wszyscy się trzęsą. Udowodnij. (...) Udowodnij mi winę. A teraz wszystko się pokręciło i my się trzęsiemy. I myślę, że w Kościele powinniśmy się nie bać i upominać się o sprawiedliwość".

Założyciel Radia Maryja tym razem jednak się przeliczył.

Wzmacniacz kryzysu

Skandale dotyczące przestępstw seksualnych popełnianych przez duchownych na nieletnich i bezbronnych dorosłych podlegających ich władzy są nie tylko traumą katolickiej wspólnoty. Stosunek do nich stał się probierzem wiarygodności Kościoła. Tak jest wszędzie na świecie i w Polsce nie może być inaczej. Broniąc bp. Janiaka, o. Rydzyk wysłał – zgodnie ze skuteczną dotychczas praktyką – sygnał do wspierających go hierarchów: „będziemy was bronić, z jakimikolwiek oskarżeniami się spotkacie; jeśli trzeba, zostaniecie dla nas męczennikami, a my nazwiemy prześladowcami tych, którzy przeciw wam wystąpią i wydamy im walkę". I pierwszy chyba raz okazało się, że oddziaływanie typowego dla Radia Maryja schematu może się obrócić przeciw formacji skupionej wokół toruńskiego redemptorysty.

> Ojciec Rydzyk stawał już w obronie biskupów oskarżanych o nadużycia seksualne czy współpracę z bezpieką. **Wybielając bp. Janiaka jednak się przeliczył.**

Założenie, że Polska funkcjonować może w przypadku kryzysu dotykającego Kościół powszechny poza systemem kościelnych naczyń połączonych, jest bowiem fałszywe. Dlatego tym razem nie wystarczyło już rytualne zapewnienie rzecznika redemptorystów o. Mariusza Mazurkiewicza, że słowa o. Rydzyka były jedynie „komentarzem do obecnej sytuacji medialnej", a Radio Maryja i „inne media z nim związane niejednokrotnie wyrażały swoje stanowisko potępienia dla pedofilii i konieczności pomocy ofiarom, zgodne z dokumentami Stolicy Apostolskiej i Kościoła katolickiego w Polsce".

Wzburzenie okazało się zbyt wielkie i nie ograniczyło się wyłącznie do grup od lat krytykujących toruńską rozgłośnię. Zarówno w Konferencji Episkopatu, jak i w Nuncjaturze najwyraźniej uznano, że wypowiedź o. Rydzyka przyczyniła się do wzmożenia galopującego już kryzysu katolicyzmu w Polsce. Trudno było nie dostrzec w niej krytyki decyzji papieża w sprawie biskupa Janiaka. Postronnym zdawać się mogło, że redemptorysta zachowuje się niczym nieformalny prymas, ferujący wyroki i sądy bez oglądania się na decyzje Rzymu. Niegdyś takie zachowanie uchodziło Rydzykowi bezkarnie. Poważne potraktowanie problemu seksualnych przestępstw kleru jest jednak dziś dla Kościoła powszechnego sprawą kluczową. Założyciel Radia Maryja nie miał zatem wyjścia, bo jego zwyczajowi obrońcy w Episkopacie nie mogli dać jawnego przyzwolenia na wypowiedź idącą pod prąd oficjalnej watykańskiej polityce. O. Rydzyk musiał złożyć bezprecedensowe przeprosiny.

W specjalnym oświadczeniu zadeklarował swoją wierność papieżowi oraz ogłosił, że „każdy niegodny czyn jest grzechem, a dopuszczający się go jest grzesznikiem, który nawróciwszy się, powinien prosić Boga o miłosierdzie", zaznaczając jednocześnie, iż „grzech seksualnego molestowania małoletnich jest przestępstwem, które winno być traktowane zgodnie ze wskazaniami Kościoła i procedurami prawa cywilnego". O. Rydzyk złożył również następujące wyznanie: „Kocham Kościół, dlatego nie miałem zamiaru w żaden sposób rozmywać trawiącego go dramatu grzechu i przestępstwa pedofilii. Mówiąc to, mam na myśli przede wszystkim ofiary tych czynów, będące przecież także dziećmi Kościoła. (...) Zdaję sobie sprawę, iż moje spontanicznie wypowiedziane słowa zostały inaczej zrozumiane i boleśnie dotknęły wiele osób. Przepraszam, iż tak się stało. Nie było to moim zamiarem".

Co jednak jest rzeczywistym zamiarem o. Rydzyka w odniesieniu do Kościoła?

Oręż z katolicyzmu ludowego

Przez wiele lat cele strategiczne Radia Maryja były jasne. W tym specyficznym duszpasterzowaniu za pomocą mediów chodziło przede wszystkim o obronę i promocję tradycyjnego katolicyzmu polskiego w jego aintelektualnej, „ludowej" (zgodnie z drogą obraną niegdyś przez kard. Wyszyńskiego) wersji. O. Rydzyk z pewnością uważa, że katolicyzm ostał się w Polsce właściwie tylko dzięki sile owej „ludowości", z której w odpowiednim momencie historycznym Prymas Tysiąclecia potrafił uczynić również efektywny oręż polityczny.

W polskim katolicyzmie ludowym bez wątpienia można odnaleźć rzeczy piękne i wartościowe. A jednak raz po raz docho-

dzą w nim do głosu komponenty, które w XXI w. są dla idei powszechności zawartej w samej istocie Kościoła katolickiego wyzywające. To przede wszystkim stale powracająca triada: nacjonalizm, ksenofobia i antysemityzm. Wielokrotnie i zasadnie zwracano uwagę na niebezpieczne łączenie jej z katolicką wiarą na falach Radia Maryja. Do tego dochodził jeszcze strach przed zachodnią nowoczesnością, która licznej grupie zwolenników toruńskiej rozgłośni kojarzyła się przede wszystkim z bulwersującymi przemianami obyczajowymi oraz poczuciem własnej deklasacji w nowej rzeczywistości społeczno-politycznej po 1989 r. O. Rydzyk zarówno owo przywiązanie do tradycji, jak i lęki świetnie rozpoznawał. Miał świadomość, że jest duża grupa Polaków, która będzie chciała cumować w jego „bezpiecznej przystani".

Grupę tę zauważali również politycy, widząc w toruńskim redemptoryście dziedzica oręża, którym w czasach komunizmu posługiwał się kard. Wyszyński. Okazało się, że kategorie z tamtej epoki (np. Kościół prześladowany i podejmujący walkę w swojej obronie) łatwo przenieść można na współczesny demokratyczny agon. Stare schematy myślowe wciąż były udziałem dużej części elektoratu. Jarosław Kaczyński miał w istocie świetną intuicję, że przywiązanie do tradycyjnego katolicyzmu ludowego można w Polsce wykorzystać w coraz bardziej polaryzującej się rzeczywistości demokracji współczesnych (bo polaryzacja ta, jak wiemy, nie jest jedynie specyficznie polskim problemem). Z tego powodu, choć niegdyś uznawał alianse katolickiej wiary z polityką za dobry powód dla dechrystianizacji, połączył swe siły z o. Rydzykiem, nie przejmując się zgoła dechrystianizacją. Pozytywne dla niego skutki są oczywiste, skoro istnieje wciąż silna grupa wyborców przywiązana do piękna i perwersji polskiego katolicyzmu ludowego.

Potrzeby tego elektoratu całkiem trafnie przedstawił w swym liście na ostatni jubileusz Radia Maryja prezydent Duda: „Radio Maryja obudziło w milionach rodaków poczucie podmiotowości, bycia suwerenem i gospodarzem we własnym kraju. To dzięki Radiu Maryja głos ludzi wierzących, wiernych tradycyjnym wartościom zyskał tak wielkie znaczenie w debacie publicznej. (...) Dotarcie do tych, którzy nie mówili, bo czuli się zagłuszeni i zmarginalizowani, bo często przeżywali gorycz samotności i opuszczenia, bo nie widzieli szans na pozytywne zmiany – oraz wyciągnięcie ku nim ręki, uznanie ich godności, otoczenie ich szacunkiem i empatią, to wielka zasługa Radia Maryja".

Trafne rozpoznanie cech i potrzeb części polskiego społeczeństwa było zatem udziałem tak Jarosława Kaczyńskiego, jak i o. Rydzyka. Wzajemne przymierze przyniosło obu wymierne korzyści (dla mediów redemptorystów przede wszystkim materialne).

Radiomaryjna lekcja

Fakt, że Radio Maryja stało się głównym głosem katolicyzmu ludowego w Polsce po komunizmie, ma i przez długi czas jeszcze będzie miał wpływ na (niedobrą) kondycję rodzimego Kościoła. Przede wszystkim wielu polskich biskupów uznało, że to najżywotniejsza u nas opcja chrześcijaństwa. Że lepiej trzymać się „oblężonej twierdzy", niż stawiać na inne rozwiązania. Ludowy katolicyzm wydawał się bowiem przez lata najbardziej odporny na postępy sekularyzacji. Nic dziwnego, że irytacje niektórych przenikliwiej myślących hierarchów nie spowodowały załamania się pozycji radiomaryjnej formacji w łonie Kościoła, a zespół duszpasterskiej troski o Radio Maryja, powołany w Episkopacie jeszcze za czasów prymasa Glempa, okazał się ciałem fikcyjnym.

Rok 2020 miał być kolejnym rokiem triumfu katolicyzmu ludowego w politycznej, pisowskiej oprawie. Służyć miały mu przede wszystkim obchody stulecia urodzin Karola Wojtyły i beatyfikacja kard. Wyszyńskiego. Pandemia obróciła właściwie te plany wniwecz (papieski jubileusz wypadł skromnie, a ceremonię beatyfikacyjną na razie odłożono *ad acta*). A zarazem okazało się, że Kościół w Polsce nie jest wolny od kryzysu pedofilskiego, zaś dechrystianizacja młodego pokolenia przybrała olbrzymie rozmiary. Czy lekarstwem na te choroby może być kurczowe trzymanie się ludowego katolicyzmu w jego narodowo-populistycznej wersji?

Przyjąwszy czysto pragmatyczny punkt widzenia, nie musi dziwić, że kler przed nadchodzącymi „latami chudymi" chce zabezpieczyć się materialnie i chętnie godzi się na polityczne związki Kościoła i władzy. Jednak samo zabezpieczenie materialne duchowieństwa nie uchroni przed kryzysem boleśnie dziś dotykającym całą wspólnotę katolicką. Tradycyjna retoryka i strategie Radia Maryja są w tej rzeczywistości coraz bardziej przeciwskuteczne.

© SEBASTIAN DUDA

POŻEGNANIE

Z ogromnym smutkiem przyjąłem wiadomość o śmierci

Ś.† P.

Ojca Macieja Zięby

dominikanina, teologa, filozofa i publicysty,
wybitnego wykładowcy akademickiego,
działacza antykomunistycznej opozycji
związanego z regionem Dolny Śląsk NSZZ „Solidarność",
a nade wszystko wspaniałego, dobrego i wrażliwego człowieka.

Rodzinie i Najbliższym
składam
wyrazy współczucia

Prezydent Wrocławia
Jacek Sutryk

Osobowość totalna

STANISŁAW ZASADA

Maciej Zięba odmienił polskich dominikanów – tak jak Mazowiecki i Balcerowicz zreformowali Polskę po komunizmie. Jego styl nie wszyscy akceptowali.

Miesiąc po śmierci Jana Pawła II. Stoi obok prezesa Instytutu Pamięci Narodowej. Zaraz obwieści Polsce, że wieloletni opiekun Domu Pielgrzyma w Rzymie, dominikanin Konrad Hejmo donosił na papieża. W kraju szok. U dominikanów burza – Maciej Zięba znów podzielił zakon.

„Dojrzałość to nic innego jak świadomość swoich ograniczeń. Dotarcie do swoich granic. Najczęściej – przedsionek starości" – pisał w jednej z książek. Na ile sam to rozumiał?

Ojciec Maciej Zięba zmarł w ostatni dzień 2020 roku.

W ogień poszliby

„Zaziębieni" – mówi się kąśliwie o jego zwolennikach. To ci, którym podoba się jego styl. Ojciec Maciej Zięba jest nowoczesny, dynamiczny, otwarty na świat. Niektórzy poszliby za nim w ogień. Ale polska prowincja Zakonu Kaznodziejskiego (pełna nazwa dominikanów) liczy pół tysiąca zakonników. Nie wszyscy są „zaziębieni". Są klasztory, gdzie czuje się nieswojo – tak silny jest opór przeciwko niemu.

„Klakierzy" – mówią o „zaziębionych" ci, którzy Macieja lubią mniej. Mają pretensje, że faworyzuje „swoich". Podobno ktoś przed diakonatem miał powiedzieć wprost, że nie jest jego *alter ego*. Nie dostał święceń. A jednak bracia dwa razy wybiorą go prowincjałem. Chociaż, gdy będzie kończył drugą kadencję, nawet ci bardziej umiarkowani będą powtarzać: „po Ziębie trzeba posprzątać". Po ośmiu latach kierowania prowincją zostawiał zakon głęboko podzielony.

DAREK GOLIK / FORUM

Maciej Zięba – dominikanin, teolog, publicysta. Warszawa, 2016 r.

Za jego rządów dominikanie mają dużo powołań. To ładniejsza twarz Kościoła w Polsce: dobrze wykształceni, elokwentni, nie boją się poruszać drażliwych tematów. Mają odwagę powiedzieć głośno, że nie zgadzają się z biskupami. Kilkanaście lat później niektórzy z tych, których Zięba przyjmował do zakonu, zrzucą habity. Odejścia będą głośne. Przeciwnicy będą za to winić jego. Chociaż w polskim Kościele wielu duchownych odchodzi z kapłaństwa.

Ojciec Józef Puciłowski bodaj najlepiej w całym zakonie znał Ziębę – poznali się kilkadziesiąt lat temu, jeszcze w czasach przeddominikańskich, przyjaźnili się. – Sam byłem przez osiem lat wikariuszem generalnym dominikanów na Węgrzech – mówi. – Do mnie też były pretensje. Nie zadowolisz wszystkich.

Maciej Zięba zapłacił za to uzależnieniem i depresją.

Listy w ramce

Jest takie zdjęcie: Jan Paweł II siedzi w fotelu, po prawej ręce przyklęka Maciej Zięba, po lewej Jan Góra. Wszyscy się uśmiechają. Dwaj najbardziej znani współcześni polscy dominikanie mieli dobre relacje z papieżem. Obaj jakże różni. Za to jeden i drugi z wielką pasją. Pierwszy stawia na duszpasterstwo mło-

dzieży. Drugi zgłębia społeczną naukę Kościoła.

Papież błogosławi młodzieży, którą Góra ściąga co roku tłumnie na Lednicę. Pozwoli mu nawet odlać w mosiądzu swoją dłoń – jeśli to ma pomóc w dziele ewangelizacji. Ziębę powołuje do watykańskich komisji, zaprasza na seminaria do Castel Gandolfo. „Maćkowi Jan Paweł II" – napisze mu dedykację na „Tryptyku rzymskim". Listy od papieża Zięba oprawi w ramki, powiesi na ścianie.

Ścisły umysł (fizyk z wykształcenia), o papieżu nigdy nie mówi na kolanach. Za życia nie nazywa „świętym". Woli mówić: „mistyk". Nawet gdy ostatnio bronił go przed zarzutami o tuszowanie pedofilii w Kościele, to rzeczowo. W polemice z Dominiką Wielowieyską z „Gazety Wyborczej" szukał argumentów, pokazywał złożone okoliczności, przywoływał fakty.

Komandosi imponują

– Wysoki, ciemne włosy, bujna broda.

– Też wysoki, z czarnymi wąsami.

Ten z „bujną brodą" to poeta Stanisław Barańczak. Z „wąsami" – Maciej Zięba. Wygląd opisali sobie przez telefon. Parę dni później łatwo się rozpoznali przed księgarnią Ossolińskich na wrocławskim Rynku. Był rok 1974. Maciej zaprosił Barańczaka do Wrocławia na wieczór autorski. Zaprzyjaźnią się.

Cztery lata później. W Rzymie trwa konklawe, a on siedzi u Barańczaków na poznańskim Grunwaldzie. „Maćkowi Ziębie, z przyjaźnią i nadzieją, że nasze oddychanie w PRL-u będzie może wkrótce bardziej naturalne" – wyszedł z dedykacją na tomiku „Sztuczne oddychanie". Spisują go milicjanci, ale jakoś tak przepraszająco. Zaraz usłyszy, że Wojtyła został papieżem.

Do rewizji, śledzenia, przesłuchań przyzwyczaił się: od kilku lat działa w opozycji. Jeszcze pod koniec liceum poznał „marcowych komandosów" – studenci z rodzin o lewicowych korzeniach, niektórzy żydowskiego pochodzenia, za udział w wydarzeniach Marca '68 dopiero co powychodzili z więzień. Starsi od niego, imponują mu odwagą, oczytaniem. Adam Michnik pokaże mu w Łazienkach Mieczysława Moczara, będzie dowcipkować z szarej eminencji w ekipie Gomułki. Potem się poróżnią.

Ale to dużo później. Na razie milicja pałuje robotników w Radomiu. Seweryn Blumsztajn pyta, czy pomoże zbierać pieniądze na represjonowanych. Zebrał ponad 80 tys. złotych. Starczyłoby prawie na dwa małe fiaty. Blumsztajn: – Widać było, że nie nastawiał się na robienie kariery w peerelu.

Przed jego domem warują esbecy. – Baliśmy się o niego – przypomina sobie prof. Teresa Szostek, zaangażowana w działalność wrocławskiego Klubu Inteligencji Katolickiej. – Staraliśmy się pilnować, żeby nie chodził sam.

W KIK-u młody Zięba poznaje Józefa Puciłowskiego, starszego o kilkanaście lat historyka. Organizują Tygodnie Kultury Chrześcijańskiej: do wrocławskich kościołów zapraszają ludzi źle widzianych przez władze. Przyjeżdżają Stefan Kisielewski, Tadeusz Mazowiecki, Bohdan Cywiński.

Gdy w sierpniu 1980 r. wybuchają strajki, kursuje pożyczonym od siostry składakiem między siedzibą komitetu strajkowego w zajezdni na Grabiszyńskiej a Ostrowem Tumskim. U arcybiskupa Henryka Gulbinowicza wystara się o poparcie Kościoła dla strajkujących. Pomaga tworzyć Solidarność na Dolnym Śląsku. I boi się sowieckich czołgów.

Wino, kobiety, brydż

Jakiś rok wcześniej. Siedzi z dziewczyną na koncercie. Młodsza, chce się z nią żenić. Nagle do głowy przychodzi mu myśl: „Przecież ja mam zostać księdzem". Późno odkrył powołanie. Znajomi raczej by nie pomyśleli, że zastanawia się nad kapłaństwem. – To było spore zaskoczenie – mówi Teresa Szostek.

Jako dziecko Maciek do pacierza klęka niechętnie, w kościele się nudzi, ucieka z religii. Na studiach pije wino (przeważnie tanie), zmienia dziewczyny, gra w brydża. „W moim środowisku posłuszeństwo, czystość i ubóstwo nie były praktykowanymi wartościami" – przyzna w wywiadzie rzece z Tomaszem Wiścickim.

Któregoś dnia Jadwiga Zięba prowadzi zbuntowanego Maćka na spotkanie KIK-u (był wtedy w liceum). – Spotkałem tam ludzi, którzy pokazali mi, że można być katolikiem, a jednocześnie żyć godnie i radośnie – opowiadał mi niedawno.

Ci ludzie to: Kisielewski, Mazowiecki, krakowski arcybiskup Karol Wojtyła. I dwaj dominikanie: Jacek Salij i Aleksander Hauke-Ligowski. Może po raz pierwszy przeżywa świadomie wiarę. Uczy religii młodzież ze szkół średnich. Ale gdy abp Gulbinowicz proponuje mu, że wyświęci go tajnie na księdza i wyśle na misje do Związku Radzieckiego, pomysłu nie kupuje.

Na razie myśli, że pójdzie do seminarium, zostanie zwykłym księdzem jak Wojciech, jego brat. Po latach będzie się zastanawiał, skąd przyszli mu do głowy dominikanie. Na tych we Wrocławiu patrzył krzywo – przeor zakazał mu pokazywać się w kościele, gdy dowiedział się, że działa w opozycji. Może pomysł podsunął mu Puciłowski?

Nie chce działać pod wpływem chwili – na przemyślenie decyzji daje sobie czas. No i musi się jakoś łagodnie rozstać z dziewczyną.

Bankiet przed nowicjatem

Lato 1981. W wieczór przed wyjazdem do klasztoru w Poznaniu robi pożegnalny bankiet dla wrocławskich znajomych.

Odetchnął, gdy dostał biały habit przepasany skórzanym pasem z różańcem i czarną kapę. – Powtarzałem sobie wtedy: „Jak iść na Sybir, to tylko w habicie" – opowiadał mi rozbawiony. 13 grudnia 1981 r. zapisuje w pamiętniku jedno zdanie: „Chryste, ratuj Ojczyznę!".

Nowicjusz Zięba nie tylko odmawia brewiarz i śpiewa psalmy. Spiskuje przeciwko juncie Jaruzelskiego, pisze do podziemnej prasy. Któregoś dnia ściska się z rudym mężczyzną w okularach – to ukrywający się Władysław Frasyniuk odwiedził go w klasztorze. Wzywają go na przesłuchanie. Trzymają dziewięć godzin.

Skończył nowicjat, zaczyna studia w Krakowie. Wciąż żyje tym, co dzieje się za klasztornym murem. Jak w sylwestra '82: „Dostałem dwie piątki z pierwszych egzaminów, Władek Frasyniuk dostał sześć lat, a Piotrek Bednarz cztery lata, umarł Breżniew i zwolnili Lecha".

Na śluby wieczyste do Krakowa zjechało pół opozycji. Byli Mazowiecki, Geremek, Kuroń i Michnik. – Rozsiedli się zadowoleni na środku kościoła, a przeor cały w strachu – wspomina ojciec Puciłowski (razem z Maciejem przyszedł do zakonu). – Mnie i Maćkowi też dopisywały humory.

Śluby wieczyste złożył w 1986 r. Za trzy lata w Polsce upadnie komunizm. To będzie jego czas.

RFN kontra NRD

Szkoły są dwie: poznańska i jarosławska. Pierwsza kładzie nacisk na ambitne duszpasterstwo. Druga woli styl parafialny. Tak z grubsza wygląda zakon ↦

↦ dominikanów, zanim wstąpi do niego Zięba. Na przełomie wieków odmieni go radykalnie.

Ojciec Maciej Biskup: – Zmienił polskich dominikanów tak, jak Mazowiecki i Balcerowicz zreformowali kraj po upadku komunizmu. Oczywiście, to obrazowe i uproszczone porównanie.

– Miał pomysł na zakon. Nadał mu niespotykany dotąd rozmach kaznodziejski i duszpasterski – mówi o. Roman Bielecki, naczelny miesięcznika „W drodze". – Wprowadził dominikański głos do mainstreamu dyskusji o roli Kościoła w Polsce, bo dominikanie zaczęli być szeroko obecni w mediach.

Gdy w XIII w. Dominik Guzmán zakłada Zakon Kaznodziejski, otwiera klasztory w miastach, gdzie są uniwersytety. Pierwsze polskie klasztory powstają też w Krakowie, Wrocławiu, Gdańsku, Poznaniu, Lublinie. W czasie zaborów wiele zlikwidowano, zakonnicy zajęli się duszpasterstwem parafialnym. W dwudziestoleciu międzywojennym reformator zakonu Jacek Woroniecki namawia współbraci, by wrócili do pierwotnej misji: dobrego kaznodziejstwa i pracy z inteligencją. Udaje się zbudować klasztor na warszawskim Służewie, wybucha wojna, przychodzi komunizm.

Gdy w 1998 r. o. Zięba zostaje prowincjałem (będzie kierować zakonem przez dwie czteroletnie kadencje), wraca do tej idei – dominikanie otwierają klasztor w Łodzi. Wysyła braci na świeckie uczelnie do Paryża, Zurychu, Stanów Zjednoczonych. Sam wykłada etykę gospodarczą na ówczesnej Akademii Ekonomicznej w Poznaniu. Porządkuje sprawy finansowe zakonu. Nie tylko prowincja, ale każdy klasztor ma konto, profesjonalną księgowość. Polska prowincja zaczyna się liczyć w całym zakonie: bracia z Polski pracują na obcych uczelniach, wkrótce obejmą ważne funkcje w kurii generalnej dominikanów w Rzymie. W 2004 r. pierwszy raz w historii zakonu w Krakowie odbywa się kapituła generalna.

– To było jak przejście z NRD do RFN – ocenia reformy za czasów Zięby ojciec Bielecki. – Ale wielu braci nie było gotowych na takie przyspieszenie. I do dziś nosi w sobie wspomnienie tamtych doświadczeń.

Pierwszy głośny zgrzyt zdarza się, gdy zostaje szefem Wydawnictwa „W drodze". Oficynę założył ojciec Marcin Babraj, gdy za „wczesnego Gierka" wystarał się u komunistów o zgodę na miesięcznik „W drodze". Zaczął wydawać książki. Ale w realiach wolnego rynku oficyna podupada. Nakład miesięcznika dramatycznie spada, nikt nie chce kupować dominikańskich książek. Zięba wyprowadzi wydawnictwo z finansowej zapaści. Jednak sprawa jest delikatna: Babraj czuje się odsunięty od dzieła, które stworzył. Nowa ekipa wysłuchuje, że wygryzła zasłużonego poprzednika. Najwięcej dostaje się Ziębie.

Gdy ujawni agenturę Hejmy, część braci staje po stronie obwinionego. Mają pretensje do Zięby, że wyskoczył przed szereg, że niepotrzebnie występował z szefem IPN-u, że powiedział za dużo.

– Powiedział za mało – broni go Puciłowski, któremu Zięba zlecił lustrowanie prowincji. A i tak dominikanie w lustracji wiodą prym w polskim Kościele.

Ja też jestem ortodoksyjny

Obaliliśmy komunizm. Czas zacząć polską „wojnę na górze".

Zięba wrócił ze Stanów. Michnik proponuje mu, żeby stworzył w „Gazecie Wyborczej" religijną rubrykę. Tak powstaje „Arka Noego". Co sobotę o Kościele, myśli chrześcijańskiej piszą tam wybitni publicyści. – Maciej to była duża indywidualność – wspomina go z tamtych czasów redaktor Jan Turnau. – Zarazem ambitny i zdecydowany, co nie zawsze ułatwiało współpracę.

Ale w Polsce nasila się „zimna wojna religijna". Z jednej strony Radio Maryja, zachowawczy episkopat, z drugiej: „Tygodnik Powszechny", „Znak", „Więź". Nawet na wydawany przez archidiecezję katowicką wyważony „Gość Niedzielny" radiomaryjne środowiska mówią kpiąco: „przybudówka »Wyborczej«". Paliwa do-

POŻEGNANIE

Fundacja Służby Rzeczypospolitej z głębokim żalem żegna

Ś.† P.

Ojca Macieja Ziębę

przewodnika duchowego,
postać emblematyczną nie tylko dla pokolenia Jana Pawła II,
współtwórcę Fundacji i przewodniczącego jej Rady.

Dzieło całego życia Ojca Macieja naznaczone było dążeniem
do upowszechnienia myśli św. Jana Pawła II,
troską o właściwe odczytanie przesłania Ojca Świętego
i wprowadzenie go w *tertium millenium.*
Ojciec Maciej był gorącym zwolennikiem ukształtowania
właściwych relacji między *tronem i ołtarzem*
oraz gorliwym promotorem aktywności społecznej
dla dobra wspólnego, solidarności międzyludzkiej,
europejskiej integracji, obywatelskiej służby dla Polski
i poszanowania godności każdego człowieka.

Służąc Kościołowi i niepodległej III Rzeczypospolitej
chlubnie zapisał się jako duchowny i obywatel,
który wiarę, prawdę i rzetelność stawiał ponad wszystko.

W imieniu pogrążonych w smutku członków Rady i Zarządu Fundacji
oraz Rady Programowej, pamiętając o wskazaniu Ojca Macieja
zawartym w słowach *budujmy mosty – nie mury*

Maciej Heydel i Piotr Sendecki

lewa spór o ustawę antyaborcyjną. Jan Paweł II pisze do Jerzego Turowicza, że w jego piśmie Kościół „nie czuł się dość miłowany".

Zięba kojarzony jest z Unią Demokratyczną i „Gazetą Wyborczą". O takich jak on mówi się złośliwie: katolewica. W 1994 r. Roman Graczyk pisze w „Wyborczej" tekst o Kościele zamkniętym i otwartym. Do pierwszego zalicza katolickich radykałów w stylu ojca Rydzyka. Do drugiego: biskupa Tadeusza Pieronka i Macieja Ziębę. Niby oczywiste. Ale dla Zięby to problem, bo Graczyk zwolenników Kościoła zamkniętego nazwał ortodoksyjnymi. A przecież w sensie religijnym on siebie też uważa za ortodoksyjnego, bo jest wierny katolickiej nauce. Publikuje w „Wyborczej" polemiczny tekst. Kończy współpracę.

– Michnik zdecydowany, Maciej zdecydowany, to musiało się tak skończyć – mówi Turnau. – Sam też nie stanąłem wtedy po jego stronie.

Zięba będzie się potem żalił, że „Wyborcza" nie szczędzi mu uszczypliwości. Jak wtedy, gdy w 2010 r. opisze jego odwołanie z dyrektorowania Europejskiego Centrum Solidarności w Gdańsku (powstało z jego inicjatywy trzy lata wcześniej). Sporo tam drażliwych, osobistych wątków – między innymi sprawa jego alkoholizmu. Tylko że to był fakt.

W połowie lat 90. zaczyna pisać felietony dla „Tygodnika Powszechnego". Gdy poróżni się z „Tygodnikiem", współpracuje z „Gościem Niedzielnym" – zakłada ambitny dodatek „Azymut". Przez ostatnie lata pisuje do „Rzeczpospolitej".

– Zmienił poglądy – mówi Blumsztajn. – Poszedł na prawo, jak Kościół w Polsce.

Inni mówią, że wymykał się prostym podziałom politycznym. – Maciej nie wdawał się w bieżące kłótnie polityczne – uważa ojciec Biskup. – Jego zajmowała metapolityka.

Ojciec Puciłowski: – Był po prostu koncyliacyjny.

Miał przyjaciół po obu stronach postsolidarnościowego obozu. Chociaż z wieloma ludźmi z dawnej opozycji się poróżnił. – Straciliśmy ze sobą kontakt – przyznaje Blumsztajn.

Ziębę będzie to bolało. Kilkanaście lat temu w wywiadzie rzece „Biel z dodatkiem czerni" ubolewał nad rzeczywistością polityczną: „Zaczął się wzajemny ostrzał ze skrajnych skrzydeł, obie strony stały się sobie coraz bardziej niezbędne do życia, zabrakło miejsca dla środka, ponieważ te ostrzeliwujące się wzajemnie skrajności miały skłonność do zagarnięcia całej przestrzeni".

Ostatnio krytykował PiS, piętnował sojusz Kościoła z władzą.

Po roku 1989 Maciej Zięba przekonywał, **że liberalna demokracja sprzyja Kościołowi.** I zbierał za to cięgi od prawicowych radykałów.

Od Kaczyńskiego do Komorowskiego

Raz jeszcze lata 90. Jan Paweł II przygotowuje katolików na trzecie tysiąclecie chrześcijaństwa, a Zięba zakłada w Krakowie Instytut Tertio Millennio. Nazwę wziął z papieskiego listu. Instytut propaguje społeczne nauczanie papieża – Zięba jest jego znawcą, jak mało kto w Polsce. Przez ćwierć wieku przez instytut przewinie się wielu polityków, samorządowców, dziennikarzy. Jak Piotr Dardziński, były wiceminister nauki i szkolnictwa wyższego, który przez 11 lat współpracował z Ziębą w ITM. – Nauczyłem się tam Jana Pawła II.

Z zimowych i letnich szkół korzystają nie tylko przekonani katolicy, Zięba otwarty jest też na niewierzących. Z wykładami ściąga George'a Weigla, Richarda Neuhausa, Michaela Novaka i Rocco Buttiglionego. W seminariach uczestniczą politycy różnych barw: od Lecha Kaczyńskiego po Bronisława Komorowskiego, ale też duchowni, w tym biskupi, ludzie kultury: filmowcy i literaci oraz samorządowcy. – Chyba nikt w Polsce nie zapraszał do wspólnej debaty ludzi z tak różnych opcji i środowisk – zauważa Dardziński.

To w instytucie porozwieszał na ścianach listy od Jana Pawła II.

„Po prostu właśnie"

Nie jest łatwy. – Osobowość totalna, nieznosząca sprzeciwu, urodzony polemista i analityk – charakteryzuje go Bielecki.

Puciłowski: – Oj, był trudny.

Biskup: – Wyszedł z Solidarności, ze środowiska kojarzonego z dialogiem, ale w zakonie, w opinii pewnej części braci, sam nie zawsze był zdolny do dialogu.

– Taki radziecki czołg – zapamiętał go były dominikanin (z zakonu odszedł po wypełnieniu czasowych ślubów). – Był moim spowiednikiem – wspomina. – Powtarzał, że jeśli zrezygnuję z jego kierownictwa duchowego, to znaczy, że nie walczę o siebie. Odebrałem to jak szantaż.

Dardziński: – Mnie imponował tym, że wielką erudycję łączył z głęboką wiarą i duchowością.

W zakonie wszyscy znają jego ulubione powiedzonko: „Po prostu właśnie". Używa go jak przecinka. Ale nikt nie śmie przy nim z niego żartować. Ma swoje przyzwyczajenia, nawyki. Nie daj Boże je naruszyć.

Na przykład lubi wodę gazowaną. Ale tylko tę z Żywca. W czasie półtoragodzinnego wykładu wypijał półtoralitrową butelkę. Raz studenci postawili na pulpicie piwniczankę. – Co to za woda? – zżymał się. – Kojarzy się z piwnicą, a Żywiec z życiem.

Gra w siatkówkę. Ogląda sportowe transmisje z czego się tylko da. Pamięta wyniki. Nawet debatę z papieżem potrafi opisać jak mecz tenisowy. Dworuje ze współbraci, którzy włoski futbol wolą od angielskiego. Sam kibicuje Leeds United. I rzecz jasna: Śląskowi Wrocław.

Nie toleruje słabości. U siebie. I u innych. Na rekolekcjach przed ślubami wieczystymi jeden z dominikanów spóźnia się. Przeprasza, że ściął go upał. Zięba pretensje elegancko wplata w rekolekcyjny wywód: – Po prostu właśnie jest ciężko nam wszystkim, ale mężnie walczymy. Za pokutę różaniec.

Przyzna się w końcu do nałogu. Ale leczyć się nie chce. – Był zbyt hardy – mówią współbracia.

Podniesie się.

Kalendarz do przodu

O chorobie nowotworowej dowiedział się kilkanaście miesięcy wcześniej. Gdy mógł, pisał, spierał się publicznie. Ze szpitala wychodził wcześniej, niż zalecali lekarze – na własną prośbę.

– On inaczej nie potrafił żyć – mówi ojciec Bielecki. – Stale musiał coś robić. Żył na pełnych obrotach.

Kalendarz zapełnił dużo do przodu.

Odszedł w sylwestra w sześćdziesiątym siódmym roku życia.

© STANISŁAW ZASADA

DANIEL WACHOWIAK

W parafii NMP Wniebowziętej w Piłce w archidiecezji poznańskiej kolęda odbywała się na podwórkach parafian. 28 grudnia 2020 r.

Środki nadzwyczajne

MARCIN CHODUŃ

Z powodu pandemii tegoroczna kolęda przybiera nieznane dotąd formy. Czy to początek nowych tradycji w polskim Kościele?

Drzwi otwierają się rytmicznie, z łoskotem – do kościelnego przedsionka w regularnych odstępach wchodzą osoby starsze, młode rodziny z dziećmi, samotni. To mieszkańcy ulicy Granicznej, którzy 30 grudnia zostali zaproszeni do rzeszowskiej katedry na dodatkową mszę o godzinie 19.00. Mszę, która ma zastąpić tradycyjną wizytę duszpasterską w ich domach.

– To nie jest zły pomysł – mówi Halina, pani około sześćdziesiątki. Na dzisiejsze spotkanie przyszła z sąsiadkami, Anną i Elżbietą. Dodaje: – Kościół jest duży i wszyscy bez obaw mogą się w nim zmieścić. Plusem jest to, że można zobaczyć sąsiadów, których się dawno nie widziało, lub poznać tych, których się nie zna.

Biskup decyduje

Episkopat nie sformułował w kwestii kolędy żadnych ogólnopolskich wytycznych, pozostawiając decyzję w gestii ordynariuszy. Niektórzy z nich – na przykład biskupi diecezji warszawskiej i warszawsko-praskiej czy arcybiskup wrocławski – przerzucili decyzję o kolędzie na proboszczów, co poskutkowało tym, że w niemałej liczbie tamtejszych parafii kolęda odbywa się w tradycyjnej formie.

Większość polskich biskupów zdecydowała jednak o zmianach dotyczących terminu i formy tradycyjnych wizyt duszpasterskich na przełomie roku. Oto kilka przykładów.

W archidiecezji katowickiej kolędę ograniczono jedynie do błogosławieństwa nowych domów i mieszkań na zaproszenie gospodarzy. Kolęda w archidiecezji szczecińsko-kamieńskiej ma odbywać się w formule wizyty duszpasterskiej bardziej indywidualnej i rozciągniętej w czasie na cały rok. W diecezji kaliskiej administrator apostolski abp Grzegorz Ryś zarządził, że odwiedziny indywidualne wiernych w domach można będzie rozpocząć dopiero po zmianie regulacji sanitarnych.

W archidiecezji lubelskiej tradycyjna kolęda nie odbędzie się, jednak kuria nie wyklucza „posługi pobłogosławienia nowych domów na specjalne zaproszenie rodziny i odwiedzania chorych”. Na kurialnej stronie widnieje też zachęta do uczestnictwa w mszach w dni powszednie: „Grupy wiernych z parafii mogłyby wtedy otrzymać błogosławieństwo kapłańskie związane tradycyjnie z kolędą”.

W niektórych polskich parafiach pojawiły się także pomysły zorganizowania kolędowych spotkań przez internet. Tę formę wizyty duszpasterskiej – za pomocą Zooma – realizuje w Tychach ks. Grzegorz Strzelczyk, proboszcz parafii pw. św. Maksymiliana Kolbe. – Frekwencja jednak nie jest porażająca – przyznaje kapłan. O ile niższa w porównaniu z rokiem poprzednim? Proboszcz nie chciałby o tym mówić. – Parafia to przecież żywy organizm, a to mogłoby zostać odebrane przez wiernych jako presja – tłumaczy.

Butelka po soku

W większości diecezji w Polsce zdecydowano się zastąpić tradycyjną wizytę duszpasterską w domach mszą odprawianą w intencji parafian. Decyzję taką podjął na przykład biskup rzeszowski Jan Wą-

troba. Wierni w jego diecezji mogą podczas nabożeństw w kościołach zabrać do swoich domów specjalną broszurę wizyty duszpasterskiej, w której jest zamieszczona modlitwa do odmówienia przez parafian w domu. Elementem tej „liturgii rodzinnej" ma też być pokropienie przez jednego z domowników mieszkania wodą poświęconą podczas mszy.

Rzeszowska Katedra. Mimo iż do godziny 19.00 zostało jeszcze zaledwie kilka minut, drzwi do kościoła nadal nieustannie się otwierają.

Agata (około 40 lat) przyszła z mężem, synem i córką Patrycją. Tak, oczywiście, że przyniosła wodę do poświęcenia. Wyciąga z kieszeni niewielką butelkę po soku Tarczyn. Zdaniem Agaty taka msza to dobre rozwiązanie. – Z radością idę na spotkanie z Panem Jezusem. Wiem, że Eucharystia jest najlepszym darem dla człowieka, jaki może on otrzymać.

Marian (około 60 lat) przyszedł z żoną, ale ona już wcześniej weszła do środka. Co myśli o takiej formie kolędy? – Jak nie ma innej rady, to trzeba się dostosować – mówi z uśmiechem.

Stanisław i Grażyna (oboje około 65 lat) uważają, że taka forma zupełnie nie przeszkadza. – Jest bardzo dobrze – mówi Grażyna – bo ksiądz nie chodzi i się nie naraża.

Zenek (około 55 lat), kawaler, dosłownie chwilę temu dowiedział się od sąsiadki o mszy i od razu przybiegł. Czy przyniósł wodę do poświęcenia? No jasne! Kolęda w formie mszy świętej? – No cóż, lepsze to niż nic.

Małgorzata (około 40 lat) przyszła z mężem Adamem oraz synami Michałem i Bartkiem. Wody do poświęcenia nie przyniosła. Dlaczego? Bo w domu ma jeszcze trochę z zeszłego roku. Po powrocie razem z mężem odmówią w domu modlitwę i pokropią wszystkie pomieszczenia. Bo ta modlitwa jest przecież prośbą o błogosławieństwo dla mieszkańców i każdy ją może odmówić.

Kapłaństwo powszechne

– Owszem, w sakramentalnej posłudze nie sposób zastąpić księży – tłumaczy ks. Jarosław Lipniak, wykładowca na Papieskim Wydziale Teologicznym we Wrocławiu oraz proboszcz parafii Nawiedzenia Najświętszej Maryi Panny w Witoszowie Dolnym koło Świdnicy na Dolnym Śląsku. – Bo sakramenty zostały ustanowione przez Chrystusa i zasadniczo może je sprawować jedynie osoba ze święceniami (z wyjątkiem małżeństwa i w szczególnych przypadkach chrztu). Natomiast sakramentalia to znaki widzialne ustanowione przez Kościół, więc jest tu szersze pole do działania również dla świeckich. Istnieje ponadto powszechne kapłaństwo wiernych – i jest ono pierwotne w stosunku do kapłaństwa hierarchicznego. Dzięki niemu kapłan domowego ogniska – ojciec lub matka – ma władzę pobłogosławić dom wodą poświęconą przez księdza.

Według księdza Lipniaka to dobrze, że w nadzwyczajnych czasach sięgamy po nadzwyczajne środki. Jednak nie chciałby, żeby w dłuższej perspektywie Kościół zrezygnował ze starej formy. – Nie zapominając o starym, musimy korzystać z nowego – tłumaczy.

Dlatego w swojej parafii ksiądz proboszcz odbył kolędę w formie tradycyjnych wizyt duszpasterskich – zgodnie z decyzją biskupa świdnickiego Marka Mendyka.

– Chodziłem po kolędzie jak co roku od 12 lat, już w adwencie – mówi ks. Lipniak. – Miesiąc wcześniej wysłałem list do parafian z informacjami, co się wydarzyło w minionym roku i jakie mamy plany na kolejny. Podałem też termin planowanej wizyty duszpasterskiej. Wierni, którzy nie mogli jej przyjąć lub bali się koronawirusa, mogli kolędę przełożyć lub zupełnie z niej zrezygnować.

Ile rodzin proboszcz odwiedził w tym roku? – Nasza parafia nie jest duża, liczy ok. 3 tys. wiernych – tłumaczy ks. Lipniak. – Z 560 odwiedzanych co roku rodzin z tegorocznej kolędy zrezygnowało zaledwie 8, a 13 poprosiło o wizytę duszpasterską w innym terminie. Reszta zdecydowała się na kolędę.

Jak ona wyglądała? – Zupełnie normalnie – opowiada ks. Lipniak. – Ministranci zostawali przed domem, do środka wchodziłem sam. Zarówno ja, jak i domownicy mieli maseczki; po każdym wejściu i wyjściu dezynfekowałem ręce. Z domownikami zachowywałem w miarę możliwości dystans. Ograniczyliśmy też czas samej wizyty – w minionych latach przebywaliśmy w każdym domu jakieś 20-25 minut, podczas tegorocznej kolędy – około 10. Ale reszta wyglądała tak samo: modlitwa, błogosławieństwo, krótka rozmowa. Niektóre osoby też się spowiadały, bo już dawno nie przyjmowały sakramentu pokuty. ↦

POŻEGNANIE

Z wielkim żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

Ś.† P.

o. Macieja Zięby OP

członka opozycji demokratycznej,
pisarza, wykładowcy, wydawcy,
lidera wielu instytucji zakonnych i świeckich,
organizatora twórczego dialogu w ramach Instytutu Tertio Millennio,
autora ważnych książek,
w których niestrudzenie ukazywał potencjał wolności
zawarty w orędziu papieża Jana Pawła II
i w nauce społecznej Kościoła.

Jego bliskim i rodzinie zakonnej
składamy słowa serdecznego współczucia.

Niech odpoczywa w pokoju wiecznym!

PRZYJACIELE
ZE SPOŁECZNEGO INSTYTUTU WYDAWNICZEGO ZNAK

Kiełbasa z ogniska

W tradycyjnej, choć jednak nieco zmodyfikowanej formie, kolędę prowadzi ks. Adam Pawłowski, proboszcz parafii pw. św. Marcelina w Rogalinie w Wielkopolsce – choć pierwotnie planował kolędę przez internet. – Ta forma dla wielu osób była jednak po prostu technicznie niewykonalna – tłumaczy kapłan.

Jak więc wygląda tegoroczna kolęda w Rogalinie? Ks. Adam Pawłowski: – Odwiedzam parafian w ich ogródkach. Naciskam dzwonek przy bramce lub trąbię samochodem – wtedy parafianie wychodzą ubrani i w maseczkach na swoją posesję, witamy się, odmawiamy „Ojcze nasz" i „Zdrowaś Maryjo" oraz zawierzamy się naszemu patronowi św. Marcelinowi. Potem błogosławię dom, jest krótka rozmowa i idę dalej.

– Taka wizyta nie jest długa – zwykle trwa około 5 minut. Jeśli rodzina jest liczna, są w niej babcia, wnuki, wtedy kolęda trwa nieco dłużej, bo z każdym staram się chwilę porozmawiać.

Frekwencja dopisała. – Widać, że parafianom zależy na spotkaniu – mówi ks. Pawłowski. – W ostatnich dniach miałem sytuację, że jedna z parafianek na wieść o kolędzie przybiegła ze sklepu, w którym pracuje, i już po chwili cała jej rodzina stała w ogródku. Jej mąż także na chwilę przerwał pracę i przyjechał samochodem, żeby uczestniczyć w spotkaniu.

Zdarza się, że parafianie zapraszają do środka na herbatę, kawę. Ale ksiądz Adam odmawia: „Jak to się skończy, to wtedy się spotkamy". Dodaje, że kreatywność parafian często zaskakuje. W jednym z domów poczęstowano go herbatą na tarasie. W innym zrobiono ognisko i przygotowano kiełbaski.

Według ks. Pawłowskiego wartością dodaną obecnej sytuacji jest fakt, że może przynajmniej przez chwilę porozmawiać z niewierzącymi lub niepraktykującymi mieszkańcami parafii. – Kiedy w minionych latach chodziłem z ministrantami, to oni pytali te osoby, czy chcą przyjąć księdza. I ostatecznie nie miałem w ogóle kontaktu z takimi osobami. Dziś, gdy sam dzwonię do każdych drzwi, mogę im chociaż życzyć dobrego roku. Mimo że mamy różne podejście do życia, to są to najczęściej miłe spotkania.

Moment sakralny

Ks. Pawłowski: – Obecne zmienione formy kolędy przekładają się na ich jakość. Podczas normalnej wizyty duszpasterskiej kontakt jest dużo bliższy i milszy. Gdy stoję zmarznięty przed drzwiami, to jednak trudno się rozmawia. Nie mówiąc już o kolędzie przez internet.

– W obecnej trudnej sytuacji – mówi ks. Lipniak – księża oczywiście korzystają z różnych form, żeby się zobaczyć z wiernymi. Ale wizyta wymaga jednak fizycznej obecności – tak jak Eucharystia czy sakrament pokuty. Oczywiście powinniśmy wykorzystywać zdobycze techniki, ale nie można zastępować wszystkiego wirtualną rzeczywistością.

Według księdza Lipniaka o wiele większym problemem niż kłopot z kolędą w czasach pandemii jest fakt, że polski Kościół jest coraz bardziej zagubiony. Że staje się coraz mniej wyrazisty i przestaje być autorytetem dla wiernych. – Młodzież widzi to niezdecydowanie. Przejawem tego na pewno jest fakt, że masowo wypisuje się z katechezy. W zeszłym roku 6 osób u nas po szkole podstawowej nie chodziło na katechezę, w tym roku mamy ich 23.

Ks. Lipniak dodaje: – Obecnie najbardziej palącym problemem są rzeczywiste skandale. Musimy pokazać, że stoimy po stronie Chrystusa i po stronie ofiar. Co jest szambem, trzeba nazwać szambem. Nie możemy wybielać kogoś tylko dlatego, że jest księdzem – jak zrobiono to w ostatnich wypowiedziach w Toruniu, w których relatywizowano grzech ciężki. Tym bardziej że od księży należy więcej wymagać. Powinniśmy jako kapłani być zdecydowanie bardziej przejrzyści.

Ks. Andrzej Kobyliński, profesor UKSW w Warszawie, jest sceptyczny, jeśli chodzi o zastępcze formy kolędy: – Kolęda jako spotkanie duszpasterza z ludźmi w parafii ma przede wszystkim znaczenie dla ludzi starszych, samotnych i chorych, bo tych ludzi często nikt nie odwiedza. Dla tych osób taki moment sakralny jest bardzo ważny: jest osoba duchowna, jest modlitwa. Dlatego z tych form zastępczych, które nie mogą wyjść całkowicie naprzeciw oczekiwaniom osób chorych czy samotnych, najlepszym rozwiązaniem jest moim zdaniem msza święta w kościele. Nie przeceniałbym natomiast wagi poświęcenia domu wodą święconą przez domowników. Oczywiście, jest to jakiś element sakralny, ale przecież Pan Bóg jest obecny w naszym życiu na sto różnych sposobów. Tam, gdzie jest modlitwa, wiara i miłość – tam też jest prawdziwe błogosławieństwo.

Kolęda wróci

Katedra w Rzeszowie. Msza „kolędowa" dobiegła końca – proboszcz ks. Krzysztof Gołąbek zaprasza do kościelnych podziemi. Tam będzie można spokojnie porozmawiać.

Czy według niego kolęda przez internet lub w formie mszy mogłaby zostać na dłużej?

– Nic nie zastąpi fizycznej obecności – mówi ksiądz. – Odwiedzenie domu, błogosławieństwo: u nas to zawsze było mocno zakorzenione. Myślę, że ludzie będą tego zawsze pragnąć i że do tego wrócimy, jak tylko sytuacja się ustabilizuje.

© MARCIN CHODUŃ

POŻEGNANIE

Z głębokim smutkiem 28 grudnia 2020 r. pożegnaliśmy

Ś.† P.

o. Włodzimierza Zatorskiego

mnicha z Opactwa Benedyktynów w Tyńcu,
autora książek o duchowości i zarządzaniu,
asystenta duchowego Fundacji Opcja Benedykta,
przewodnika i przyjaciela ludzi świeckich,
Naszego Przyjaciela

FUNDACJA OPCJA BENEDYKTA

ZUZANNA

Radzik:
Mój rabin

Najpierw były sny marcowe. Długi pomost z dziecięcych wakacji, przechodzący w plażę jak gdzieś w Azji Południowo-Wschodniej. Albo bezkresne łąki. Ktoś poradził, by notować, ale początek pandemii był tak gorączkowy, że nie wyszło. Wróciły wraz z listopadowym chłodem i ponownym ograniczeniem życia do granic mieszkania, ale inaczej. Oto we śnie mignęła mi znajoma półka z jerozolimskiej biblioteki biblijnej, roczniki z sygnaturą 646.12. Jakby zegar biologiczny podpowiadał, że zwykle o tej porze roku zwabia mnie – zimowe, ale jednak – słońce w tamtej części świata.

Piszą w zachodnich gazetach, że pandemia skompromitowała modne hasło w duchu *mindfulness*, by być tu i teraz. Jesteśmy tu i teraz, bez planów, bo wiemy już, jak są kruche. Bez radosnego obmyślania kolejnego kroku, podróży, spotkań. Niepewni. Tu i teraz, czekamy. Podczas gdy człowiek lubi jednak być myślą trochę do przodu, trochę już tam. Wychylony. Smakuje w myślach, zanim zje. Cieszy się, zanim gdzieś się znajdzie. I czasem ta antycypacja przyjemniejsza jest od rzeczywistości. Zaznaczanie w kalendarzu nieśmiałych pomysłów i koniecznych zobowiązań. Ten zeszłoroczny, zapełniony planami, które się szybko unieważniły, straszył widmem tego, co mogło być. Kupić kolejny, czy jednak uważać i z antycypacją, i z planowaniem?

Zresztą lekcję o planowaniu odebrałam już raz w życiu. Gdy rabin Michael Signer, wsłuchując się przez pół roku w moje pytania i wątpliwości przy lekturach, orzekł, że za rok mam studiować w Jerozolimie – strasznie protestowałam. Plany miałam zupełnie inne i zrezygnowałam z nich tylko ze względu na niego. A właściwie ufając, że w relacji mistrz–uczennica chce dla mnie dobrze i wie lepiej. Od tej pory do własnych planów i okazji, które idą im wbrew, podchodzę jak na autostopie: patrzę głęboko w oczy, oceniam, czy warto zaufać, a potem daję się ponieść drodze i przygodzie.

Nie znosiliśmy się żegnać, więc gdy odwiedzili mnie z żoną już w Jerozolimie, przy rozstaniu rzuciłam tylko zmieszane „cześć". Zmarł pół roku później, 10 stycznia 2009 r., po niespodziewanej, szybkiej i ciężkiej chorobie. Początek stycznia to moment, gdy wspominam go z wdzięcznością, ale też z żalem za tę zbyt wczesną śmierć. „Mój rabin", mówiłam o nim zawsze, chcąc w tym czułym tytule zawrzeć, jak wiele mnie nauczył i jak mi dobrze namieszał w życiu.

Michaela Signera swoim rabinem nazywało pewnie wielu innych katolików, również tu, w Polsce. Przez całe właściwie życie zaangażowany w dialog chrześcijańsko-żydowski, wreszcie został współautorem pierwszej żydowskiej deklaracji na temat chrześcijaństwa: „Dabru Emet". Jego żona wzdychała, że nie da się go namówić do dbania o własną profesorską karierę, bo bardziej przejmują go losy wychowanków. Jako wykładowca katolickiego uniwersytetu, przez lata, wraz z żoną Betty i grupą zaprzyjaźnionych profesorów, organizował obozy naukowe dla studentów teologii i szkół rabinicznych z Polski, USA, Niemiec i Izraela. Nie zliczę, ile się na nich dowiedziałam o pamięci i dialogu, ani ile ważnych przyjaźni sięga tamtych dni.

Wśród wielu innych, poznałam tak Kasię, która dziś kończy na żydowskiej uczelni doktorat, już jako s. Katarzyna Kowalska NDS. Gdy z okazji chanuki KAI opublikowała z nią wywiad, internet odpowiedział antysemickim wzburzeniem setek komentarzy. Podoba sytuacja spotkała redaktora Terlikowskiego, który antysemickie komentarze pod swoimi chanukowymi życzeniami zdecydował się usuwać. Czy coś mnie zdziwiło? W treści w sumie nic nowego, statystykę znam i wiem, że łatwiej spotkać antysemitę, niż go nie spotkać. Zdumiewa chyba zapał, z którym w imię czystości chrześcijańskiej wiary użytkownik internetu pod własnym nazwiskiem jest skłonny łajać dziennikarza i zakonnicę w najgorszy antysemicki sposób. Dość powiedzieć, że do KAI dzwoniono z pytaniem, czy dziennikarz jest obrzezany.

I cóż z tym począć? Zaraz, jak co roku 17 stycznia, będziemy obchodzić dzień, w którym polski Kościół przypomina, że chrześcijaństwo w judaizmie ma swoje korzenie, a antysemityzm jest grzechem. Robi to nieco bezradnie i bez przekonania od ponad 20 lat. Antysemityzm chrześcijan trwał w najlepsze 19 wieków, karmiony teologią i pogardą. Teraz, widać, też ma się nieźle. Nie odczyni go akademia raz w roku. Ale może warto z tej okazji pamiętać, że istnieje. ©

OGŁOSZENIA

W Sądzie Rejonowym w Sanoku pod sygnaturą akt INS 141/19 toczy się postępowanie z wniosku Gminy Sanok o stwierdzenie nabycia spadku po Annie Nisiewicz zd. Dymkowicz, c. Andrzeja i Tekli, urodzonej 16.09.1897 r. w Dobrej, zmarłej 26.02.1985 r. w Dobrej, gdzie ostatnio przed śmiercią zamieszkiwała.

Wzywa się spadkobierców zmarłej, aby w terminie 3 miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili swój udział w postępowaniu i udowodnili swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie, Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6 toczy się pod sygnaturą I Ns 173/20 postępowanie z wniosku wierzyciela Wielkopolskiego Banku Spółdzielczego o stwierdzenie nabycia spadku po Henryku Świerkowskim, zmarłym 04.02.2020 r., ostatnio zamieszkałym w Jarocinie. Skład spadku po zmarłym jest nieznany.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłego, by w terminie trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

STAN WYJĄTKOWY

Zamieszki w Waszyngtonie pokazały, jak groźna dla amerykańskiej demokracji jest powyborcza retoryka Donalda Trumpa.

MARTA ZDZIEBORSKA

Wybite szyby w budynku Kapitolu i tłum szturmujący sale obrad parlamentu federalnego – to nie kadry z amerykańskiego filmu *political fiction*. To wydarzenia, do jakich doszło w minioną środę 6 stycznia, gdy Kongres USA miał oficjalnie zatwierdzić zwycięstwo Joego Bidena w wyborach prezydenckich. Ze względów bezpieczeństwa ewakuowano członków obu izb i przewodzącego obradom wiceprezydenta Mike'a Pence'a. Cały świat obiegły zdjęcia zwolenników Trumpa, którzy siadali przy senackiej mównicy, przechadzali się po biurze przewodniczącej Izby Reprezentantów Nancy Pelosi i grzebali w jej rzeczach. Na jednej z krążących w internecie fotografii widać, jak mężczyzna siedzi w fotelu Pelosi i opiera nogi o jej biurko. Na innym zdjęciu widzimy kartkę z ostrzeżeniem: „Nie ustąpimy".

Bilans zamieszek to pięć ofiar śmiertelnych, w tym jeden policjant; co najmniej 82 aresztowanych oraz dwie bomby znalezione w pobliżu siedzib Partii Demokratycznej i Partii Republikańskiej. Na pomoc służbom porządkowym na Kapitolu wysłano posiłki Gwardii Narodowej, agentów FBI i funkcjonariuszy Secret Service. W Waszyngtonie do 21 stycznia będzie obowiązywać stan wyjątkowy. Dzień wcześniej Biden złoży przysięgę – jako nowy prezydent USA.

WIN MCNAMEE / GETTY IMAGES

Zwolennicy Trumpa w budynku Kapitolu, 6 stycznia 2021 r. Obraz za ich plecami pokazuje bitwę na jeziorze Erie – jeden z epizodów wojny między Wielką Brytanią a powstałymi niedawno Stanami Zjednoczonymi w latach 1812-15, podczas której wojska brytyjskie spaliły Kapitol oraz Biały Dom. Był to jedyny przypadek w historii, gdy wróg zdobył Waszyngton.

Odcięty od Facebooka

W reakcji na zamieszki przemówienie do Amerykanów wygłosił prezydent-elekt. Atak zwolenników Trumpa nazwał „atakiem na demokrację". Wezwał urzędującego jeszcze prezydenta, aby przemówił do demonstrantów i zaapelował o zaprzestanie szturmu na Kapitol. Prezydent rzeczywiście to zrobił, ale na swój sposób. Opublikował na Twitterze nagranie, w którym co prawda poprosił swoich zwolenników o powrót do domów, ale nie omieszkał wspomnieć o „skradzionych" wyborach. Dodał również, że rozumie „ból" protestujących.

Kilka godzin później Twitter, Facebook i YouTube usunęły nagranie z kontrowersyjnym apelem. Przynajmniej do zakończenia kadencji Trump nie będzie mógł korzystać ze swoich kont na Facebooku i Instagramie.

Prezydent sam się o to prosił. Od tygodni nieustannie wysuwał zarzuty dotyczące rzekomych fałszerstw wyborczych. Szedł w zaparte, choć nadużyć czy fałszerstw nie wykazano ani w drodze postępowań sądowych, ani audytów głosowania w kluczowych stanach. Już na początku grudnia szef Departamentu Sprawiedliwości – skądinąd dotąd wierny zwolennik Trumpa – powiedział, że nie znaleziono dowodów na szeroko zakrojone oszustwa, które mogłyby wpłynąć na wynik wyborów.

Nie poddamy się

Trump rozsiewał teorie spiskowe także w dniu szturmu na Kapitol. Tuż przed rozpoczęciem sesji Kongresu, który miał oficjalnie zatwierdzić zwycięstwo Bidena, wystąpił na wiecu swoich zwolenników w Waszyngtonie i grzmiał, że Biden będzie „nielegalnym" prezydentem. „Nigdy się nie poddamy, nigdy nie ustąpimy. Nie ma miejsca na ustępstwa, gdy w grę wchodzi kradzież" – mówił, zagrzewając swych zwolenników, aby poszli pod Kapitol.

Prezydent naciskał też na Mike'a Pence'a, aby zainterweniował podczas sesji zatwierdzającej wynik wyborów. Wiceprezydent otwarcie sprzeciwił się Trumpowi. W oświadczeniu wyjaśnił, że „konstytucja nie daje [mi] uprawnień, by jednostronnie decydować, które głosy elektorskie powinny być policzone, a które nie". W końcu zatwierdzenie grudniowego głosowania Kolegium Elektorów to tylko formalność. Członkowie obu izb zbierają się, by uroczyście zliczyć głosy oddane przez elektorów i zatwierdzić zwycięstwo wybranego zgodnie z wolą wyborców kandydata. W listopadowych wyborach Joe Biden wygrał z Trumpem wyraźnie, stosunkiem głosów elektorskich 306 do 232.

Ślepy na wyborczą arytmetykę był nie tylko ustępujący prezydent, ale też niektórzy politycy Partii Republikańskiej. Jeszcze na początku stycznia jedenastu senatorów zapowiedziało, że i tak zakwestionuje w Kongresie wynik głosowania w kluczowych stanach. Liderami tej inicjatywy byli Ted Cruz z Teksasu i Josh Hawley z Missouri, którzy nie wykluczają startu w wyborach prezydenckich w 2024 r. i najwyraźniej chcą wkupić się w łaski wyborców Trumpa. Przypomnijmy, że choć przegrał on listopadowe wybory, to zdobył 74 mln głosów. To o 11 mln więcej, niż uzyskał w 2016 r. Tymczasem, jak pokazał w połowie grudnia sondaż CBS News/YouGov, aż ośmiu na dziesięciu wyborców Trumpa nie uznaje wyborczego zwycięstwa Bidena.

Groźny precedens

Ted Cruz i Josh Hawley dopięli swego i podczas posiedzenia Kongresu zgłosili zastrzeżenia w sprawie wyników w Arizonie i Pensylwanii. Kilku Republikanów przedstawiło też obiekcje dotyczące ↦

↦ rezultatów w Georgii, Michigan i Newadzie. Wszystkie zastrzeżenia zostały odrzucone: ze względów formalnych lub w wyniku głosowania obu izb Kongresu.

Niektórzy Republikanie chcieli odwieść swoich kolegów od działań co prawda skazanych na porażkę, ale jednak podważających wynik wyborów. Lider tej partii w Senacie, Mitch McConnell, apelował w Kongresie o rozsądek. „Wyborcy, sądy i stany przemówili. Jeśli im się sprzeciwimy, wyrządzimy naszej republice szkodę na zawsze" – przekonywał. W tym samym tonie na początku stycznia apelowała republikańska kongresmenka Liz Cheney. W liście do kolegów napisała, że kwestionowanie rezultatów na tym etapie to „bardzo groźny precedens".

Już po szturmie na Kapitol i wznowieniu sesji Kongresu kilku republikańskich senatorów wykruszyło się z pro-Trumpowej koalicji. Uwagę mediów przykuła wypowiedź Republikanki Kelly Loeffler: „Dziś rano przychodziłam tu z zamiarem zgłoszenia obiekcji co do głosów elektorskich z mojego stanu. Po tym, co wydarzyło się w ciągu dnia, nie mogę tego zrobić. Chcę chronić najdroższe mi świętości, demokratyczne instytucje, a nie przykładać ręki do ich podważania".

Od Trumpa odwrócił się też jego dotychczasowy sojusznik, senator z Karoliny Południowej Lindsey Graham. Podczas ciągnącego się przez długie godziny posiedzenia Kongresu wezwał do uznania zwycięstwa Bidena: „Musimy to zakończyć. Dość tego!". Z kolei republikański senator z Teksasu John Cornyn powiedział, że powyborcza retoryka prezydenta „osiągnęła dno".

Wśród członków Kongresu – głównie Demokratów – nie brakuje teraz zwolenników usunięcia Trumpa ze stanowiska jeszcze przed oficjalnym zakończeniem kadencji. Byłoby to możliwe w przypadku wszczęcia (na nowo) procedury impeachmentu lub użycia 25. poprawki do konstytucji, która uruchamiana jest w sytuacji, gdy prezydent jest niezdolny do dalszego pełnienia urzędu. O zastosowanie tego drugiego rozwiązania zaapelowali do wiceprezydenta Pence'a liderzy Demokratów w Senacie i Izbie Reprezentantów. Jednocześnie ruszyła fala rezygnacji w gabinecie Trumpa. Odeszli m.in. zastępca doradcy ds. bezpieczeństwa narodowego oraz sekretarze transportu i edukacji.

Trump najwidoczniej przestraszył się dalszych konsekwencji – i następnego dnia po zamieszkach opublikował na Twitterze nagranie, w którym potępił szturm na Kapitol i przyznał, że już niebawem przestanie być prezydentem. Obiecał też pokojowe przekazanie władzy.

Przetasowanie

W świetle chaosu w Waszyngtonie łatwo pominąć inne ważne wydarzenie w amerykańskiej polityce. Dzień wcześniej, 5 stycznia, odbyły się bowiem wybory uzupełniające do Senatu w stanie Georgia, dzięki którym Demokraci uzyskali kontrolę w izbie wyższej Kongresu. Po zwycięstwie dwóch kandydatów tej partii – Raphaela Warnocka i Jona Ossoffa – głosy w Senacie rozłożą się równo 50 do 50. To oznacza przewagę Demokratów, gdyż – zgodnie z przepisami – w przypadku remisu w głosowaniach decydujący głos będzie należał do wiceprezydentki Kamali Harris.

Demokraci mogą więc świętować z kilku powodów. Ze „swoim" prezydentem w Białym Domu i większością w obu izbach Kongresu, po raz pierwszy od dziesięciu lat mają pełnię władzy na szczeblu federalnym. Na dodatek Raphael Warnock, pastor Kościoła baptystów z Atlanty, został pierwszym czarnoskórym senatorem z tradycyjnie republikańskiej dotąd Georgii. Warnock i Ossoff to także pierwsi od 20 lat politycy Partii Demokratycznej, wybrani na urząd senatora w tym stanie.

Niewielka, ale jednak przewaga w Senacie ułatwi Partii Demokratycznej zatwierdzanie nominacji kandydatów do gabinetu Bidena, do sądów federalnych i Sądu Najwyższego. Nowy rozkład sił zwiększy też szanse na realizację planów nowej administracji. W trakcie kampanii Joe Biden przedstawił pakiet ambitnych reform dotyczących ochrony środowiska, opieki zdrowotnej, polityki migracyjnej czy zniesienia nierówności rasowych.

Warto jednak pamiętać, że administracja Bidena i tak może mieć w Senacie pod górkę. Do przepchnięcia większości ustaw konieczne jest bowiem zdobycie poparcia 60 senatorów, co oznacza, że Demokraci najpewniej będą musieli dogadywać się z umiarkowanymi Republikanami. Mając jednak przewagę, to lider Demokratów, a nie przywódca senackich Republikanów Mitch McConnell będzie decydować, jakie projekty ustaw trafią w izbie pod obrady.

Awantura o czeki

To, jak duże mogą być tarcia między obiema izbami Kongresu, pokazały już wielomiesięczne rozmowy nad pakietem pomocowym dla gospodarki. Demokraci i Republikanie dogadali się w tej sprawie dopiero przed świętami Bożego Narodzenia, gdy milionom Amerykanów groziła już utrata zasiłków i ochrony przed eksmisją. Zresztą i tak nie obyło się bez dramatycznych zwrotów akcji. Donald Trump zagroził, że nie podpisze uchwalonego już pakietu, jeśli Kongres nie wprowadzi poprawki podnoszącej wartość czeków dla Amerykanów z 600 do 2 tys. dolarów. Kontrolowana przez Demokratów Izba Reprezentantów uchwaliła nowelizację ustawy, ale Mitch McConnell nie przyjął jej pod obrady Senatu.

Spór o wysokość czeków pomocowych wykorzystali w trakcie kampanii Demokraci w Georgii. Warnock i Ossoff wytknęli swoim rywalom – Kelly Loeffler i Davidowi Perdue – że Republikanie są nieczuli na los Amerykanów w czasie pandemii. W populistyczny ton uderzył też Biden. Na dzień przed głosowaniem zapowiedział na wiecu w Atlancie, że jeśli w Georgii wygrają obaj Demokraci, Senat zgodzi się na wyższe czeki. Kopiując postulaty z prezydenckiej kampanii Bidena, Warnock i Ossoff obiecywali cięcia kosztów ubezpieczeń zdrowotnych i zwiększenie środków na walkę z pandemią. Z kolei republikańscy kandydaci sięgali chętnie po retorykę Trumpa. Odmawiali uznania wyborczego zwycięstwa Bidena i sugerowali, że ich rywale są „radykalnymi liberałami", którzy pociągną Amerykę w stronę socjalizmu.

Walka o wpływy

Podwójny pojedynek w Georgii okrzyknięto już jednym z najdroższych wyścigów senackich w historii USA. Na trwającą zaledwie dwa miesiące kampanię czwórki kandydatów wydano niemal pół miliarda dolarów.

Serwis telewizji CNBC podaje, że kampanię Republikanów wspierali m.in. darczyńcy z sektora finansowego i rynku nieruchomości. Najwyraźniej bali się przewagi Demokratów w Senacie, bo ci mogą zagłosować za postulowanym przez Bidena podwyższeniem podatków dla korporacji.

Gdy w listopadzie okazało się, że w wyborach w Georgii konieczna jest dogrywka – bo żaden z kandydatów nie

uzyskał w pierwszej turze ponad 50 proc. głosów – ten niewielki, zaledwie 10-milionowy stan stał się centrum walki o wpływy w Waszyngtonie. Na wiece poparcia dla tamtejszych kandydatów przyjeżdżali wiceprezydent Pence, przyszła wiceprezydentka Harris, Biden i Trump.

Znajdź głosy

Zamiast skupić się na agitacji na rzecz dwojga Republikanów, Trump wałkował temat rzekomych fałszerstw wyborczych w Georgii. Nie powstrzymał się nawet na dzień przed senacką dogrywką. Podczas wiecu w 30-tysięcznym mieście Dalton zaatakował lokalnych polityków: sekretarza stanu Brada Raffenspergera i gubernatora Briana Kempa. Obaj nie ulegli jego naciskom, aby wbrew woli wyborców „odkręcić" wynik wyścigu w Georgii.

A były to naciski szczególne. Na początku stycznia dziennik „Washington Post" ujawnił sensacyjne nagranie godzinnej rozmowy telefonicznej, podczas której Trump przekonywał Raffenspergera, aby ten „znalazł" liczbę głosów potrzebną w tym stanie do uzyskania przewagi nad Bidenem. „Mieszkańcy Georgii są wściekli (...) Nie stanie się nic złego, jeśli powiesz, że ponownie obliczyłeś głosy" – wypalił Trump. Zagroził również urzędnikowi, że zatajanie informacji o fałszerstwach wyborczych jest przestępstwem (dodajmy, że w ramach audytu głosowania takowych fałszerstw w Georgii nie stwierdzono).

Opublikowanie nagrania wywołało oburzenie w całej Ameryce. Ale i tak nikt się nie spodziewał, że już kilka dni później snujący teorie spiskowe Trump posunie się jeszcze dalej.

Teraz, po zamieszkach na Kapitolu, pozostaje zadać pytanie: co jeszcze może wydarzyć się przed objęciem władzy przez Bidena? Niepokoić mogą też wyniki badania pracowni YouGov: oto jedna piąta respondentów odpowiedziała, że popiera szturm na Kapitol. Wśród republikańskich wyborców taki pogląd wyraża aż 45 proc. z nich.

Co się stało z Ameryką?

© MARTA ZDZIEBORSKA

MENAHEM KAHANA / AFP / EAST NEWS

Szczepienia w Clalit Health Services. Jerozolima, 6 stycznia 2021 r.

Milion w dwa tygodnie

INGA ROGG Z NAZARETU I JEROZOLIMY

Żaden kraj nie szczepi swoich obywateli tak szybko jak Izrael. Towarzyszą temu kolejna fala epidemii i kolejny lockdown. Premier Netanjahu liczy, że szczepienia pomogą mu wygrać wybory – czwarte w ciągu dwóch lat.

Z głośnika na centralnym placu w Nazarecie rozbrzmiewają kolędy. Głośnik ustawiony jest najwyraźniej na pełny regulator. „Cicha noc, święta noc" niesie się po pobliskich uliczkach, po arabsku oraz w wielu różnych językach, w tym po angielsku, rosyjsku i niemiecku. Rodziny z dziećmi, pary i nastolatki przechadzają się po placu, robią sobie pamiątkowe zdjęcia przed choinką, podobno największą w całej Ziemi Świętej. Wielu nosi czapki mikołajowe; kobieta w obcisłych czarnych dżinsach i krótkiej bluzce ponad pępek ubrała czerwony kapelusz kowbojski z deseniem w gwiazdki. Niektórzy przysiadają, zajadają sandwicza z falafelem, wystawiają twarze na ciepłe zimowe słońce. Inni kupują na rogu kubek grzanego wina...

I tyle. Na więcej nie mogli liczyć ci, którzy w te święta Bożego Narodzenia znaleźli się w Nazarecie. Z powodu restrykcji większość nabożeństw bożonarodzeniowych w Ziemi Świętej nie mogła się odbyć. „Zamknięte": głosiła kartka na bramie Bazyliki Zwiastowania Pańskiego. Nawet w Bazylice Grobu Bożego w Betlejem w pasterce mogła wziąć udział tylko niewielka liczba wiernych. Zwykle to nocne nabożeństwo przyciągało co roku tysiące.

Trzecia fala...

W Izraelu oraz na palestyńskich terenach okupowanych ostatnie tygodnie roku 2020 stały pod znakiem kolejnej, trzeciej już fali epidemii. Mimo rozlicznych restrykcji, obowiązujących w takiej lub innej postaci od miesięcy, liczba rejestrowanych codziennie infekcji ponownie poszła gwałtownie w górę. Władze palestyńskie, które jeszcze w pierwszej połowie grudnia ogłosiły częściowy lockdown, w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia odnotowały oficjalnie 1306 nowych zakażeń. Tego samego dnia Izrael zarejestrował ich 4273, czyli prawie trzynaście ↦

↦ razy więcej niż 18 października 2020 r., gdy rząd zaczął znoszenie obostrzeń drugiego lockdownu. Jak się miało wkrótce okazać – zbyt optymistycznie.

Choć więc wiele z wcześniejszych regulacji koniec końców nie zostało zniesionych, w obliczu trzeciej fali epidemii izraelski rząd zdecydował się w końcu ogłosić kolejny kompletny lockdown, trzeci już w roku 2020. Od niedzielnego popołudnia, 27 grudnia, zamknąć musiały się ponownie wszystkie sklepy i bazary, których asortyment nie obejmował produktów niezbędnych do przeżycia. Podobnie wszelkie obiekty rekreacyjne – instytucje kulturalne i tak są zamknięte od miesięcy – czy hotele. Zakazano nawet prywatnych wizyt domowych. Pomijając sytuacje wyjątkowe, można się było oddalać od własnego miejsca zamieszkania jedynie w promieniu jednego kilometra.

...i trzeci lockdown

Szkoły i inne instytucje edukacyjne pozostały otwarte – po tym, jak komisja parlamentarna zakwestionowała rozporządzenie rządu, aby część klas przeszła na nauczanie zdalne. Ale większość przedsiębiorstw musiała zredukować personel pracujący stacjonarnie o połowę. Wyjątki objęły jedynie służbę zdrowia i sektor socjalny, sklepy spożywcze, a także budownictwo i sektor odpowiadający za usługi związane z bezpieczeństwem. W przypadku świątyń i domów modlitwy surowe restrykcje obowiązują i tak od miesięcy. W przedostatnim tygodniu grudnia rząd raz jeszcze zaostrzył przepisy dotyczące wjazdu do kraju: o ile już od wiosny obcokrajowcy mogli wjeżdżać do Izraela jedynie w oparciu o specjalne zezwolenie, o tyle teraz nie mogli wcale. Restrykcje miały obowiązywać do soboty 9 stycznia, jednak szybko pojawiły się głosy, że obywatele powinni nastawić się na przedłużenie lockdownu.

Eksperci krytykują, że tego wszystkiego można było uniknąć. Po doświadczeniach z wiosny, gdy niekontrolowane znoszenie restrykcji doprowadziło już latem do drugiej fali epidemii, rząd zapewniał, że jesienią zrobi wszystko lepiej. Zamiast jednak słuchać ekspertów, politycy zignorowali opracowane przez nich plany i modele. Wprawdzie odmrażanie – rozpoczęte, jak już powiedziano, w październiku – przebiegało tym razem stopniowo. Lecz zamiast zaprzestać łagodzenia restrykcji już z chwilą, gdy pojawiły się sygnały o wzbierającej trzeciej fali, pozwolono, aby sprawy toczyły się swoim biegiem.

Za wcześnie na oddech

Wielu Izraelczyków ma więc teraz nadzieję, że skutecznym środkiem na widmo epidemii mogą być dopiero masowe szczepienia. Premier Beniamin Netanjahu, który pod koniec marca 2021 r. musi po raz kolejny w krótkim czasie walczyć o polityczne przetrwanie – będą to czwarte już wybory parlamentarne w ciągu dwóch lat – od początku zajął miejsce na samym czele operacji szczepienia społeczeństwa.

Zaczęła się ona w niedzielę 20 grudnia i od razu przybrała charakter masowy. Jeśli nie będzie opóźnień w dostawach, większość z 9,2 mln Izraelczyków zostanie zaszczepionych do końca marca – taki szacunek przedstawił już pod koniec grudnia Chezy Levy, urzędnik ministerstwa zdrowia odpowiedzialny za szczepienia. Levy podkreślił, że na razie jest za wcześnie, aby odetchnąć z ulgą, i że ludność musi koniecznie stosować się do restrykcji, „nawet jeśli nie ufa rządowi".

W każdym razie w Nazarecie większość się stosowała. Sima Hamad, która z rodzicami i rodzeństwem mieszka w północnej części śródmieścia, spędzała te święta w gronie najbliższej rodziny – podczas gdy wcześniej porządne świętowanie Bożego Narodzenia nie mogło obyć się bez tuzinów bliższych i dalszych krewnych. To smutne, ale „cóż można zrobić" – powiedziała mi Hamad. Zamiast licznych krewniaków odwiedziła ich tylko sąsiadka. Wspólnie stały na dachu domu, z którego rozpościerała się wspaniała panorama miasta.

O tej porze roku Nazaret był zawsze jak magnes, przyciągał tłumy turystów. Teraz większość sklepów na historycznej starówce, z jej wąskimi uliczkami pamiętającymi czasy osmańskie, musiała pozostać zamknięta, a hotele od miesięcy stoją puste. – Korona, korona... – powiedziała Hamad i wzruszyła ramionami. – Miejmy nadzieję, że rok 2021 będzie lepszy.

W błyskawicznym tempie

Nadzieja to teraz słowo kluczowe. I trzeba przyznać, że gdy idzie o szczepienia, Izrael pokazuje w tych dniach, jak wiele może osiągnąć ten mały kraj, jeśli tylko skupia wszystkie swoje siły na osiągnięciu konkretnego celu.

Żaden kraj na świecie nie szczepi bowiem swoich obywateli w tak błyskawicznym tempie. Już w ciągu pierwszych dziesięciu dni od rozpoczęcia kampanii szczepień, pierwszą dawkę przyjęło 650 tys. Izraelczyków (czyli 7 proc. obywateli). We wtorek 29 grudnia udało się zaszczepić aż 150 tys. osób. „Coraz bliżej miliona! Tak się pokonuje epidemię!" – napisał na Twitterze minister zdrowia Yuli Edelstein w środę 30 grudnia. I rzeczywiście: do minionego wtorku, 5 stycznia, pierwszą dawkę szczepionki przyjęło już ponad 1,2 mln Izraelczyków.

Izrael profituje w tym przypadku z faktu, iż jest krajem bardzo scentralizowanym. A być może również i z tego, że tutejsi lekarze i eksperci nie muszą aż tak bardzo przekonywać do zaszczepienia się, jak ma to miejsce gdzieniegdzie w Europie. Wprawdzie również wśród Izraelczyków jest wielu sceptyków, ale zdecydowana większość nie może się doczekać bycia zaszczepionym.

Całą akcję zorganizowano tak, że szczepienia prowadzone są przez cztery wielkie towarzystwa ubezpieczeniowe Izraela. Utworzyły one większe i mniejsze stacje prowadzące szczepienia – obok szpitali, także np. w centrach gminnych czy w innych dogodnych miejscach. Na początku popyt był tak wielki, że chętni musieli czekać godzinami na połączenie z infoliniami; przestały też działać strony internetowe.

Medycy, seniorzy, nauczyciele

Gdy idzie o kolejność, w pierwszym rzędzie szczepiono personel medyczny oraz osoby z grup ryzyka. Ponieważ izraelskie społeczeństwo jest relatywnie młode, do grup ryzyka zaliczają się wszystkie osoby, które ukończyły 60. rok życia – i w ciągu pierwszych dwóch tygodni pierwszą dawkę szczepionki przyjęło aż 45 proc. spośród tych właśnie osób.

Tymczasem do tej pory osoby ponad 60-letnie stanowiły zdecydowaną większość (aż 70 proc.) wśród tych, którzy zakażenie koronawirusem przechodzili w szpitalach bardzo ciężko. Eran Segal z Instytutu Naukowego Weizmanna, który tworzy symulacje przebiegu epidemii, szacuje, że już w połowie stycznia udział seniorów w grupie najciężej chorych powinien spaść do poziomu 20 proc. – i gdyby tak się stało, byłby to naprawdę wielki sukces.

Po medykach i seniorach, już w pierwszym tygodniu stycznia przyszła kolej na nauczycieli. Potem szczepienia miały objąć resztę społeczeństwa. Nie jest jed-

KOBI WOLF / BLOOMBERG / GETTY IMAGES

Kolejka przed centrum szczepień na placu Rabina. Tel Awiw, 4 stycznia 2020 r.

nak pewne, czy Izraelowi uda się utrzymać tak ambitne tempo. Dotąd używano szczepionki produkowanej przez koncern Pfizera i firmę BioNTech. Rząd izraelski zarezerwował 8 mln dawek, płacąc przy tym – jak twierdzą media – cenę dwukrotnie wyższą niż Unia Europejska. Ponadto Izrael zarezerwował 10 mln dawek firmy AstraZeneca, a także 6 mln dawek firmy Moderna, które mają być jednak dostarczane dopiero pod koniec marca. Na początku stycznia do Izraela miały dotrzeć kolejne dostawy szczepionki Pfizera i BioNTechu, które powinny wystarczyć na zaszczepienie jednej piątej obywateli. Do uzyskania tzw. odporności stadnej byłoby więc mimo wszystko jeszcze daleko.

Palestyńczycy muszą poczekać

Okolicznością utrudniającą jest tu także fakt, że gotowość do zaszczepienia się wśród Arabów-obywateli Izraela i ultraortodoksyjnych Żydów jest znacznie mniejsza niż pozostałej części społeczeństwa – pomimo ekstremalnie wysokich wskaźników infekcji właśnie w tych grupach oraz pomimo apeli, które w mediach wystosowują rabini. W kraju odnotowano już także pierwsze infekcje nową mutacją koronawirusa, która rozprzestrzenia się szybciej niż dotychczasowy wariant.

Szczepionek nie dostanie natomiast, przynajmniej na razie, 5 mln Palestyńczyków z Zachodniego Brzegu Jordanu i Strefy Gazy. Władze Autonomii Palestyńskiej spodziewają się, że jedną piątą ich zapotrzebowania na szczepionki otrzymają w ramach programu Światowej Organizacji Zdrowia. Pozostałe muszą sfinansować z własnych środków lub dzięki wsparciu z zagranicy. Ministerstwo zdrowia w Ramallah na Zachodnim Brzegu liczy się z tym, że rozpoczęcie masowych szczepień będzie możliwe najwcześniej w marcu.

Wprawdzie Izrael ma interes w tym, aby również Palestyńczycy zostali zaszczepieni tak szybko jak tylko to możliwe – dziesiątki tysięcy z nich przyjeżdżają codziennie do pracy do Izraela, inni pracują na terenie osiedli żydowskich na terenach okupowanych. Jednak rząd izraelski uważa, że odpowiedzialność za szczepienia Palestyńczyków spoczywa na władzach Autonomii. Polemizują z tym izraelskie organizacje praw człowieka: argumentują, że Izrael ponosi odpowiedzialność za zdrowie i bezpieczeństwo wszystkich ludzi, którzy żyją pod jego kontrolą.

Szczepienia, Netanjahu, polityka

Izraelska kampania szczepień ma także silny kontekst polityczny. Jak już powiedzieliśmy, od ostatniej niedzieli grudnia w kraju obowiązuje trzeci już lockdown – tymczasem coraz więcej Izraelczyków ma już serdecznie dość obostrzeń i zakazów. Równocześnie w marcu odbędą się kolejne wybory parlamentarne – czwarte już w ciągu minionych dwóch lat. Wielu obywateli uważa, że to Beniamin Netanjahu ponosi odpowiedzialność za wcześniejsze niepowodzenia i błędy w zwalczaniu epidemii. Premier potrzebuje więc sukcesu i to pilnie.

Dlatego Netanjahu dwoi się i troi, aby przekonać społeczeństwo, że masowe szczepienia to nie tylko jego priorytet, ale także zasługa. Dowiadujemy się więc, że premier w środku nocy dzwonił do jednego z szefów Pfizera, aby zapewnić szczepionki dla Izraela. Pospieszył także na lotnisko, aby osobiście przyjąć pierwszą ich dostawę i dał się zaszczepić przed kamerami. Gdy mówi o kampanii szczepień, chętnie sięga po superlatywy; np. początek całej akcji był dla niego „gigantyczny".

Czy mu to teraz pomoże? Czy ludzie zapomną, że Izrael już raz znalazł się wśród pierwszych, albo że przynajmniej tak się przez moment wydawało? Było to wiosną, gdy po pierwszym ostrym lockdownie epidemia zdawała się być tutaj w odwrocie, a Netanjahu co i rusz chwalił sam siebie za rzekomo świetne zarządzanie kryzysowe. Wtedy niewiele to pomogło. Jak będzie teraz? Oto jest pytanie.

© INGA ROGG

Przełożył WP

Autorka jest reporterką szwajcarskiego dziennika „Neue Zürcher Zeitung", specjalizuje się w tematyce bliskowschodniej. Przez wiele lat mieszkała w Iraku i Turcji, obecnie w Izraelu. Stale współpracuje z „TP".

SERGEI MALGAVKO / TASS / GETTY IMAGES x2

Zbiory w Kombinacie Produkcyjno-Rolniczym Massandra na Krymie, sierpień 2018 r.

Kasjer Putina przejmuje klejnot Krymu

TADEUSZ IWAŃSKI

Posiadanie własnej winnicy na Krymie to dla moskiewskiej elity kwestia mody i prestiżu. Inwestycje w branżę winiarską służą też odbudowie symboli imperialnej Rosji.

5,32 MILIARDA RUBLI PO RAZ PIERWszy! 5,32 miliarda po raz drugi! 5,32 miliarda po raz trzeci – i sprzedane! W połowie grudnia ubiegłego roku Massandra – słynny zakład produkcji win na okupowanym obecnie Krymie – został „sprywatyzowany". Transakcja, której wartość równa jest nieco ponad 71 mln dolarów (tylko, a nie aż), wzbudziła tsunami krytyki na kontynentalnej Ukrainie – i kolejny raz przypomniała o rosyjskich porządkach na anektowanym prawie siedem lat temu półwyspie.

Za kulisami „prywatyzacji"

W roli „sprzedawcy" Massandry wystąpiło tzw. Ministerstwo Relacji Własnościowych i Ziemskich Republiki Krym. Po aneksji ukraińskie przedsiębiorstwa państwowe – a takim był Kombinat Produkcyjno-Rolniczy Massandra – zostały bowiem przez Rosję „znacjonalizowane", a ważniejsze z nich (w tym Massandra) przekazane bezpośrednio pod kontrolę Zarządu Spraw Prezydenta Władimira Putina. Pod koniec 2019 r. zakład został „zwrócony" okupacyjnym władzom Krymu – zapewne po to, aby przygotować transakcję sfinalizowaną rok później.

„Kupujący" to firma Jużnyj Proekt, spółka-córka Banku Rossija, której szefem rady dyrektorów i największym akcjonariuszem jest Jurij Kowalczuk, członek najwyższych kremlowskich elit. Jeszcze w 1996 r. był on – obok ówczesnego zastępcy mera Petersburga Władimira Putina – jednym z ośmiu założycieli kooperatywy Oziero, budującej domki letniskowe na Przesmyku Karelskim. Gdy kilka lat później Putin został prezydentem, założyciele Oziera zaczęli zajmować lukratywne stanowiska w biznesie i administracji. Kowalczuk, zwany „kasjerem Putina", nie musi bać się zachodnich sankcji – on sam i jego bank są nimi objęci już od 2014 r.

Według doniesień rosyjskiego „Forbesa" Kowalczuk przyglądał się Massandrze – a także innym winiarskim aktywom na Krymie, np. firmie Inkerman – już od kilku lat. Bank Rossija udzielił Massandrze kredytu, dzięki czemu ludzie Kowalczuka dostali wgląd w papiery, co z kolei pozwoliło im ocenić stan finansów firmy. Sama aukcja była farsą: cena wyjściowa, mocno zaniżona, wyniosła 5,3 mld rubli, a jedynym konkurentem Jużnego Proektu była mała, nieznana i założona krótko wcześniej firemka, która zaoferowała cenę równą wywoławczej. Jużny Proekt nie musiał się wykosztować, aby przebić ofertę „konkurenta".

Nie ma wątpliwości, że w sprawie przejęcia Massandry Kowalczuk dogadał się na Kremlu – jest to bowiem inwestycja nie tyle finansowa, co działanie w sferze symbolicznej. Ma przywrócić blask dawnej winnicy carów, a także kolejny raz pokazać Ukrainie i światu, że Rosja tworzy na Krymie fakty dokonane w sferze własnościowej.

Wioska koło Jałty

„Przekręt", „teatr absurdu", „pseudo-aukcja": tak transakcję określiło ukraińskie Ministerstwo ds. Reintegracji Tymczasowo Okupowanych Terytoriów. Zapowiedziano sankcje i apel w tej sprawie do państw zachodnich, a także szukanie sprawiedliwości przed sądami międzynarodowymi. Ukraińska prokuratura skierowała sprawę do krajowego sądu, wcześniej protestowało też ukraińskie MSZ.

Nie każda firma, którą w ten czy podobny sposób wywłaszczono na Krymie albo w niekontrolowanej przez Kijów części Donbasu, cieszy się tak pilną uwagą ukraińskich władz. Ale też Massandra to przedsiębiorstwo wyjątkowe.

Pierwsze krzaki winorośli w Massandrze – przysiółku w pobliżu Jałty – zasadził na początku XIX w. Michaił Woroncow, generał-gubernator Noworosji (jak nazywano wówczas ziemie obecne południowo-wschodniej Ukrainy, w wiekach XVII i XVIII odebrane przez Rosję Rzeczypospolitej i Turcji). Sadzonki Woroncow

przywiózł z Francji. Jednak na dobre winnicę rozsławił inny rosyjski arystokrata: książę Lew Golicyn. Ten historyk i prawnik, urodzony w ówczesnej guberni lubelskiej w 1845 r. (matka, Maria Ewa z Jezierskich, była polską szlachcianką), stał się ojcem krymskiego winiarstwa.

Sukces, który Golicyn odniósł na Krymie w produkcji szampanów, skłonił dwór w Petersburgu do powierzenia mu stanowiska głównego winiarza carskich Udzielnych Dóbr na Krymie i Kaukazie. Golicyn unowocześnił produkcję i podniósł jakość win – głównie słodkich i z dużą zawartością alkoholu, z białych odmian muscatu i czerwonego mourvèdre. Wkrótce zdobyły one medale na konkursach we Francji i uznanie rodzimych konsumentów.

Golicyn rozbudował też część gospodarczą o imponującą – i zachowaną do dziś – Główną Piwnicę, składającą się z siedmiu koncentrycznie rozchodzących się 150-metrowych tuneli, w których dojrzewa wino w beczkach, a także z dziewięciu korytarzy, umożliwiających leżakowanie w ścianach setek tysięcy butelek.

Sherry dla Putina

Pozwoliło to na zapoczątkowanie wówczas jednej z największych w Europie kolekcji – dziś obejmuje, wedle różnych źródeł, od pół miliona do miliona butelek – zarówno z własnych etykiet, jak i wybitnych roczników win europejskich. Było wśród nich sherry z 1775 r., z Jerez de la Frontera (słynącego z tego trunku miasta w Andaluzji), przywiezione jeszcze przez Woroncowa. Butelkę, wartą na rynku 43 tys. dolarów, Putin opróżnił w towarzystwie byłego premiera Włoch Silvia Berlusconiego podczas ich spotkania w Massandrze w 2015 r. Administracja zakładu spisała ją ze stanu po cenie 41 rubli (równowartość mniej więcej pół dolara).

Słynny zakład przetrwał rewolucję bolszewicką i dwie wojny światowe. Stalin czasowo ewakuował kolekcję przed Niemcami do Gruzji, a dzięki wstawiennictwu ukraińskich komunistów zakład wyszedł obronną ręką z kampanii antyalkoholowej Gorbaczowa, prowadzonej tuż przed upadkiem Związku Sowieckiego, gdy masowo wycinano krzewy winorośli w innych miejscach imperium. Na niepodległej Ukrainie nie został sprywatyzowany, uzyskał status dobra narodowego. I dalej produkował ok. 10 mln butelek

Pakowanie butelek w Massandrze, 2020 r.

rocznie, głównie wzmacnianych win deserowych. Był wśród nich m.in. ceniony Muskat Biały Czerwonego Kamienia.

Jednak choć Massandra posiada dziś 4 tys. hektarów nasadzeń i 7 tys. hektarów innych gruntów, a także nieruchomości i rozpoznawalną markę, to świeci głównie blaskiem odbitym od ponad stuletniej historii. Niedoinwestowane aktywa przez ostatnie dekady uległy dekapitalizacji. Andriej Grigoriew z moskiewskiej firmy konsultingowej Double Magnum wskazuje, że krzewy dawno nie były odnawiane, podobnie jak park maszynowy i technologia produkcji. Co więcej, trendy w światowym winiarstwie zmieniły się: odchodzi się od kalorycznych i mocnych win deserowych na rzecz wytrawnych i naturalnych. Bez kosztownej i czasochłonnej zmiany profilu trudna będzie konkurencja z porto, sherry, maderą czy marsalą. Ponadto dla objętej sankcjami produkcji dostępny jest tylko rynek rosyjski, który przed aneksją odpowiadał za dwie trzecie zbytu, a także azjatycki. Ten jednak, choć chłonny, jest skutecznie penetrowany przez producentów z Europy, obu Ameryk i pobliskiej Australii.

Golicyni XXI wieku

Massandra nie jest pierwszą inwestycją Jurija Kowalczuka w krymskie wina. W 2017 r. Jużnyj Proekt kupił inny historyczny zakład produkcji win, tym razem musujących: Nowy Świat. Można by powiedzieć, że oligarcha poszedł tropem księcia Golicyna: przejął prowadzone przez niego zakłady i stał się największym producentem wina w całej Rosji.

Kowalczuk nie jest przy tym jedynym przedstawicielem rosyjskiej elity, który rozwija winiarski biznes na Krymie. Futurystyczna siedziba winnicy Alma Valley, położona w przysiółku Wilino koło Bachczysaraju, ma należeć do jego kolegi, prezesa wielkiego banku VTB Andrieja Kostina. Na 370 hektarach produkuje się tu rocznie ponad milion butelek win cichych, głównie z klasycznych, europejskich szczepów winorośli.

Własną winnicę, wraz z Winnym Parkiem Rozrywki, planuje rozwijać Sberbank, właściciel luksusowego kompleksu Mriya Resort & Spa nieopodal Simeizu (kompleks zaprojektował, jeszcze przed aneksją, sir Norman Foster). Z kolei właścicielem Château Côtes de Saint Daniel ma być Wagit Alekpierow, prezes paliwowego giganta Łukoil. Na 20 hektarach we wsi Daniłowka, położonej obok Gurzufa, kontynuowana jest zapoczątkowana jeszcze przez Golicyna produkcja win wzmacnianych, przeznaczonych na rosyjski rynek. W 2016 r. firma wiązana z Alekpierowem – w wyniku pierwszej po aneksji publicznej aukcji ziemi, zorganizowanej przez władze okupacyjne – kupiła kolejnych 36 hektarów nasadzeń, należących ongiś do Massandry.

Hobby, symbol, biznes

Wygląda na to, że posiadanie własnej winnicy na Krymie stało się dla moskiewskiej elity kwestią mody i prestiżu. Prócz dużych projektów o znaczeniu propagandowym, jak Massandra czy Nowy Świat, rozwijają się też mniejsze. I tak, Dmitrij Kiseliow – czołowy propagandysta, szef państwowego holdingu medialnego Russia Today – od kilku lat buduje wokół swej rezydencji w Koktebel butikowy projekt Cock t'est Belle, wytwarzając z 10 hektarów ok. 4 tys. butelek wina musującego rocznie. W 2019 r., podczas zjazdu w pałacu w Massandrze, Kiseliow został wybrany na przewodniczącego rosyjskiego Związku Właścicieli Winnic i Producentów Wina.

Choć dla rosyjskich milionerów biznes winiarski jest bądź to hobby, mającym umocnić pozycję w elicie, bądź to poboczną działalnością ich firm i banków na rzecz odbudowy symboli imperialnej Rosji, nie oznacza to, że chcą oni do tej działalności dokładać. W tym celu, równolegle z rozwojem inwestycji winiarskich, lobbują na rzecz sprzyjających regulacji prawnych. Skutecznie: w 2019 r. wprowadzono ulgi i rekompensaty – z państwowej kasy – dla rodzimych producentów i podniesiono akcyzę na wina importowane (obecnie jedynie około połowy rosyjskiego wina produkuje się z rodzimych kiści). Weszła też w życie ustawa o winogrodnictwie i produkcji ↦

↦ wina, z rewolucyjnym zapisem o zakazie importu wina luzem (czyli butelkowanego już w Rosji).

Celem tych wszystkich działań jest nie tylko stworzenie własnego systemu apelacji [apelacja to ograniczony obszar, na którym uprawia się winorośl określonego rodzaju – red.], oznaczeń geograficznych i zwiększenie własnej produkcji, ale przede wszystkim wypchnięcie z rynku tanich win zagranicznych. Najprostszym zaś, a także najtańszym i najszybszym sposobem nieuchronnego – w świetle zapisów ustawy – poszerzenia areału gruntów i nasadzeń (obecnie ok. 100 tys. hektarów) są nie kosztowne i czasochłonne inwestycje w nowe krzewy, lecz przejęcie już istniejących. Także drogą „prywatyzacji państwowych gospodarstw winiarskich", jak Massandra i Nowy Świat.

Festung Krym

Miłe podniebieniu inwestycje w wino wkroczyły na Krym pod osłoną ciężkiego uzbrojenia. Faktycznym gospodarzem na półwyspie nie są marionetkowi bohaterzy „antyukraińskiego powstania" z lutego i marca 2014 r. – pozostawieni na eksponowanych stanowiskach w imię zachowania pozorów – lecz dowództwo Floty Czarnomorskiej Federacji Rosyjskiej.

Według danych ukraińskich, od aneksji liczba żołnierzy rosyjskich na Krymie wzrosła 2,5 razy (do 32 tys.), transporterów opancerzonych i myśliwców bojowych – 5 razy (odpowiednio: 410 i 100), a okrętów podwodnych z dwóch do siedmiu. Półwysep stał się twierdzą strzeżoną przez pociski balistyczne Iskander i systemy antyrakietowe S-400, o zasięgu wykraczającym poza Morze Czarne.

Militaryzację Krymu potępiła ostatnio kolejna już rezolucja Zgromadzenia Ogólnego ONZ. Jednak naiwnością byłoby oczekiwanie, że przeszkodzi to Rosji w dalszym przekształcaniu malowniczego półwyspu w wielką bazę wojskową.

© TADEUSZ IWAŃSKI

Autor jest kierownikiem działu Ukrainy, Białorusi i Mołdawii w Ośrodku Studiów Wschodnich im. Marka Karpia w Warszawie.

Gdzie trzech się bije

ŁUKASZ GRAJEWSKI Z LIPSKA

Niemiecka Unia Chrześcijańsko-Demokratyczna wybiera nowego przywódcę. Walka toczy się o schedę po Angeli Merkel i pozycję nieformalnego lidera Europy.

Gdy Friedrich Merz występuje w telewizji, łatwo rozpoznać jego blisko dwumetrową, szczupłą, przygarbioną sylwetkę. Z wyglądu przypomina nieco Nosferatu z klasycznego filmowego horroru sprzed 100 lat. Skojarzenie to przekłada się często na sposób, w jaki niemieckie media opisują tego 65-letniego polityka, który do organizacji młodzieżowej Unii Chrześcijańsko-Demokratycznej (CDU) zapisał się jeszcze jako gimnazjalista w 1972 r. W politycznym spektaklu, jakim są wybory przewodniczącego CDU, Merz często postrzegany jest jako szwarccharakter.

Friedrich Merz liczy, że w najbliższą niedzielę 17 stycznia ponad połowa ze 1001 delegatów na zjazd CDU odda na niego głos. Na pierwszoplanową rolę w swojej partii miał apetyt już 20 lat temu. Był wtedy wschodzącą gwiazdą, szefem frakcji chadeckiej w Bundestagu z perspektywą na dalsze awanse. Drogę do nich chciał sobie utorować zwłaszcza ideą reformy systemu podatkowego. Proponował, aby w wyjątkowo skostniałym systemie wprowadzić niższe stawki i zmienić sposób rozliczania się. Obliczenie podatku dochodowego miało być tak proste, że na wykonanie rachunku miała wystarczyć podkładka pod piwo. Ta prosta i pobudzająca wyobraźnię obietnica do dziś jest jego znakiem firmowym.

Zapowiedziany koniec epoki

Wówczas jednak los skonfrontował Merza z Angelą Merkel. Obecna kanclerz wcześniej bezwzględnie pogrzebała swojego mentora Helmuta Kohla. Równie bezpardonowo wygrała z potencjalnie groźnym dla niej Merzem, odbierając mu funkcję szefa frakcji. Po pierwszych latach rządów Merkel w Urzędzie Kanclerskim, nie widząc dla siebie miejsca, Merz wycofał się z czynnej polityki.

Wraz z dojściem Merkel do władzy, w 2005 r. zaczęła się cała era, która trwa już szesnasty rok. Ten okres skończy się definitywnie we wrześniu, gdy odbędą się wybory do Bundestagu. Już ponad dwa lata temu, w październiku 2018 r., pani kanclerz ogłosiła, że rezygnuje z funkcji przewodniczącej partii, i że w 2021 r. nie będzie ponownie ubiegać się o najważniejsze stanowisko w kraju.

Nie minął nawet dzień od konferencji prasowej, na której Merkel zapowiedziała swoje odejście na polityczną emeryturę, a z medialnego niebytu wyłonił się niespodziewanie Friedrich Merz i ogłosił swoje polityczne ambicje. *Comeback* po tak długiej przerwie do dziś napędza medialne spekulacje, na ile jego motywacje powiązane są z chęcią udowodnienia światu, że to jego rozwiązania są lepsze od propozycji Angeli Merkel.

– Merkel i Merz są jak pies i kot – uważa Robin Alexander, reporter berlińskiego dziennika „Die Welt". Alexander od ponad dekady śledzi polityczne życie stolicy. Mało kto jest lepiej zorientowany w zakulisowych intrygach partyjnych. – Dla Merza szefostwo w CDU to tylko niezbędny krok przybliżający go do celu. On chce zostać kanclerzem – twierdzi dziennikarz w rozmowie z „Tygodnikiem".

Anty-Merkel

Im bliżej do wyborów przewodniczącego CDU, tym bardziej Merz staje się ugodowy i ostrożny w słowach, żeby wyjść z tradycyjnego kostiumu „przeciwnika Merkel". Jednak jeszcze niedawno potrafił nazwać politykę migracyjną pani kanclerz „katastrofą", za co zdobywał punkty u co bardziej konserwatywnych członków CDU.

Swój polityczny *comeback* Merz musiał poprzedzić dokładnym sondowaniem nastrojów w tym ogromnym organizmie, jakim jest CDU – partia licząca 407 tys. członków (stan na grudzień 2019 r.). Najwyraźniej doszedł do wniosku, że nie wszyscy oni są gorącymi zwolennikami

OMER MESSINGER / GETTY IMAGES

Premier Bawarii Markus Söder po cichu liczy, że zostanie wspólnym kandydatem CDU/CSU na kanclerza. Berlin, 27 sierpnia 2020 r.

kursu Merkel, który często nazywany jest „socjaldemokratyzacją chadecji". Sposobem wciąż urzędującej pani kanclerz na rozwiązywanie wielu sporów i utrzymywanie partyjnego poparcia wśród wyborców stało się podbieranie pomysłów konkurencji politycznej, najczęściej Zielonym i Socjaldemokratycznej Partii Niemiec (SPD), która aktualnie jest w Wielkiej Koalicji z chadecją, zresztą już po raz kolejny.

Merz był i jest zdania, że partia musi dbać o programowe fundamenty i pokazać mocniejszy profil liberalno-konserwatywny: liberalny w polityce gospodarczej (bazujący na wsparciu dla przedsiębiorców i mniejszych podatkach), a konserwatywny choćby we wspomnianej już polityce migracyjnej.

Dziś Merz jest z pewnością bliżej wdrożenia swoich idei w życie niż kiedykolwiek wcześniej. Najpierw musi jednak pokonać dwóch rywali. Do wyścigu o najważniejsze stanowisko w CDU stanęli też bowiem Armin Laschet i Norbert Röttgen.

Tę trójkę wiele łączy. Każdy z trzech mężczyzn ma ponad 50 lat, wszyscy urodzili się w największym niemieckim kraju związkowym, w Nadrenii Północnej-Westfalii (NRW). Każdy jest żonaty i ma troje dzieci. Łączy ich też konfesja (są katolikami) i wykształcenie: ukończyli z powodzeniem prawo.

Chadecki Karol Wielki

Cała trójka zna się też doskonale. Zwłaszcza Laschet i Röttgen mają za sobą wiele wspólnych przygód i potyczek. Najpierw w 2010 r. Röttgen wygrał z Laschetem i został szefem CDU w Północnej Nadrenii-Westfalii. Ale tylko po to, aby dwa lata później, po nieudanych wyborach landowych, ustąpić miejsce rywalowi. Laschet umacniał się przez lata w regionalnych strukturach chadecji, aby w 2017 r. zostać premierem w Düsseldorfie, stolicy landu.

Doświadczenia 59-letniego Lascheta z Północnej Nadrenii-Westfalii – najludniejszego z landów: ma on 18 mln mieszkańców – to jego największy atut w wyścigu o władzę w całej partii. Gdyby land ogłosił niepodległość (to oczywiście tylko teoria), pod względem populacji znalazłby się w pierwszej dziesiątce krajów Unii: po Rumunii i przed Holandią, z którą graniczy. Nadrenia Północna-Westfalia to też bardzo kosmopolityczny region Niemiec, z metropoliami jak Dortmund, Düsseldorf i Kolonia. Obserwatorzy niemieckiej polityki są zgodni, że polityk, który sprawdził się w rządzeniu w tym landzie, ma kwalifikacje, aby zostać kanclerzem.

Właśnie w ten sposób kalkuluje Armin Laschet, który do ostatnich dni przed partyjnym zjazdem swoją kampanię ograniczył do zarządzania kryzysem epidemicznym w swoim landzie. Epidemia przykryła nieco zabiegi Lascheta, by uzyskać wizerunek lidera na miarę europejską. Służyć miała temu również jego biografia, wydana w 2020 r., której autorzy piszą, iż niektórzy członkowie rodziny Laschetów są przekonani, że ich familijne korzenie sięgają bezpośrednio Karola Wielkiego – średniowiecznego władcy imperium obejmującego obecne zachodnie Niemcy, Francję i państwa Beneluksu, w którym Niemcy często widzą prototyp Unii Europejskiej. W każdym razie Patrick Laschet, młodszy brat Armina, twierdzi, że zrekonstruował drzewo genealogiczne rodziny 40 pokoleń wstecz – choć sam na rzekome pokrewieństwo z cesarzem patrzy z przymrużeniem oka.

Armin Laschet należy do zwolenników kursu Merkel i uchodzi za polityka, który będzie zabiegał o utrzymanie *status quo*. Co nie musi działać na jego niekorzyść, bo Angela Merkel wciąż cieszy się wielkim poparciem rodaków i gdyby nie jej samodzielna decyzja o przejściu na emeryturę, we wrześniu 2021 r. wyborcy być może znów otworzyliby przed nią drzwi Urzędu Kanclerskiego.

– To bez wątpienia kandydat działaczy partyjnych – tak o Laschecie mówi Robin Alexander. I w bardziej normalnych i przewidywalnych warunkach ↦

↦ poparcie partyjnego establishmentu z pewnością wystarczyłoby Laschetowi, by wygrać. – Jeszcze kilka dni temu stawiałbym na jego wygraną – mówi Alexander „Tygodnikowi". – Ale teraz dzieje się coś bardzo dziwnego... – dodaje, wskazując na narastającą nerwowość w ekipach prowadzących kampanię Merza i Lascheta.

George Clooney z Meckenheim

Jednym z powodów tego zamętu jest trzeci kandydat.

Norbert Röttgen, urodzony w miasteczku Meckenheim pod Kolonią, podobnie jak Merz miał już raz nadzieję i szansę na najwyższe partyjne stanowiska. W jednym z rządów Angeli Merkel był ministrem środowiska. Jednak kampanię w landowych wyborach w Nadrenii Północnej-Westfalii w 2012 r. poprowadził tak fatalnie, że utracił zaufanie partyjnych dołów i popadł w konflikt z panią kanclerz, która pozbawiła go urzędu.

Röttgenowi pozostało wymyślić się na nowo. Postawił na sprawy zagraniczne, które znalazły się w centrum jego parlamentarnej działalności. Stał się częstym bywalcem programów telewizyjnych. Najmłodszy w gronie trzech kandydatów (ma 55 lat), o atrakcyjnej aparycji, jest często porównywany do hollywoodzkiego aktora George'a Clooneya.

W rywalizacji o przywództwo w CDU Röttgen ustawił się w roli outsidera, który chce zmodernizować partię. Mówi o odmłodzeniu partii i większym niż dotąd otwarciu jej na kobiety. Zresztą co do potrzeby odblokowania obu procesów, chyba mało kto w partii ma wątpliwości: przeciętny wiek członka CDU to 60 lat, a kobiety stanowią tylko jedną czwartą.

– Röttgen miał dotąd dużo szczęścia – ocenia Robin Alexander. Kilkukrotnie przekładany termin zjazdu (z powodu pandemii) zadziałał na korzyść trzeciego kandydata, który choć wciąż ma niewielkie szanse na końcowe zwycięstwo, to może w pierwszej rundzie zdobyć wiele głosów i sprawić, że przebieg drugiej tury będzie mniej przewidywalny.

Miało być inaczej

To, że przywództwo w CDU obejmie mężczyzna, jest dowodem, iż wbrew obiegowej opinii nie zawsze wszystko układa się zgodnie z planem Angeli Merkel. Planując polityczną emeryturę, miała bowiem wytypowaną następczynię: Annegret Kramp-Karrenbauer, która wtedy pełniła funkcję sekretarza generalnego CDU (potem objęła stanowisko ministra obrony, które pełni do dziś).

Friedrich Merz, Norbert Röttgen i Armin Laschet w centrali CDU, 14 grudnia 2020 r.

Jednak Kramp-Karrenbauer, której imię i nazwisko niemieckie media skracają do akronimu AKK, w grudniu 2018 r. tylko o włos wygrała z Merzem walkę o przewodnictwo w partii. To był zresztą początek jej problemów, gdyż zarządzanie CDU sprawiało jej coraz większe trudności. W lutym 2020 r., po zaledwie roku pełnienia swej funkcji, protegowana Merkel zapowiedziała rezygnację z szefowania partii oraz z ambicji kanclerskich.

Gdy AKK „rzucała ręcznik", w Niemczech odnotowywano właśnie pierwsze przypadki koronawirusa. Dziś kraj zmaga się z ogromną drugą falą epidemii i już trzeci miesiąc znajduje się w lockdownie. Mimo to w ostatnich dniach liczba umierających z powodu COVID-19 co i rusz przekraczała tysiąc osób dziennie (do 7 stycznia zmarło prawie 38 tys. Niemców).

Epidemia wpłynęła także na proces wyłonienia następcy Kramp-Karrenbauer. Nie tylko zresztą od strony technicznej – zjazd partyjny CDU może odbyć się teraz tylko online – ale także merytorycznej. W sytuacji, gdy Niemcy żyją przede wszystkim epidemią i uciążliwymi obostrzeniami, trójka kandydatów nie miała w ostatnich miesiącach większych szans na podkreślanie różnic programowych.

Zjazd w trybie online

Cyfrowy charakter obecnego zjazdu utrudni tradycyjne zabiegi o głosy. W 2018 r. na zjeździe w Hamburgu to właśnie udane wystąpienie Annegret Kramp-Karrenbauer i zbyt nerwowe Friedricha Merza miały przeważyć szalę na rzecz AKK, która finalnie zdobyła 517 z 1001 głosów.

Tym razem nie będzie takich zbiorowych emocji, okrzyków, braw czy buczenia, które mogłyby zadecydować o przesunięciu się poparcia. Każdy z kandydatów będzie siedzieć odosobniony w specjalnym pomieszczeniu, na terenie targów berlińskich, a na scenie wydarzenie prowadzić będzie niewielka grupa działaczy. Delegaci będą uczestniczyć w dwudniowym zjeździe ze swoich domów, przy pomocy komputerów. – Zwyczajowo wieczorem przed każdym zjazdem spotykały się wszystkie organizacje landowe CDU i wtedy dochodziło do najważniejszych ustaleń – tłumaczy Robin Alexander. – Teraz tego będzie brakować.

Nie będzie więc też powtórki z zakulisowej wolty z Hamburga, gdy wieczorem przed drugim decydującym dniem zjazdu AKK, wciąż niepewna o głosy, miała przy barze odnaleźć szefa młodzieżówki Paula Ziemiaka i zaproponować mu objęcie funkcji sekretarza generalnego. Ziemiak przyjął propozycję i zalecił swojej grupie przerzucenie głosów z Merza na jego rywalkę. W obecnym formacie politykom pozostanie obdzwanianie się i kontakt elektroniczny z przedstawicielami różnych partyjnych frakcji i środowisk.

Robin Alexander zwraca uwagę jeszcze na jeden fakt: – Delegaci z prawem głosu będą śledzić wydarzenia zjazdu na ekranie monitorów. Będą siedzieć na kana-

pie, a obok nich pewnie ich żony. I to one mogą współdecydować, mówiąc np. „Nie głosuj na Merza” – dziennikarz mówi tylko pół żartem. Bo w sondażach Merz nie cieszy się poparciem kobiet.

Ostatnia taka partia

W grudniu cała trójka wzięła udział w zorganizowanej przez partię półtoragodzinnej debacie. Ale jeśli ktoś liczył na wielkie emocje, musiał poczuć zawód. Kandydaci starali się nie atakować wzajemnie, często przyznawali sobie rację i unikali jasnych deklaracji.

Z ich wypowiedzi można jednak wywnioskować, jaką partią będzie CDU bez względu na to, kto wygra. Bowiem kandydaci zgodzili się, że głównym wyzwaniem jest utrzymanie formuły CDU jako *Volkspartei* – czyli partii masowej, która potrafi zagospodarować bardzo szeroko rozumiane centrum i przekonać do siebie ludzi o różnych poglądach: zarówno liberalnych, jak też konserwatywnych; zarówno przedsiębiorców, jak też robotników. Druga tradycyjna niemiecka *Volkspartei*, socjaldemokraci, od czasu kanclerza Gerharda Schrödera pogrążeni są w egzystencjalnym kryzysie. Również w Europie tradycyjne partie masowe, jak brytyjscy laburzyści i konserwatyści, przeżywają kryzys.

„Jesteśmy ostatnią *Volkspartei* w Europie” – mówił Merz w trakcie debaty. Aby także po odejściu Merkel CDU docierała do wyborczych mas, trzeba odebrać „zielone” tematy partii Zielonych: co do tego panuje zgoda wśród trójki kandydatów. Zmiany klimatyczne to temat numer jeden wśród najmłodszych niemieckich wyborców. W związku z tym w obecnej dekadzie CDU będzie musiała wykonać polityczny szpagat: musi jednocześnie obsługiwać swój tradycyjny elektorat (średnich i małych przedsiębiorców, a także koncerny), który często sceptycznie patrzy na rosnące tempo transformacji ekologicznej, uważając ją za przyczynę zbyt szybko rosnących kosztów.

Przyczajony tygrys z Bawarii

Wybranie nowego przywódcy CDU nie będzie oznaczać końca emocji w największym ugrupowaniu politycznym w Europie. Wybór szefa CDU nie został bowiem powiązany z wyborem kandydata na kanclerza w wyborach, które odbędą się 26 września. Robin Alexander uważa, że jeśli Merz albo Laschet wygrają zdecydowanie, to jest bardzo prawdopodobne, że zapewnią sobie także nominację na kandydata chadecji na kanclerza. Inaczej może być, jeśli rzecz rozstrzygnie się niewielką przewagą. – To byłby najlepszy scenariusz dla Markusa Södera – uważa Alexander.

Markus Söder nie należy do CDU, lecz do CSU – bawarskiej Unii Chrześcijańsko-Społecznej, która pozostaje w politycznej unii z CDU (tworząc także wspólną frakcję parlamentarną). Söder jest przewodniczącym CSU i premierem landu Bawaria. W noworocznym rankingu popularności polityków, sporządzonym przez magazyn „Der Spiegel”, to on stoi na podium z 60-procentowym poparciem – wyprzedzają go tylko prezydent Frank Walter Steinmeier i Merkel. Podobnie jak Laschet w Nadrenii Północnej-Westfalii, na pozór Söder koncentruje się na zwalczaniu epidemii w Bawarii. Faktycznie zostawia sobie otwartą furtkę, aby w dogodnym momencie zawalczyć o nominację na kandydata CDU/CSU na kanclerza (obie partie zawsze wystawiają wspólnego kandydata).

– Na Södera może orientować się sama Merkel – uważa Robin Alexander, który wskazuje, że pani kanclerz nie ma dziś dobrych relacji z żadnym z trójki walczącej o przywództwo w CDU. Symboliczne dla bliskiej współpracy premiera Bawarii i kanclerz Niemiec są konferencje prasowe, na których ogłaszane są restrykcje lub ich łagodzenie: od miesięcy obok Merkel zasiada właśnie Söder. Bawarczyk sprawia wrażenie, jakby już teraz czuł się dobrze nie tylko w obecnej, ale i przyszłej roli, którą po cichu dla siebie planuje.

Z Berlina do Europy

Merz, Laschet, Röttgen i Söder: wszyscy oni z wyuczoną skromnością przekonują, że w ich wyborach chodzi o dobro obywateli, partii i kraju. Ale nie można pominąć osobistej stawki, o jaką toczą grę. W ostatniej dekadzie Merkel stała się liderką Unii Europejskiej. Biorąc pod uwagę tylko ostatnie miesiące, to ona osobiście zażegnała kryzys, gdy Polska i Węgry groziły zablokowaniem unijnego budżetu. Również ona zadbała, by kraje Unii oddały proces zamawiania szczepionek Komisji Europejskiej.

Przejęcie pałeczki od Merkel to zatem także szansa na zapisanie się w światowej historii. I znamiennym jest, że po przewidywalnej erze Merkel przed niedzielnymi wyborami w CDU nic nie jest przesądzone. – Nikt nie wie, co się stanie. A przecież CDU to partia o konserwatywnych strukturach. Tu się zawsze wszystko planowało z wyprzedzeniem – mówi Robin Alexander. A wybory, których wynik nie jest przesądzony, to dopiero początek zmian, na które muszą przygotować się Niemcy i Europa. Nadchodzi epoka „po Merkel”. © ŁUKASZ GRAJEWSKI

BERND VON JUTRCZENKA / EPA / PAP

POŻEGNANIE

Jak łania pragnie wody ze strumieni,
tak dusza moja pragnie Ciebie, Boże!

Ps 42, 2

Ś.† P.

Teresa
z Podhorskich
Tadeuszowa Epszteinowa

15 X 1925 r. – 7 XII 2020 r.

Po długiej wędrówce odeszła do Pana

o czym zawiadamiają
córka i synowie z rodzinami

HISTORIA

WILEŃSKA KRWAWA NIEDZIELA

30 lat temu, 13 stycznia 1991 r., Michaił Gorbaczow podjął próbę zatrzymania Litwinów na ich drodze ku niepodległości.

ZBIGNIEW ROKITA

WOJTEK LASKI / EAST NEWS

Senna sowiecka prowincja: tak można by określić nastroje, które panowały na Litwie z chwilą, gdy w drugiej połowie lat 80. XX w. w Związku Sowieckim zaczynała się pieriestrojka. U progu rządów Michaiła Gorbaczowa – człowieka, który chciał uratować Związek Sowiecki, a koniec końców przyczynił się do jego upadku – trudno było sobie wyobrazić, że wkrótce to Litwa jako pierwsza republika sowiecka ogłosi niepodległość. Oraz jaką cenę za to zapłaci.

Andres Kasekamp, dyrektor Estońskiego Instytutu Polityki Zagranicznej, napisze potem, że „współpracę bałtycką w owym czasie można porównać do drużynowego wyścigu kolarskiego, w którym jeden z cyklistów (jeden naród) ciężko pracuje przez kilka okrążeń, a pozostali jadą tuż za nim". Najgwałtowniejsze zmiany w regionie zachodziły bowiem początkowo na Łotwie (w latach 1986-87), następnie do jesieni 1989 r. palmę pierwszeństwa przejęli Estończycy, a dopiero w końcowej fazie – Litwini.

Bałtowie zostali obywatelami Związku Sowieckiego o jedno pokolenie później niż inni, w trakcie II wojny światowej – w efekcie paktu Hitler–Stalin (podobnie jak mieszkańcy zachodniej części obecnej Białorusi i Ukrainy czy Mołdawii). Gdy Gorbaczow dochodził do władzy, część Bałtów pamiętała wciąż życie we własnych międzywojennych państwach, co niedługo miało pomóc im w sformułowaniu jasnego celu: odzyskania niepodległości (wiele z tytularnych narodów piętnastu krajów, które powstaną później na gruzach Sowietów, nie miało tradycji własnych państw i dążenie do samodzielności nie wszędzie było powszechnie podzielane).

Krok po kroku

Latem 1988 r. ktoś podróżujący po Litwie mógł już dojrzeć nawet „nieuzbrojonym okiem" (jak mawiają Rosjanie), że coś się święci.

23 sierpnia w centrum Wilna zbierają się ludzie. Rok wcześniej tego dnia pod pomnikiem Adama Mickiewicza (dla Litwinów Adomasa Mickevičiusa) manifestowało kilkaset osób, milicja ich rozgoniła. Teraz pod wileńską katedrą zjawia się ćwierć miliona ludzi. Powiewają żółto-zielono-czerwone flagi narodowe, wciąż zakazane (gdy będę tam ćwierć wieku później, w dzień niepodległości, zobaczę, jak na prowadzącej do katedry alei Giedymina kolejność sygnalizatorów świetlnych jest zmieniona tak, by światła układały się w litewską flagę).

Dzień jest nieprzypadkowy: to 49. rocznica paktu niemiecko-sowieckiego z 1939 r. Władze na Kremlu wciąż twierdzą, że Bałtowie przyłączyli się do Kraju Rad dobrowolnie. Dla stojących przed katedrą manifestacja ku pamięci ofiar paktu jest także protestem wobec moskiewskiej dominacji.

Zmienia się dużo i szybko. Wkrótce władze litewskiej republiki przyjmują nową narodową symbolikę, ustanawiają litewski językiem państwowym. Poparcie dla zmian jest masowe: z 3,7 mln mieszkańców Litwy niemal co drugi podpisuje się pod petycją w sprawie większej samodzielności republik. Wracają stare nazwy ulic: Lenina zmienia się w Giedymina, a Gorkiego w Zamkową i Wielką. Estonia jako pierwsza z republik (drugą i trzecią będą Litwa i Łotwa) ogłasza deklarację suwerenności: wyższość prawa własnego nad związkowym. To pośredni krok ku

Manifestacja w litewskiej stolicy po interwencji armii sowieckiej i masakrze pod wieżą telewizyjną. Wilno, styczeń 1991 r.

niepodległości. Czuć, że można już więcej, choć być może ci ostrożniejsi opowiadają sobie stary dowcip z czasów Chruszczowa: „Wszyscy jesteśmy liberałami, a kto nie jest liberałem – ten do więzienia".

23 sierpnia 1989 r., w 50. rocznicę paktu Hitler–Stalin, Bałtowie formują żywy łańcuch: blisko 2 mln ludzi (w tym najwięcej Litwinów: milion) chwytają się za ręce i jednocześnie je podnoszą. Ten „bałtycki łańcuch", ciągnący się 650 km od Wilna do Tallinna, to kolejny protest przeciw hegemonii Kremla („łańcuch" zostanie wpisany na listę dziedzictwa UNESCO).

Rok 1989 to czas gwałtownych zmian w Europie Środkowej. Również to ośmiela Bałtów.

Akt Przywrócenia

Gorbaczow przybywa do Wilna na początku 1990 r. Być może dostrzega w tłumie transparent: „Lenin dał nam niepodległość, Stalin odebrał, a Gorbaczow – ?". Gensek zamierza przekonać Litwinów do opamiętania się.

Ale jest za późno. Niebawem wybory do republikańskiego parlamentu – pierwsze wolne od 1936 r. (i pierwsze relatywnie wolne w historii Sowietów) – wygrywają zwolennicy niepodległości (podobnie będzie na Łotwie i w Estonii). Przewodniczącym Rady Najwyższej zostaje Vytautas Landsbergis, wykładowca w klasie fortepianu (jego wnuk Gabrielius jest dziś liderem partii rządzącej Litwą i szefem MSZ).

13 marca 1990 r. o godzinie 22.44 litewska Rada Najwyższa absolutną większością głosów (nikt nie był przeciw, wstrzymało się jedynie sześciu posłów mniejszości polskiej; dlaczego oni – to osobna historia) uchwala Akt Przywrócenia Państwa Litewskiego. Przywrócenia, bo Litwini uznają czasy sowieckie za okupację, a współczesną Litwę za kontynuatorkę kraju powstałego po I wojnie światowej. W ten sposób Litwini jako pierwsi w Związku Sowieckim ogłaszają niepodległość. Świat o Litwie nigdy nie mówił i już nie będzie mówił tyle, co wtedy.

Ale niepodległościową formę trzeba wypełnić treścią; wypisanie na samolotach „Lietuvos Avialinijos" to za mało. Formalnie Litwa wciąż jest częścią Związku Sowieckiego, a Moskwa nie daje za wygraną. Wprowadza blokadę gospodarczą, wstrzymuje dostawy paliw. W sklepach brakuje towarów, padają pierwsze fabryki. W Wilnie wciąż działa sowiecka bezpieka KGB. Moskwa grozi też oderwaniem od Litwy Kraju Kłajpedzkiego i Wileńszczyzny (a nawet utworzeniem na tej ostatniej parapaństwa na wzór późniejszego Naddniestrza).

Tak nadchodzi styczeń roku 1991. ↦

Konfrontacja

↦ Wśród sygnatariuszy Aktu Przywrócenia jest Polak Czesław Okińczyc: wówczas poseł i działacz Sąjūdisu (litewskiego ruchu narodowego), a dziś prawnik i prezes polskojęzycznej rozgłośni Znad Wilii.

– Czekałem akurat na samolot z Warszawy do Londynu, udawałem się na spotkania do brytyjskiego parlamentu, gdy dowiedziałem się od profesora Landsbergisa, że Litwa została zaatakowana przez Sowietów. Powiedział mi, że wojska koncentrują się wokół Wilna, że prawdopodobnie zaatakują parlament, będą próbowały przejąć radio i telewizję – opowiada mi dziś Okińczyc. – W Wilnie zostali moi bliscy, dlatego chciałem czym prędzej wracać, ale profesor polecił mi zostać w Warszawie. Perspektywa upadku litewskiej niepodległości wydawała się w połowie stycznia 1991 r. bardzo realna. Gdyby tak się stało, miałbym pomóc w organizowaniu rządu na uchodźstwie.

Kilka miesięcy wcześniej Gorbaczow otrzymał Pokojową Nagrodę Nobla za „działania mające na celu zakończenie zimnej wojny". Nie przeszkadza mu to wysłać czołgi przeciw bezbronnym Litwinom. Światowa koniunktura nie sprzyja Litwie. Zachód jest zajęty wojną w Zatoce Perskiej (w połowie stycznia ruszy operacja „Pustynna Burza"), nie chce też osłabiać Gorbaczowa. W Moskwie w siłę rosną zwolennicy ratowania imperium radykalnymi metodami, wojska sowieckie wciąż stacjonują w Europie Środkowej, koniec zimnej wojny nie jest jeszcze przesądzony – podobnie jak litewska niezależność.

Gorbaczow ostrzega, że jeśli Litwini nie odwołają deklaracji niepodległości, on użyje siły. Wówczas Landsbergis daje ministrowi spraw zagranicznych Algirdasowi Saudargasowi pełnomocnictwo do utworzenia rządu na uchodźstwie. Ten wyrusza do Warszawy. – Czekałem na przyjazd Saudargasa. Gdy przybył, spotkaliśmy się z najwyższymi polskimi władzami i z amerykańskimi dyplomatami. Zdecydowaliśmy, że Saudargas pojedzie na Zachód informować o sprawie litewskiej, a ja miałem reprezentować Litwę w Polsce, Czechosłowacji i na Węgrzech – wspomina Okińczyc.

Wówczas to Okińczyc wystąpi w polskim Senacie jako pierwszy obcokrajowiec w historii izby. Powie: „Przyjechałem z Wilna, by prosić was o ratowanie litewskiej wolności. Ja, Polak i obywatel Litwy niepodległej".

VIRGILIJUS USINAVICIUS / AFP / EAST NEWS

Litwini próbują powstrzymać sowiecki czołg przed zmiażdżeniem demonstranta podczas ataku na wieżę telewizyjną. Wilno, 13 stycznia 1991 r.

– Napływało wiele informacji o ruchach sowieckich wojsk. Nawet o tym, o której godzinie zostanie zaatakowany parlament czy telewizja – wspomina dzisiaj.

Szturm na wieżę

W Wilnie jest wtedy Rimvydas Valatka: wówczas 34-letni poseł, dziś znany dziennikarz. Dzisiaj w rozmowie wspomina noc z 12 na 13 stycznia 1991 r. – Wtedy myśleliśmy tak: zrobiliśmy swoje, proklamowaliśmy niepodległość, a teraz co? Przyjdą Rosjanie i może wsadzą nas do więzień, może wywiozą na Sybir, a może rozstrzelają – mówi mi Valatka.

12 stycznia to sobota. Wcześniej tego dnia żołnierze sowieccy szturmowali kilka państwowych budynków, ale Valatce wydawało się, że tego dnia nic więcej już się nie wydarzy. Był wieczór, gdy wyszedł z parlamentu i spotkał innego posła, dawnego komunistycznego sekretarza. – On mówi do mnie: „W domu mam dobre whisky. Chodź, wypijemy, żeby w razie czego nie wpadło w łapy Rosjan". Poszliśmy, on mieszkał 300, może 400 metrów od budynku telewizji – wspomina Valatka. – Wypiliśmy whisky i nagle pod oknami zaczął się szturm. Szybko zbiegliśmy na dół, byłem tam od początku.

Chwilę wcześniej pod wieżą telewizyjną zjawiły się sowieckie czołgi, transportery opancerzone i komandosi. Naprzeciw nich stanęli obrońcy: setki zwykłych Litwinów, którzy od paru godzin gromadzili się wokół wieży i innych kluczowych obiektów.

Dochodzi druga w nocy, już w niedzielę, gdy Sowieci zaczynają szturm na wieżę. Najpierw ślepa amunicja i bicie kolbami. Potem amunicja ostra i prące do przodu czołgi.

Algirdas Sukys, świadek wydarzeń, będzie wspominać: „W pewnym miejscu czołgom i żołnierzom udało się przełamać nasz krąg. (...) Kobiety i dzieci zaczęły uciekać od toczących się wprost na nich tanków. Wyniknął ścisk i przepychanka, niektórzy ludzie biegnąc potykali się i padali. Byli tacy, którzy próbowali stawać na drodze czołgom (...). Nagle z lewa, tuż obok mnie, usłyszałem krzyk. Odwróciwszy głowę, zobaczyłem leżącą dziewczynę. Jej nogi znajdowały się pod gąsienicami czołgu".

W następnych dniach światowe agencje obiegnie zdjęcie z Wilna: widać na nim fragment czołgu i grupkę zdesperowanych ludzi, którzy zapierają się rękami – tak, jakby siłą swoich mięśni chcieli odsunąć kilkudziesięciotonowego kolosa znad człowieka, który pod nim leży.

Ginie 14 Litwinów, kilkuset odnosi rany.

– Pobiegłem do parlamentu. Tej nocy czułem złość: to my byliśmy władzą, ale nie mogliśmy nic zrobić. Bezsilnie patrzyliśmy, jak zabijają naszych obywateli – mówi Valatka.

Noc w parlamencie

Tamtej nocy w Wilnie panuje chaos. Nikt nie wie, co stanie się za chwilę, ale wielu przypuszcza, że w następnej kolejności żołnierze sowieccy zaatakują parlament. Jego budynek zamienia się więc w twierdzę. Ludzie budują barykady z wszystkiego, co jest pod ręką. Wokół parlamentu gromadzi się też ogromny tłum: Valatka mówi o 100 tys. Litwinów, którzy przyszli bronić symbolu swojej niepodległości.

Rimvydas Valatka wspomina: – W parlamencie rozdawali nam maski przeciwgazowe. Jedni deputowani wpadali w panikę, inni się kłócili, inni szli spać, jeszcze inni zażarcie dyskutowali. Nagle w sali plenarnej poczuliśmy zapach benzyny. Ktoś wytłumaczył nam, że pod salą są toalety, a w toaletach i na korytarzach przygotowywano „koktajle Mołotowa" [bu-

telki z benzyną do walki z czołgami; nazwa wywodzi się prawdopodobnie z czasów wojny fińsko-sowieckiej 1939-40 r. – red.].

Landsbergis całą noc bezskutecznie próbuje dodzwonić się do Gorbaczowa. W tym czasie posłowie Rady Najwyższej zjeżdżają do Wilna. Potrzebne jest kworum. Także po to, aby wybrać nowy rząd, gdyż premier Albertas Šimėnas gdzieś przepadł. – Sam zacząłem wówczas tworzyć teorie spiskowe: jak to możliwe, że premier zniknął? Nie mogliśmy jednak nie mieć rządu, więc gdy zebrało się kworum, wybraliśmy nowego premiera i ministrów – wspomina Valatka.

Co stało się z poprzednim premierem? Valatka: – Przyszedł nazajutrz rano. Okazało się, że poprzedniego dnia wystraszył się i uciekł do Druskiennik, do znajomego proboszcza.

Rimvydas Valatka twierdzi, że gdyby nie tamto pospolite ruszenie Litwinów, historia mogłaby potoczyć się inaczej i nie przeprowadzałbym z nim dziś tego wywiadu.

Ostatnie miesiące imperium

Gorbaczow nie poszedł wtedy za ciosem, wykazał brak zdecydowania (cechujący wiele jego ówczesnych decyzji). Wprawdzie tydzień później sowiecki OMON zaatakuje budynek łotewskiego MSW, tam też zginą ludzie. Ale generalna rozprawa siłowa z Bałtami nie następuje. W kolejnych miesiącach na ulicach Wilna, Rygi czy Tallinna trwa rodzaj dwuwładzy.

Świat, w tym Polska, długo nie uznaje litewskiej niepodległości. Pierwsza czyni to Islandia: miesiąc po bitwie o wieżę telewizyjną, 11 lutego 1991 r. (dlatego dziś w centrum Wilna jest ulica Islandijos). Na uznanie przez inne kraje Litwini muszą poczekać.

– Nie mogliśmy przejąć inicjatywy, trwała litewsko-sowiecka wojna pozycyjna, a w ciągu następnych ośmiu miesięcy zaczął upadać duch narodu – wspomina Rimvydas Valatka. – Gdy w marcu 1990 r. proklamowaliśmy niepodległość, ludzie wpadli w euforię. Myśleli, że niebawem zaczniemy żyć jak w Europie. Tymczasem minęły miesiące, minął rok, zaczął się drugi, a było coraz gorzej. Ekonomicznie mieliśmy te problemy, co Polacy przed Okrągłym Stołem, czyli pustki w sklepach, kartki. Gdy zaczął się pucz Janajewa, to ile osób przyszło bronić parlamentu? Pięćset? Dwa tysiące? Można było odnieść wrażenie, że wszystkim jest już *wsjo rawno*...

Pucz Janajewa: tak określa się ostatnią już próbę zatrzymania rozpadu Związku Sowieckiego, którą 19 sierpnia 1991 r. podejmuje grupa funkcjonariuszy partyjnych skupionych wokół Giennadija Janajewa, wiceprezydenta Związku Sowieckiego. Choć początkowo udaje im się aresztować Gorbaczowa, po trzech dniach pucz upada. Gorbaczow wraca, ale tylko po to, aby stwierdzić, że ośrodkiem władzy w Moskwie stał się Borys Jelcyn: prezydent Rosji (rosyjskiej republiki, formalnie wciąż w składzie Związku Sowieckiego), który osobiście wystąpił przeciw puczystom. Imperium jest na równi pochyłej: jeszcze pod koniec sierpnia kolejne republiki przyjmują deklaracje niepodległości.

A Litwa triumfuje. Na fali wywołanej puczem Janajewa, 2 września USA uznają jej niepodległość. Prezydent Bush ostrzega, że użycie siły przeciw Litwie spotka się z reakcją Stanów. Ale w Moskwie nikt już chyba o tym nie myśli: 6 września władze (jeszcze) sowieckie uznają litewską niepodległość. Niespełna trzy miesiące później prezydenci Rosji i Ukrainy oraz przewodniczący rady Najwyższej Białorusi podpiszą porozumienie o utworzeniu Wspólnoty Niepodległych Państw, oznaczające likwidację Związku Sowieckiego (państwa bałtyckie nie przystąpią już do WNP).

Andres Kasekamp napisze: „Choć zdobycie niepodległości przez kraje bałtyckie wiąże się zwykle z upadkiem ZSRS, bliższa prawdy jest wersja przeciwna. [To] Ruchy ludowe w republikach bałtyckich zwiększyły tempo demokratyzacji w łonie ZSRS i podważyły fundamenty sowieckiego imperium”.

© ZBIGNIEW ROKITA

Autor jest reporterem i współpracownikiem „TP”. Niedawno ukazała się jego książka „Kajś. Opowieść o Górnym Śląsku”.

Korzystałem m.in. z: Andres Kasekamp „Historia państw bałtyckich”; Witold Bereś „Okińczyc. Wileński autorytet”.

OGŁOSZENIA

Przed Sądem Rejonowym w Kozienicach pod sygn. akt I Ns 121/20 toczy się postępowanie wszczęte na wniosek Gminy Grabów nad Pilicą o stwierdzenie, że Skarb Państwa nabył przez zasiedzenie własność nieruchomości zajętej aktualnie pod publiczną drogę gminną, oznaczonej w ewidencji gruntów jako działki: Nr 295 położonej w obrębie geodezyjnym Wyborów, gmina Grabów nad Pilicą, powiat kozienicki; Nr 326/2 położonej w obrębie geodezyjnym Małęczyn, gmina Grabów nad Pilicą, powiat kozienicki; Nr 326 położonej w obrębie geodezyjnym Małęczyn, gmina Grabów nad Pilicą, powiat kozienicki i Nr 451 położonej w obrębie geodezyjnym Grabów nad Pilicą, gmina Grabów nad Pilicą, powiat kozienicki.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, a w szczególności właścicieli nieruchomości albo ich następców prawnych, aby w terminie trzech miesięcy od ukazania się ogłoszenia zgłosili się i wykazali swoje prawa do nieruchomości. Jeżeli w zakreślonym terminie nikt się nie zgłosi lub zgłosiwszy się własności nie wykaże, Sąd uwzględni wniosek, o ile zostanie on udowodniony.

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie, Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6 toczy się pod sygnaturą I Ns 86/20 postępowanie z wniosku Zenona Kuczkowiaka o stwierdzenie nabycia spadku po:
– Stanisławie Książyku, zmarłym 11.09.1990 r., ostatnio zamieszkałym w Gdyni,
– Szczepanie Stanisławiaku, zmarłym 22.09.1965 r., ostatnio zamieszkałym w Górze, gmina Jaraczewo,
– Stanisławie Szymkowiaku, zmarłym 07.09.1975 r., ostatnio zamieszkałemu w Jarocinie.
W skład spadku po zmarłych wchodzą ich udziały w prawie własności nieruchomości rolnej stanowiącej wkład gruntowy w Rolniczej Spółdzielni Produkcyjnej w Roszkowie.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłych, by w terminie trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

ANDRZEJ

Stasiuk:
Trzask kraty

Są takie chwile, że felietonista ma pustkę w głowie. Wszystko zostało powiedziane i napisane. Świat przypomina puste wiadro. Nic z niego nie zaczerpniesz. Kultura, cywilizacja, społeczeństwo, polityka – leżą suche jak wiór i nadają się co najwyżej na podpałkę w piecu. Żadnych ożywczych soków, żadnych odurzających destylatów, o podniecających truciznach nawet nie wspominając. To są czarne dni w życiu felietonisty. Jedynie Krzysztof Varga potrafi wybrnąć z takiego impasu, ponieważ dla niego wszechświatowa rzeczywistość jest wielkim tekstem błagającym o kontrtekst, jest narracją skamlącą o komentarz. No ale Varga jest jeden.

A ja siedzę i patrzę na świat jak cielę na malowane wrota i nic nie przychodzi mi do głowy. Napisz o tym, o tamtym, o tamtej. Napisz o sobie. O sobie już nie mogę, odpowiadam. O innych kompletnie mi się nie chce. O Kościele napisz, o biskupach, o rządzie. Takie rzeczy chcą ludzie teraz czytać. Pisałem, ale nie jestem pewien, czy nakład „Tygodnika Powszechnego" od tego właśnie jakoś specjalnie się podniósł. To nie pisz dla „Tygodnika", pisz dla siebie. Dobra, dobra: szuflady i otchłanie komputerów przeróżnych redakcji pełne są tych wszystkich pisań „dla siebie". To o przyrodzie, o naturze napisz. Jak nie miałeś pomysłu, to zawsze natura wyciągała pomocną dłoń. Bardzo naturę szanuję, ale chwilowo nie mogę na nią patrzeć, ponieważ od miesięcy niczego nie oglądam. Trudno ci dogodzić. Wiem. To napisz do cholery o tym, o czym wszyscy piszą.

Dobrze, kiwnąłem głową na znak rezygnacji. Pragnienie oryginalności często wiedzie na manowce milczenia. Albo ludzie po prostu przestają cię czytać, bo się nudzą.

Ok. Ta cała epidemia przypomina jednak więzienie. Wiem, o czym mówię, bo kiedyś siedziałem. Ta sama wędrówka od ściany do ściany i to samo poczucie, że ile byś kroków nie zrobił, to i tak się nie ruszysz z miejsca. Drepczesz i wspominasz. Rozpamiętujesz, jak kiedyś było fajnie na wolności. Jakie jedzenie, słońce, dziewczyny, obłoki i że nie trzeba było codziennie wstawać o szóstej i zakładać tych samych ubrań. Albo wyobrażasz sobie, jak będzie, gdy to wszystko minie, skończy się wyrok i wyjdziesz. Znowu do tych obłoków i dziewczyn. Jednym słowem, absolutna nicość teraźniejszości. Teraźniejszość jako „nieżycie". Albo życie, które trzeba jak najprędzej przeżyć i zapomnieć. Prawda, że dziwne uczucie, gdy pragniemy, żeby życie biegło szybciej?

Tylko, że w więzieniu było lepiej. Po pierwsze, regulamin się tak często nie zmieniał. To znaczy, nie zmieniał się nigdy. Acha, tylko raz, w stanie wojennym, poprosili nas o podpisanie kwitu, że nie będziemy mieli pretensji, jeśli nas zastrzelą bez ostrzeżenia, gdy zrobimy coś nie po ich myśli. Najstarsi więźniowie czegoś takiego nie pamiętali i bardzo nas to zaciekawiło. Potem chyba to odwołali, ale już bez podpisywania. Zdezorientowanych pragnę uspokoić, że nie byłem więźniem politycznym, tylko zwyczajnym. Tak więc teraz jest jednak gorzej, bo regulaminy zmieniają się jak światła na skrzyżowaniu i na dodatek nikt nikogo nie prosi o podpis. No i ten utęskniony czas przyszły jest czasem bliżej nieokreślonym. A tam, w więzieniu, działy się różne niesprawiedliwości, ale koniec wyroku jednak był honorowany.

Skończyłem niedawno 60 lat i mogę z czystym sumieniem wspominać. Tak przynajmniej mi się wydaje. Że mogę snuć coś w rodzaju memuarów starego pierdoły. To jednak nieco pomaga na współczesność, na czas teraźniejszy. Wspomnienia niewoli pomagają znosić ciężar innego zniewolenia. Dziwne i ciekawe czasy nadeszły. Świat stał się czymś w rodzaju celi. Jej rozmiar się nie zmienił, wszystko jest niby takie, jak było, ale bardzo chcemy ją opuścić. Ale nawet jeżeli to się stanie, poczucie wolności, którego niegdyś doświadczaliśmy patrząc, powiedzmy, na horyzont albo mapę, już nigdy nie powróci. Już zawsze będziemy podświadomie nasłuchiwać dźwięku kraty zatrzaskiwanej za naszymi plecami.

Albo i nie, bo jako gatunek, czy też ludzkość, mamy pamięć jak owca, która po piętnastu sekundach zapomina o tym, co ją spotkało, i zaczyna życie od nowa. W jakimś sensie jest to dla nas pocieszające. Czego i Państwu noworocznie życzę. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY
Podkast Powszechny

Zapraszamy do słuchania autorskich cyklów podkastów „Tygodnika Powszechnego"

Własny pokój
Rozmowy Katarzyny Kubisiowskiej o kobiecej niezależności

#DOM
czyli rozmowy Krzysztofa Storego o małej ojczyźnie

Punkt zwrotny
Katarzyna Kubisiowska i jej goście

Sztuka powszechnie nieznana
Magdaleny Łanuszki, która odkrywa dla nas na nowo średniowieczne dzieła

Miesiąc w nauce
z autorskim przeglądem newsów naukowych Łukasza Lamży

Opowieści z Izraela
korespondencje Karoliny Przewrockiej-Aderet

Więcej na **powszech.net/podkast**

SALESmanago marketing automation

weź, słuchaj!

GRAŻYNA MAKARA

Przyjaciel z Berlina

KS. ADAM BONIECKI,
WOJCIECH PIĘCIAK

Był z nami przez ponad 20 lat, jako korespondent z Niemiec, a potem także jako członek redakcji. W Wigilię odszedł Joachim Trenkner.

Gdyby szukać jego doświadczeń pokoleniowych – wydarzeń, które kształtowały go w młodości i miały wpływ na późniejsze poglądy i działania – pierwszymi byłyby rządy narodowych socjalistów i II wojna światowa (choć on, rocznik 1935, oglądał je oczami dziecka). Drugim zaś – czerwiec 1953 r., gdy w rządzonych od niedawna przez komunistów Niemczech Wschodnich wybuchł bunt. Zanim stłumiła go Armia Czerwona, protestowano w kilkuset miejscowościach. On, 17-latek, brał w tym udział – w swoim miasteczku w Turyngii.

Można powiedzieć, że ta pozyskana osobiście wiedza o obu XX-wiecznych totalitaryzmach wpłynęła na jego życie, także jako dziennikarza. A został nim w USA, dokąd wyjechał po tym, jak uciekł z NRD (przez Berlin Zachodni; w 1961 r. zdążył jeszcze zobaczyć budowę słynnego muru). W Stanach zaczynał w piśmie „Aufbau" (założonym przez żydowsko-niemieckich emigrantów) i „Newsweeku". Po latach wspominał: „Tam po raz pierwszy spotkałem ludzi z innych krajów Europy Wschodniej, z niektórymi połączyła mnie przyjaźń. To byli Polacy, polscy Żydzi, którzy przeżyli Holokaust (...). Oni obudzili moje zainteresowanie wschodnią częścią Europy, zwłaszcza Polską. Oczywiście, gdyby wtedy, w latach 60. XX wieku, ktoś powiedział mi, że już dekadę później będę jeździć wzdłuż i wszerz po Europie Wschodniej jako reporter zachodniej telewizji, albo że pod koniec mojej dziennikarskiej kariery będę pisać dla polskiej gazety, pewnie uznałbym go za szalonego".

A jeździł sporo. Po powrocie z USA do Berlina Zachodniego trafił bowiem do redakcji magazynu „Kontraste" (utworzonego w 1968 r. przez Sender Freies Berlin), którego misją było informować o Europie Wschodniej. W drugiej połowie lat 80. ludziom ze środowiska „Kontraste" udało się stworzyć w NRD konspiracyjną siatkę współpracowników, którzy potajemnie nagrywali filmy wideo na newralgiczne tematy, a potem przerzucali taśmy na Zachód, gdzie emitowała je zachodnia telewizja (także z tej racji Joachim był inwigilowany przez enerdowską bezpiekę Stasi). W 1989 r. to właśnie wykonane przez ich siatkę nagranie wielkiej demonstracji w Lipsku (mieście, gdzie zaczęła się w NRD rewolucja), emitowane w zachodniej TV (oglądanej także w NRD), zadziałało jak iskra: chwilę potem demonstrowano już w całym kraju. Taki był osobisty wkład Joachima w obalenie komunizmu, jego cegiełka wyrwana z muru.

W „Tygodniku" pierwszy jego tekst ukazał się w 1997 r. Potem kolejne: w sumie w ciągu tych dwóch dekad kilkaset artykułów. Ale dla nas śmierć Joachima to nie tylko odejście ważnego dziennikarza, członka redakcji. To także odejście przyjaciela, z którym przeszliśmy szmat czasu. Jego artykuły były wzorem dobrej roboty dziennikarskiej, a także zasypywaniem przepaści dzielącej Polaków i Niemców. Mało kto dziś pamięta, że w dużej mierze to zasługą Joachima było wprowadzenie do świadomości publicznej w Polsce i Niemczech faktu, iż pierwszą niemiecką zbrodnią podczas II wojny był nalot na Wieluń rankiem 1 września 1939 r.: Joachim zrobił o tym reportaż w niemieckiej telewizji i pisał w „Tygodniku" (tekst „Wieluń, czwarta czterdzieści" ukazał się w 1999 r.) oraz w niemieckim „Die Zeit" (2003).

Z czasem relacja Joachima z „Tygodnikiem" stała się więc czymś więcej niż profesjonalną współpracą dziennikarza z redakcją. W książce „Niemieckie lustro" – wywiadzie rzece przeprowadzonej z nim w 2011 r. przez Paulinę Gulińską-Jurgiel (to fascynująca opowieść autobiograficzna; prócz niej w Polsce ukazała się jego książka „Naród z przeszłością", zbiór jego tekstów z „TP") – na pytanie, czy czuje się członkiem „Tygodnikowej" rodziny, w pierwszym odruchu odparł: „Rodzina to rodzina, a praca to praca". Ale zaraz dodał: „Chociaż... kiedy tak zastanawiam się nad pojęciem »rodzina«, którego Pani użyła, myślę, że być może ma Pani rację. Może redakcja »Tygodnika Powszechnego« jest rodzajem rodziny. A jeśli tak jest to tak, jestem członkiem tej rodziny – także jako Niemiec".

Książkę „Niemieckie lustro" (tytuł był powtórzeniem jego pierwszego tekstu w „Tygodniku") otwiera prolog: wypełniona przez niego słynna ankieta, którą sporządził kiedyś francuski pisarz Marcel Proust. Oto kilka próbek pytań i odpowiedzi Joachima na pytania z tej ankiety. „Co jest dla Pana największym nieszczęściem? Żyć w niewoli". „Jakie cechy najbardziej ceni Pan u mężczyzn? Inteligencję, tolerancję, ciepło". „Jakie cechy najbardziej ceni Pan u kobiet? Te same". „Co byłoby największym nieszczęściem? Życie bez mojej żony". W tym ostatnim zdaniu Joachim zawarł bodaj najważniejszą prawdę o swoim życiu. To było bardzo dobre małżeństwo. Jego żona Iwonna jest Polką, a nasza przyjaźń z Joachimem to była przyjaźń z nimi obojgiem.

Joachimie, spoczywaj w pokoju. ©℗

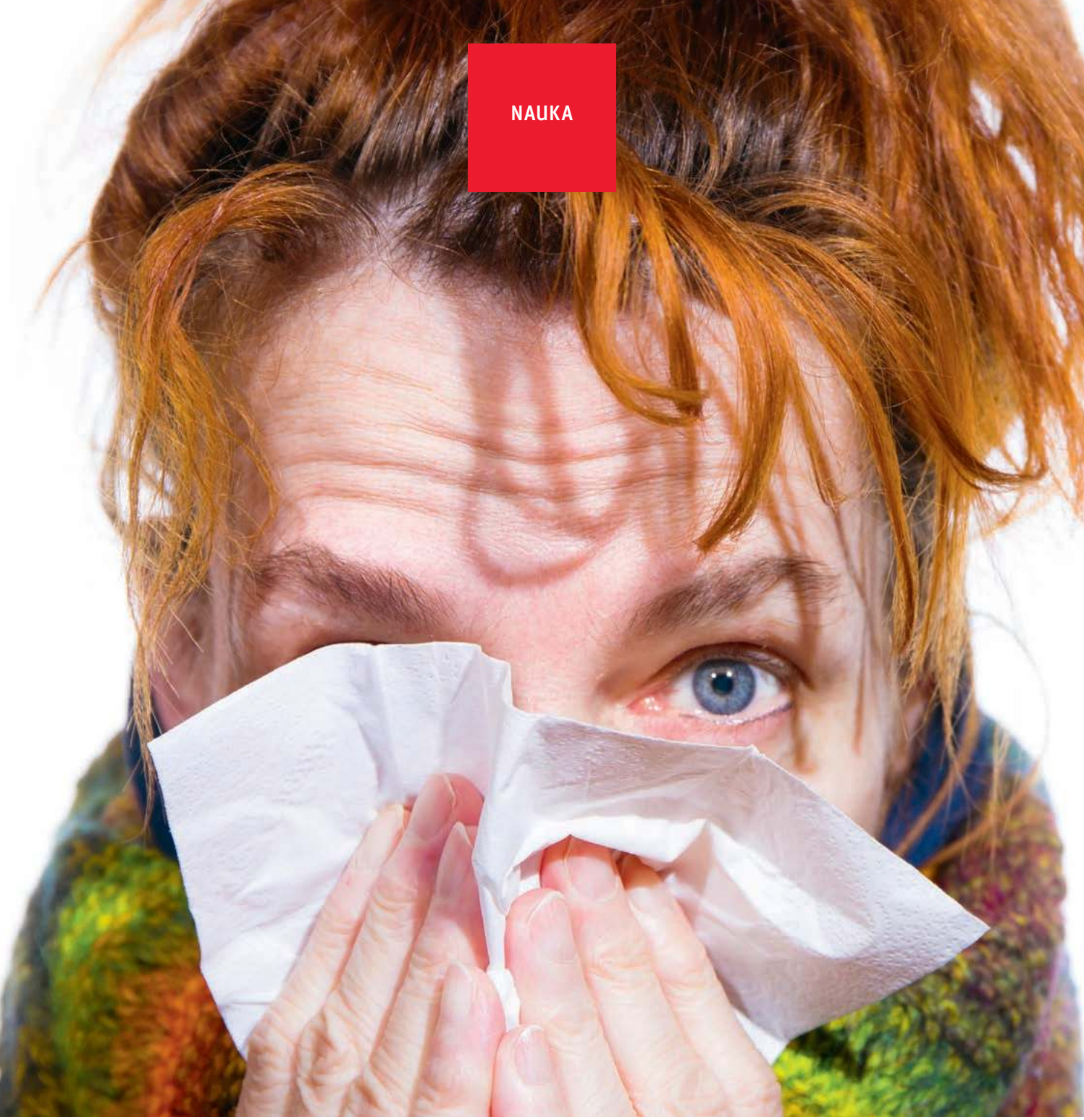

NAUKA

DOBRZE BYĆ KRĘGOWCEM

Adaptacyjny układ odpornościowy
to jeden z najbardziej złożonych produktów ewolucji.
Nadal wielu jego mechanizmów nie rozumiemy.

MAGDALENA KULMA

Choć pandemia COVID-19 nieco nam zaburzyła perspektywę, to faktem jest, że setki lat rozwoju nauki i medycyny nauczyły nas bardzo skutecznej ochrony przed drobnoustrojami. Opracowaliśmy zasady dotyczące przestrzegania higieny, które ograniczyły możliwość zakażenia i rozprzestrzeniania się chorobotwórczych zarazków. Stworzyliśmy również leki i szczepionki. Dzięki temu nie jesteśmy w tak dużym stopniu, jak nasi przodkowie, narażeni na choroby, które niegdyś dziesiątkowały ludzkość, takie jak dżuma, cholera czy grypa hiszpanka.

Ale te wszystkie kulturowe wynalazki to tylko rozszerzenie tego, co przez setki milionów lat zrobiła dla nas ewolucja biologiczna. Żadna forma wsparcia w walce z patogenami nie przyniosłaby bowiem pozytywnego efektu, gdyby nie obecność i funkcjonowanie naszego układu odpornościowego.

Wyścig zbrojeń

Walka z patogenami z zastosowaniem mechanizmów obronnych jest charakterystyczna dla całego świata żywego. Nawet jednokomórkowe bakterie wykorzystują zestawy enzymów do obrony przed wirusami. Bardziej złożone organizmy w toku ewolucji zaczęły wykształcać dodatkowe, wrodzone mechanizmy służące walce z coraz szerszym wachlarzem drobnoustrojów (wirusów, bakterii, grzybów, pierwotniaków) – które okazały się na tyle skuteczne, że zachowały się u ich współczesnych potomków.

Najbardziej zaawansowane mechanizmy obronne wyewoluowały u kręgowców. W wyniku ciągłego przystosowywania się do otaczającego środowiska – niosącego coraz to nowe zagrożenia – kręgowce wykształciły dynamiczny i współpracujący ze sobą system wyspecjalizowanych białek, komórek, tkanek i narządów, stanowiący podstawę złożonej, wrodzonej odpowiedzi odpornościowej. Kręgowce wytworzyły ponadto mechanizm pamięci immunologicznej oparty na syntezie przeciwciał, który umożliwia zapamiętywanie atakujących patogenów i pozwala na bardziej skuteczną ich identyfikację podczas kolejnych infekcji. To właśnie dlatego działają szczepionki.

Presjom selekcyjnym podlegały jednak nie tylko organizmy atakowane – także drobnoustroje, które musiały się rozwijać i specjalizować, by nie paść ofiarą coraz sprawniej funkcjonujących układów odpornościowych. Doszło do scenariusza, który ewolucjoniści nazywają wyścigiem zbrojeń. Trwa on od milionów lat, a ponieważ jego stawką, po obu stronach konfliktu, jest przekazanie genów w kolejne pokolenia, zapewne nigdy nie wygaśnie.

Pierwszą linię obrony, która już od urodzenia chroni nas przed atakiem biologicznych czynników chorobotwórczych, stanowią wytwarzane przez nasz organizm niespecyficznie działające fizyczne i chemiczne bariery. Są najszybsze – reagują natychmiast po kontakcie z patogenem, uniemożliwiając mu wtargnięcie do wnętrza potencjalnej ofiary. Zaliczamy do nich m.in. skórę czy rzęski błon śluzowych (np. w nosie), działające jak filtr oczyszczający wdychane powietrze z potencjalnych patogenów. Podobną funkcję pełnią różne substancje produkowane przez organizm, np. obecny w ślinie i łzach, posiadający właściwości antybakteryjne lizozym. Odruch kaszlu, niska wartość pH naszego soku żołądkowego sprzyjająca niszczeniu bakterii czy lekko kwaśny odczyn skóry utrudniający drobnoustrojom namnażanie się – to również elementy pierwszej linii obrony.

A jeśli zawiodą? Chorobotwórcze drobnoustroje często wyposażone są w narzędzia, którymi mogą osłabić lub przełamać nasze systemy obronne. W ten sposób działają toksyny bakteryjne, które fizycznie uszkadzają komórki ofiary, a także umożliwiają zakradnięcie się bakterii do organizmu, gdzie mogą się namnażać, wywołując przy okazji objawy chorobowe. Nasze bariery obronne mogą też ulec zniszczeniu w wyniku nieszczęśliwego wypadku – np. zwykłego skaleczenia, czyli przerwania ciągłości skóry, które może być dobrą okazją dla infekcji bakteryjnych, np. bakterii laseczki tężca, czy wirusowych (np. HIV).

Pożeranie i sygnalizacja

W momencie przełamania pierwszej linii obrony – fizjologicznych lub anatomicznych barier – zaatakowany organizm angażuje do walki kolejne środki. W ich skład wchodzą niewyspecjalizowane komórki układu odpornościowego, tzw. komórki żerne (fagocyty). Mechanizm ich działania polega na rozpoznaniu patogenu jako obcej cząsteczki (na podstawie jakiegoś charakterystycznego elementu na jego powierzchni – tzw. antygenu), pochłonięciu do swojego wnętrza (sfagocytowaniu, pożarciu), a następnie zniszczeniu go wewnątrz komórki. Kluczową rolę w rozpoznaniu przez komórki żerne „obcych" mikroorganizmów odgrywają opsoniny – substancje występujące w krwi, które wiążą się do powierzchni drobnoustrojów, a potem z receptorami komórek żernych, prowadząc do ich aktywacji. Niektóre komórki układu odpornościowego mają również zdolność produkcji i wydzielania substancji pomocniczych – cytokin.

Są to cząsteczki białkowe, których rolą jest pobudzenie innych komórek układu odpornościowego, w tym wysoce wyspecjalizowanych komórek z „jednostek specjalnych", odpowiedzialnych za wytworzenie pamięci immunologicznej i produkcję przeciwciał. W tym przypadku kluczową rolę odgrywają cytokiny produkowane przez limfocyty Th, które oddziałując z limfocytami pamięci (limfocytami B) podczas rozpoznawania nowego lub weryfikacji już wcześniej spotkanego patogenu, pobudzają limfocyty pamięci do wytwarzania przeciwciał – białek prowadzących do neutralizacji specyficznego rodzaju drobnoustroju.

Interesującą funkcję pełnią chemokiny – rodzaj cytokin, który pozwala na komunikację między poszczególnymi oddziałami armii układu odpornościowego. Wydzielone przez komórki z pierwszej linii frontu do środowiska zewnętrznego chemokiny są tajnym komunikatem dla pozostałych oddziałów o panującym zagrożeniu, obecności wroga i potrzebie szybkiego wsparcia.

Skuteczna walka z patogenem nie byłaby możliwa bez cytokin prozapalnych. Ich produkcja i uwalnianie z komórek jest sygnałem do rozpoczęcia wojny – rozpętania stanu zapalnego. Bolące i czerwone gardło, opuchnięta i zaczerwieniona rana po skaleczeniu czy bolący ząb i towarzysząca temu gorączka – to tylko kilka przykładów stanu zapalnego, z którymi zapewne większość z nas miała do czynienia. Wymienione objawy to nic innego jak odpowiedź układu immunologicznego na wtargnięcie do organizmu drobnoustroju chorobotwórczego. Jednym z jej wczesnych etapów jest wysyłanie przez komórki z pierwszej linii frontu informacji o panującym zagrożeniu do otaczającego środowiska.

Pierwszy alarm podnoszą komórki tuczne. Są one zlokalizowane głównie w obrębie drobnych naczyń krwionośnych skóry. Wydzielają histaminę, ↦

ADOBE STOCK

↦ której efektem działania jest rozszerzenie naczyń krwionośnych i zwiększenie ich przepuszczalności, co skutkuje pojawieniem się obrzęku i zaczerwienieniem w okolicy skaleczenia. Dzięki temu inne komórki z krwiobiegu mogą się dostać do miejsca, w którym trwa walka.

Tą drogą ruszają oddziały komórek fagocytujących z grupy białych krwinek (leukocytów), złożone głównie z makrofagów i neutrofili. Trafienie do miejsca zakażenia nie sprawia im większego problemu, ponieważ wydzielane przez komórki tuczne cytokiny tworzą chemiczny ślad. Po dotarciu do miejsca infekcji zarówno makrofagi, jak i neutrofile natychmiast przystępują do ataku – starają się pochłonąć i strawić intruza. Dodatkowo neutrofile mają zdolność wydzielania różnego rodzaju substancji, które obezwładniają i uśmiercają nieprzyjaciela także poza komórką. Szybka i skoordynowana akcja bojowa układu odpornościowego kończy się usunięciem uśmierconych patogenów poza organizm ofiary, co możemy zaobserwować w postaci wydzieliny ropnej w miejscu skaleczenia.

Eskalacja

Bardzo często pierwszy szturm komórek układu immunologicznego nie jest wystarczający do pozbycia się intruza i zwalczenia infekcji. Kiedy komórki fagocytujące „zorientują się", że przeciwnik ma nad nimi liczebną przewagę lub przechytrzył systemy obronne, wówczas zaczynają wysyłać do otoczenia biochemiczne sygnały alarmowe: cytokiny prozapalne, które mają za zadanie zwerbować kolejne komórki immunologiczne. Chemokiny wyrzucone przez fagocyty i rozproszone wokół pola bitwy odgrywają rolę magnesu, przyciągającego kolejne komórki układu odpornościowego. Są wśród nich tzw. naturalni zabójcy (albo komórki NK, z ang. *natural killers*), które za pomocą wydzielanych substancji bezpośrednio atakują intruza. Nadciągające komórki także mają zdolność do wydzielania cytokin informujących o toczącej się w organizmie walce, co wzmaga rekrutację kolejnych oddziałów. Lokalna walka zaczyna przybierać na sile, a stan zapalny obejmuje coraz większe rejony.

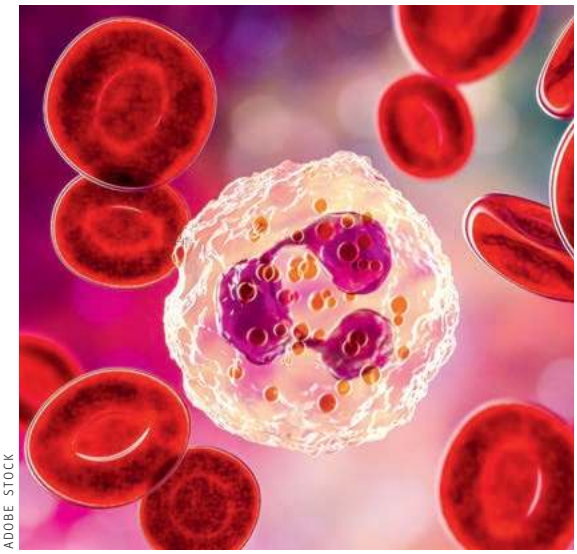

ADOBE STOCK

Otoczona przez wrogów komórka żerna musi zdecydować: czy chce przetrwać, czy aktywować mechanizm samobójczej śmierci.

Neutrofil w towarzystwie czerwonych krwinek.

W przypadku wielu zakażeń bakteryjnych taki scenariusz walki gwarantowałby zwycięstwo układu immunologicznego nad patogenem. Niestety, część z nich wykształciła różnego typu mechanizmy obronne, które pozwalają oszukać komórki układu odpornościowego i uniknąć ich ataku, a nawet wykorzystać je w celu namnożenia się i stworzenia liczebnej przewagi. Robi tak np. bakteria *Listeria monocytogenes* – niezwykle niebezpieczna dla kobiet w ciąży, ze względu na zdolność pokonywania bariery krew-łożysko, co w wielu przypadkach prowadzi do zakażenia płodu i jego poważnego uszkodzenia, a nawet śmierci.

Fagocytoza jest więc dla tych bakterii najszybszym i najłatwiejszym sposobem transportu do wnętrza komórek żernych, które zaczynają traktować jako bezpieczne schronienie przed innymi, zabójczymi dla nich elementami układu odpornościowego.

Taka sytuacja sprawia, że fagocytująca komórka znajduje się w pułapce. Z jednej strony, otoczona przez wroga, chce reagować i walczyć z nim, więc wydziela na zewnątrz cytokiny prozapalne, które mają ściągnąć wsparcie. Z drugiej strony, ta walka nic nie da, ponieważ pochłonięta bakteria nie zostanie strawiona, tylko namnoży się we wnętrzu fagocytu. Dlatego komórka żerna musi w pewnym momencie decydować: czy chce przeżyć, czy poświęcić się dla organizmu. Może bowiem zostać uruchomiony mechanizm zaprogramowanej i wysoce zapalnej, samobójczej śmierci komórki żernej, która wzmaga odpowiedź przeciw chorobotwórczym drobnoustrojom.

Proces ten, zwany piroptozą (z greckiego: *pyro* – ogień, gorączka), został odkryty w 2001 r. przez amerykańskiego mikrobiologa Brada Cooksona, który zauważył, że zakażenie wewnątrzkomórkowymi bakteriami prowadzi do eksplozji fagocytów, czemu towarzyszy wyrzucenie na zewnątrz znajdujących się w ich wnętrzu drobnoustrojów oraz ogromnych ilości cytokin prozapalnych. Uwolnione tym sposobem cytokiny efektywniej alarmują pozostałe komórki układu odpornościowego o istniejącym niebezpieczeństwie, a pozbawiony swojego schronu patogen staje się łatwiejszą ofiarą dla innych elementów układu odpornościowego.

Sepsa: problem globalny

Wydaje się, że taka samobójcza śmierć zainfekowanych komórek to idealne rozwiązanie w walce z wewnątrzkomórkowymi drobnoustrojami. Szybka, efektywna reakcja zapalna, śmierć nieprzyjaciela, niewielka liczba ofiar w szeregach własnej armii – te cechy piroptozy pozwalają odnieść wrażenie, że układowi immunologicznemu wreszcie udało się przechytrzyć chorobotwórcze drobnoustroje, i że to właśnie on wygra wojnę. Niestety nie! Z niewyjaśnionych dotąd przyczyn proces piroptozy czasem ulega rozprogramowaniu i przebiega w sposób niekontrolowany. Przypuszcza się, że mogą za tym

RDC POLSKIE RADIO

ADAM ROBIŃSKI opowie o brytyjskich bobrach (rozmowa na s. 72) Grzegorzowi Chlaście w środę 13 stycznia o godz. 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podcastach na stronie internetowej radia.
| Warszawa 101 FM |Ostrów Maz. 87,6 FM
| Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
| Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
oraz na Mazowszu i w Warszawie – **www.rdc.pl**

stać dodatkowe mechanizmy, którymi sterują obecne wewnątrz komórki patogeny.

Konsekwencje wynikające z utracenia przez układ immunologiczny kontroli nad przebiegiem piroptozy sprawiają, że dochodzi do bezpośredniego zagrożenia dla zdrowia i życia organizmu. Zbyt silna odpowiedź zapalna na zakażenie może być bowiem tak samo niebezpieczna dla organizmu, jak kompletny jej brak.

Wynika to z faktu, że olbrzymie ilości cytokin prozapalnych wyrzucanych przez komórki układu odpornościowego zaczynają oddziaływać już nie tylko na inne komórki układu odpornościowego, ale także na tkanki i organy. Mamy wówczas do czynienia z tzw. burzą cytokinową. Reakcja zapalna zaczyna obejmować coraz większe obszary organizmu, co w konsekwencji prowadzi do uszkodzenia wielu organów. Ten ogólnoustrojowy stan zapalny, potocznie nazywany sepsą, przebiega bardzo gwałtownie, a w licznych przypadkach kończy się śmiercią.

Uważa się, że burza cytokinowa jest m.in. główną przyczyną ciężkich powikłań wywołanych infekcją wirusem SARS-Cov-2, co w konsekwencji prowadzi do zaburzeń pracy układu oddechowego, a w najcięższych przypadkach do rozwoju sepsy.

Obecnie sepsa stanowi globalny problem zdrowotny – każdego roku dotyka około 30 mln ludzi na całym świecie, z czego ponad 6 mln przypadków kończy się śmiercią. Wysoka śmiertelność wynika głównie z trudności rozpoznania sepsy we wczesnym stadium i zbyt późnego wdrożenia antybiotykoterapii, która pozwala zahamować namnażanie się bakterii w organizmie.

Niestety, ze względu na rosnącą liczbę bakterii opornych na antybiotyki, skuteczność tej formy leczenia słabnie. Dlatego trwają pilne poszukiwania nowych strategii leczenia zakażeń bakteryjnych, mające na celu złagodzenie niekontrolowanej odpowiedzi immunologicznej, która prowadzi do sepsy.

Ewolucyjny wyścig zbrojeń między patogenami i ich ofiarami toczy się dzisiaj nie tylko w organizmach, ale także w laboratoriach naukowych.

© MAGDALENA KULMA

Fabryka w komórce

ANNA BARTOSIK

Drożdże odgrywają kluczową rolę nie tylko w produkcji żywności i alkoholu. Metodami inżynierii genetycznej można je zmusić do syntezy leków.

Alkaloidy tropanowe wykorzystywane są jako leki lub trucizny od stuleci. Należy do nich m.in. dobrze znana wszystkim okularnikom atropina, która powoduje poszerzenie źrenic i dzięki temu umożliwia przeprowadzenie szczegółowego badania dna oka. Ale te naturalnie produkowane przez rośliny związki stosowane są także w leczeniu bólu, objawów astmy, grypy czy choroby Parkinsona. Niektóre wpływają na funkcjonowanie umysłu i świadomości. To właśnie alkaloidy tropanowe miały zostać podane, w postaci wywaru z bielunia, przez czarodziejkę Kirke towarzyszom Odyseusza, co wywołało u nich amnezję i halucynacje.

Pozyskiwanie tych związków tradycyjnie opierało się na ich izolacji bezpośrednio z roślin, jednak jest to kosztowny i mało wydajny, a przez to obarczony ryzykiem rynkowym proces. Dlatego szuka się alternatyw przy pomocy metod biologii molekularnej. Oraz przy użyciu drożdży.

Drożdże piekarskie znajdują się w centrum zainteresowania przemysłu biotechnologicznego. Nie tylko ze względu na ich zastosowanie w piekarniach i browarach. To właśnie w drożdżach odbywa się na skalę przemysłową produkcja ludzkiej insuliny, podawanej chorym na cukrzycę. Próbuje się je także zaprząc do produkcji innych związków – np. artemizyny, wykorzystywanej w leczeniu malarii (w 2006 r. opisano przeniesienie do drożdży szlaku syntezy tego leku z ziela *Artemisia annua*). Drożdże są łatwe w hodowli na dużą skalę, a naukowcy doskonale rozumieją ich biologię i już dawno opracowali skuteczne metody inżynierii genetycznej.

We wrześniu 2020 r. Prashanth Srinivasan oraz Christina Smolke z Uniwersytetu Stanforda opisali w „Nature" jak dotąd najbardziej złożony tego rodzaju eksperyment. Badacze przekształcili drożdże w minifabryki, zdolne do produkowania z prostych cukrów i aminokwasów dwóch leków z grupy alkaloidów tropanowych. Chodzi o hioscyjaminę i skopolaminę, które blokują aktywność acetylocholiny, ważnego neuroprzekaźnika. Są one wykorzystywane w medycynie do leczenia nudności, problemów żołądkowo-jelitowych czy zaburzeń nerwowo-mięśniowych powiązanych z chorobą Parkinsona.

Żeby zaprogramować drożdże piekarskie do syntezy hioscyjaminy i skopolaminy, naukowcy musieli zbudować w ich komórkach linię produkcyjną składającą się z aż 26 białek, które normalnie nie występują w komórkach tych organizmów. Są to enzymy metaboliczne oraz substancje transportujące, rozlokowane w różnych miejscach w obrębie komórek. Geny potrzebne do syntezy tych białek pozyskano z grzybów, bakterii, zwierząt i roślin. Kluczowym zabiegiem było rozdzielenie przestrzenne poszczególnych etapów syntezy – chodziło o zoptymalizowanie działania enzymów, których aktywność zależy m.in. od kwasowości środowiska. Lokalnie wyższe stężenie substratów sprzyja zajściu reakcji chemicznej, a dodatkowo produkty uboczne poszczególnych reakcji nie wpływają na procesy zachodzące w innych częściach komórki. Dzięki wprowadzeniu do komórek drożdży odpowiednich transporterów produkty reakcji są sprawnie kierowane do kolejnego etapu syntezy chemicznej. Przypomina to sytuację występującą w zakładach chemicznych, gdzie poszczególne reakcje mogą zachodzić w oddzielonych reaktorach – dzięki czemu łatwiej je kontrolować i optymalizować.

Obecnie produktywność minifabryk drożdżowych jest niska – mamy wciąż do czynienia z ćwiczeniem akademickim, a nie przemysłowym zastosowaniem. Z litra kultury drożdżowej otrzymywano do kilku miligramów alkaloidów tropanowych. Teraz czas na usprawnienia, możliwe właściwie na każdym z wielu etapów syntezy. Można też mieć nadzieję, że – jak to w nauce – drobne modyfikacje doprowadzą do odkrycia nowych związków aktywnych, potencjalnych leków na inne choroby. ©

KRONIKI POWROTÓW

DEREK GOW, ROLNIK I PRZYRODNIK:

Przywracanie bobrów w Wielkiej Brytanii było bardzo długą i zajadłą walką, która wcale się jeszcze nie skończyła. A my tych bobrów desperacko potrzebujemy.

ADAM ROBIŃSKI: Pamięta Pan swoje pierwsze spotkanie z bobrem?

DEREK GOW: Bardzo wyraźnie! To było w latach 90. w Polsce, w placówce Polskiej Akademii Nauk w Popielnie na Mazurach. Prowadzono tam hodowlę bobrów. Niektóre z nich były oswojone. Któryś z pracowników nachylił się, podniósł to ogromne zwierzę i posadził mi je na kolanie. Popatrzyło mi w oczy, a ja jemu. Pachniało cudownie.

Czyli zajął się Pan wcześniej bobrami, nie mając styczności z żywym zwierzęciem?

Bo nie było tak łatwo je zobaczyć! W Wielkiej Brytanii trwała głośna debata na temat reintrodukcji bobra. Wiadomo, że dawniej gatunek był szeroko rozpowszechniony, ale potem wytępiono go aż do wymarcia, prawdopodobnie na początku XIX wieku. Bobrów europejskich nie mieliśmy nawet w ogrodach zoologicznych, choć parę osób trzymało bobry kanadyjskie [bóbr europejski i kanadyjski to dwa osobne gatunki, choć z wyglądu niemal identyczne, to jednak niemogące się krzyżować – red.]. Jeśli człowiek chciał myśleć o reintrodukcji, to najpierw musiał wykombinować, skąd w ogóle wziąć to zwierzę. W latach 90. Polska była tak naprawdę najbliższym Wielkiej Brytanii krajem, gdzie bobry występowały w sensownych ilościach. Oprócz Popielna widziałem wtedy sporo krajobrazów przekształconych przez te zwierzęta. Pojechaliśmy też do Poznania, gdzie żyły nad rzeką w środku miasta. To robiło ogromne wrażenie.

Skoro w Wielkiej Brytanii bobry wyginęły tak dawno temu, to pewnie stały się bytem bardziej mitycznym niż realnym.

Niezupełnie. W 1932 roku z londyńskiego zoo uciekł bóbr kanadyjski i został zastrzelony. Kiedy gazety przepytywały ludzi, którzy widzieli jego truchło, to nikt nie miał wątpliwości, że to bóbr. Byli przekonani, że przywędrował z północnej Anglii wraz z niedawną powodzią. Więc ludowa pamięć o bobrach wcale nie była tak odległa, jak mogłoby się wydawać. Nie było ich sto, może sto dwadzieścia lat. Poza tym Wielka Brytania miała ogromny udział w imporcie futer z Ameryki Północnej. Byliśmy zaznajomieni z bobrami choćby z tego powodu.

To może Brytyjczycy nawet nie zorientowali się, że we własnym kraju wytępili to zwierzę? W literaturze bobry były wiecznie żywe.

C.S. Lewis, ten od „Opowieści z Narnii", umieścił w swojej książce bobry obok gadających lwów i latających koni. Sęk w tym, że u niego żywiły się rybą z frytkami, co jest oczywiście wierutną bzdurą. Ale jak ktoś czytał „Narnię", to zapamiętywał tę rybną dietę bobra, stuprocentowego jarosza przecież. Był też inny autor, Richard Jefferies, który pisał głównie o historii naturalnej i krajobrazach, ale popełnił również parę książek *science fiction*. W jednej z nich opisał katastrofę: ludzkość wymiera, nie pamiętam już z jakiego powodu, a dzika przyroda zaczyna wpełzać do opuszczonych miast. I nagle robi się pełno bobrów. Właściwie nie wiadomo, dlaczego Jefferies postawił akurat na bobry. Być może spędził trochę czasu w Kanadzie i tam widział efekty ich działania? Bo tu, w Europie, były w jego czasach głównie wspomnieniem.

Dlaczego je wytępiliśmy?

Z wielu różnych powodów. W czasach prehistorycznych używaliśmy ich zębów jako zestawu prostych narzędzi. W czasach nowożytnych głównym powodem polowań była propaganda Kościoła rzymskokatolickiego, który głosił, że skoro bóbr ma łuskowany ogon, to znaczy, że jest rybą. Czyli można go jeść w czasie postu. Poza tym bardzo ceniono ich futro, z którego robiono czapki. Do tego dochodzi kastoreum, substancja zapachowa, którą wydzielają spod ogona. ↦

PIOTR KAMIONKA / REPORTER

↦ Żywią się głównie wierzbową korą, więc kastoreum ma bardzo wysokie stężenie kwasu salicylowego. Przez to było składnikiem wielu środków przeciwbólowych. Z tych wszystkich powodów wybiliśmy bobry. Jeden gruczoł był warty roczną pensję, drugi – drugą roczną pensję, a pozostała część ciała trzecią. Cholernie cenne zwierzę.

Wiemy, jak dużo bobrów żyło w Europie, zanim zaczęliśmy na nie polować?

Och, to były dziesiątki albo setki milionów osobników. To zwierzę dominowało w krajobrazie dolin rzecznych. Dziś nawet nie potrafimy sobie wyobrazić tej skali. A potem doprowadziliśmy do sytuacji, w której w zachodniej Europie żyło około czterystu osobników, m.in. na Łabie w Niemczech. Małą populację miała Skandynawia. We wschodniej Europie trochę więcej, bo kilka tysięcy bobrów. Co ciekawe, do niedawna panowało przekonanie, że obecna polska populacja bobra to skutek reintrodukcji z drugiej połowy XX wieku. Tymczasem kilka lat temu badania DNA wykazały, że jest zupełnie unikatowa. A to oznacza, że polskie bobry wcale nie wyginęły, że w nielicznych siedliskach przetrwały.

Reintrodukcje tego gatunku w wielu krajach Europy kończyły się spektakularnymi sukcesami. Tymczasem w Wielkiej Brytanii dopiero parę miesięcy temu władze uznały, że zwierzęta, które w zagadkowy sposób pojawiły się na rzece Otter w hrabstwie Devon, nie zostaną odłowione. Dlaczego trwa to tak długo?

Bo my, Brytyjczycy, jesteśmy świetni w wymądrzaniu się i opowiadaniu na lewo i prawo o naszej wyjątkowości. Ale jak się spojrzy na to, co robimy, a nie tylko gadamy, to okazuje się, że jesteśmy do dupy. Krajobraz Wielkiej Brytanii to krajobraz, w którym odechciewa się żyć. Jedziesz do Polski i widzisz niesamowitą przyrodę, buchającą bioróżnorodność i dobre rolnictwo, którego w czasach komunizmu nie stać było na całą tę wyrafinowaną chemię, jaką ładuje się w glebę. Tymczasem my zaraz po zakończeniu II wojny światowej zaczęliśmy masowo „ulepszać" krajobraz: osuszać mokradła, wycinać lasy, niszczyć łąki. Wskaż jakieś szkodliwe działanie, a my na pewno mamy je na swoim koncie. Bioróżnorodność na kontynencie europejskim jest nieporównywalnie bogatsza od tej na Wyspach Brytyjskich. Cieszcie się przyrodą, którą macie u siebie, bo jest niezwykle cenna i wyjątkowa.

Trzeba coś stracić, żeby to docenić. Przecież my też tniemy Puszczę Białowieską. I planujemy budować ekspresówkę przez Biebrzański Park Narodowy.

Jasne, zawsze są jakieś walki do stoczenia. Ale wszystko jest w rękach ludzi. Walczcie o każdy cholerny centymetr. Bo jak coś przepadnie, to przepadnie. Macie też nad nami sporą przewagę, bo jesteście połączeni lądem z resztą kontynentu. Widział pan parę dni temu tę historię o niedźwiedziu w Puszczy Białowieskiej?

Tak, nagrała go fotopułapka. Przyszedł do Polski z Białorusi.

Kiedy byłem w Białowieży, zabrano mnie do lasu i pokazano drzewo z barcią. Barć chroniono przed niedźwiedziami za pomocą zawieszonej na kołku kłody. Działała jak wahadło, kiedy jakiś próbował ją odepchnąć, żeby dostać się do plastrów, zaraz nią obrywał i spadał z drzewa. Ostatnie białowieskie niedźwiedzie wybito w XIX wieku. I co, minęło sto dwadzieścia lat i już wróciły? To się może wydarzyć, bo jesteście częścią kontynentu. Z tego samego powodu do Holandii i Danii mogły wrócić wilki.

Przez kanał La Manche nie przepłyną.

Żeby jakieś wymarłe zwierzę na nowo pojawiło się w Wielkiej Brytanii, trzeba je zapakować do skrzyni i przywieźć. I tu pojawia się silne lobby rolnicze i łowieckie. Reintrodukcja bobra była bardzo długą i zajadłą walką, która wcale się jeszcze nie skończyła. A my tych bobrów desperacko potrzebujemy. Ich powrót jest koniecznością. W czasie drastycznie spadającej bioróżnorodności musimy chociaż spróbować poprawić sytuację.

Dlaczego są takie ważne?

Macie w Polsce sporo mokradeł, a na nich pełno komarów, prawda?

Nie da się ukryć, mamy komary.

Komary da się przeżyć, bo oprócz nich jest też pełno płazów, ryb, ptaków, wodnych roślin i mnóstwo innych pięknych rzeczy. Kiedy posiadasz te złożone ekosystemy mokradłowe, to jednocześnie masz miejsce do zatrzymania wody w czasie powodzi i takie, w którym ta woda jest w trakcie suszy. Mokradła to najbogatsze w życie miejsca na tej planecie. Kiedy je osuszasz, niszczysz ogrom życia. W Wielkiej Brytanii robiliśmy to już w epoce brązu i dziś nie mamy ich wcale. Zamiast nich przez większą część roku towarzyszy nam susza, a zimą nawiedzają gigantyczne powodzie. Trzeba płacić rolnikom za to, by na nowo czynili ziemię wilgotną. Tymczasem bóbr jest zwierzęciem, które radzi sobie z tym o wiele lepiej niż człowiek. I to za darmo. Wspominałem już panu, że pierwsze bobry przyjechały do nas z Polski, prawda?

Z Popielna. W swojej książce „Bringing Back the Beaver" opisuje Pan samicę, która zrobiła rozróbę na lotnisku Heathrow.

Tak było! To był polski bóbr i na dodatek wcale nie pił w samolocie! Dostaliśmy z Polski wspaniałe zwierzęta. Co ciekawe, jedna trzecia polskich bobrów jest czarna. Wtedy w Popielnie byłem zszokowany nie tylko całą sytuacją, pierwszym kontaktem z bobrem, ale też tym, że zwierzę, które siedzi mi na kolanach, jest czarne. Przyleciało ich piętnaście, może dwadzieścia osobników. Dziś w Szkocji mamy takie miejsca, gdzie wszystkie bobry są czarne. Prezent z Polski ma się świetnie.

Kiedy czyta się o procesie przywracania bobrów Wielkiej Brytanii, rodzą się skojarzenia z opowieściami o Robin Hoodzie albo walce rebeliantów z Imperium Galaktycznym. To ciągłe kombinowanie i szukanie sposobów na obejście przepisów. Jak grodzenie gigantycznej posiadłości, żeby bobry oficjalnie nie żyły wolno. Albo to zagadkowe ich pojawienie się na rzece Otter...

Tak, trzeba kombinować, ale jeśli wierzysz w to, co robisz, to dlaczego miałbyś przestać? Idea jest klarowna i słuszna. Wiadomo, że potrzebujemy bobrów. I kiedy się za to bierzesz, natrafiasz na tłum ludzi z formularzami. Proszę wypełnić ten formularz, potem tamten, potem jeszcze jeden. Proszę przeprowadzić badanie. Walia od 2003 roku mówi o reintrodukcji bobra i do tej pory nie zrobiła ani

BARRY BATCHELOR / PA / EAST NEWS

Przenoszenie bobrów w Cotswolds Water Park, w pobliżu Cirencester, Gloucestershire, Anglia, 27 października 2005 r. Pierwszy z lewej: Derek Gow.

jednego kroku w przód. Siedemnaście lat wypełniania wniosków. W końcu uświadamiasz sobie, że choćbyś nie wiem co robił, i tak nie dostaniesz zgody. Weź ten formularz, zgnieć go i wytrzyj sobie nim tyłek, tylko do tego się nadaje.

W Anglii i Szkocji się udało.

Przeszliśmy długą drogę, ale dziś mamy już populację wolno żyjących bobrów, w tym polskich. A to dlatego, że niektórzy ludzie zaangażowani w sprawę w pewnym momencie uznali, że nie będą czekać na kolejne kłody rzucane im pod nogi, tylko po prostu wypuszczą bobry na wolność. Kiedy wreszcie to robisz, okazuje się, że wszyscy są z tego powodu bardzo szczęśliwi. A ci nieliczni, którzy się sprzeciwiali, mogą się... No, niech sobie zorganizują jakąś stypę. Przywrócenie bobrów było słuszne i cieszę się, że tego dokonaliśmy.

Andrzej Czech, polski ekspert od bobrów, twierdzi, że ich problem bierze się stąd, że nie wystawiają faktur, nie biorą dotacji, a od ich zbawiennego działania nikomu nie rośnie PKB.

No tak, jest mnóstwo firm, które chcą robić to, co bobry: regulować rzeki, wycinać drzewa, rekonstruować mokradła. Ale przecież jeśli robisz to koparką, to nie jest to proces naturalny. Bobry wykonują tę robotę o wiele lepiej, skuteczniej i za darmo. Są częścią naturalnego systemu i nie ma ani jednego powodu, dla którego mielibyśmy ich nie witać z powrotem. Jeśli to się komuś nie podoba, to powinien zająć się w życiu czymś innym.

Ma Pan bobry na swojej farmie w Devonie?

O tak, mnóstwo bobrów.

Czyli obserwował Pan ich wpływ na krajobraz na własne oczy, dzień po dniu.

Ta ziemia, jak wiele innej w moim kraju, została w czasach wiktoriańskich osuszona. Przekopano proste kanały przez dna dolin, co osuszyło wszystkie mokradła i cieki. Kiedy w zimie cała woda opuszcza glebę, dzieje się to wściekłym strumieniem. Następnego dnia nie ma już ani kropli. Koryto staje się głębokim rowem, którego dno sięga gołej skały. Nie ma ryb, nie ma płazów, nic nie ma. Kiedy pojawiły się bobry, w pierwszej kolejności postawiły tamy we wszystkich starych kanałach odwadniających. I teraz woda jest wszędzie. Są też ryby, miliony ryb i polujące na nie wydry. Tysiące ważek i wielkie stada kaczek. Jest jeszcze jeden gatunek, z którym obecnie pracujemy. Od paru lat jesteśmy w kontakcie z warszawskim zoo, które wysyła nam bociany białe. Osierocone albo kontuzjowane. Pracując nad przywracaniem mokradeł, przy okazji staramy się również odzyskać gatunki, które kiedyś z nich korzystały. Bocianów też kiedyś mieliśmy tu pod dostatkiem.

Podobno wszystkie zjedliście.

W średniowieczu jedliśmy wszystko, co się rusza. Faktycznie mamy historyczne zapisy o bocianach serwowanych w trakcie uczt. Więc tak, pewnie je zjedliśmy aż do wymarcia, dodatkowo niszcząc ich habitaty. Wie pan, jesteśmy bardzo ↦

↦ dziwną wyspą. W Europie bocian kojarzy się z nowym życiem, z odrodzeniem, z wiosną. A potem przylatuje taki do Wielkiej Brytanii, a my pakujemy go do zapiekanki. Ale teraz mamy kilkaset bocianów z warszawskiego zoo. I, być może pan słyszał, pierwsze dwie pary w Sussex wyprowadziły w mijającym roku debiutanckie lęgi. Pisklaki przeżyły i latają po Anglii. Pierwsze bociany, które po pięciuset latach przerwy urodziły się w tym kraju, mają polskie korzenie.

Z nimi nie ma chyba tylu kontrowersji, co z bobrami. W książce opisuje Pan sytuację z Belgii: bobry wyciągano żywcem z nor, a potem krzyżowano.

Niektórzy ludzie są bardzo głupi i wyjątkowo okrutni. Nic poza tym nie da się na ten temat powiedzieć. Być może nie są w stanie znieść myśli, że zwierzę potrafi aż tak przekształcić krajobraz? Że jest w czymś lepsze od nas? Ale co innego zastrzelić zwierzę, a co innego je ukrzyżować. To jest czyste zło.

A może chodzi o to, że są do nas zbyt podobne? Mają podobną siłę sprawczą, są bardzo rodzinne. Może traktujemy je jak konkurencję?

Chyba ma pan rację. W Europie zabijano je od dawna. W Ameryce Północnej dopiero wtedy, gdy przypłynęli do niej Europejczycy. No dobrze, rdzenni Amerykanie też to robili, ale tylko wtedy, gdy potrzebowali bobrzych zębów lub futra. Przede wszystkim jednak rozumieli ich rolę w krajobrazie. Mamy relacje, w których ci ludzie mówią o bobrach jako o nerkach ziemi. Bobry są jak nerki, bez nich nie ma życia. Kiedy biali osadnicy przepłynęli Atlantyk i zaczęli handlować futrami, Indianie początkowo mieli olbrzymie opory, by brać w tym udział. Byli z tymi zwierzętami mocno związani. Być może z tych powodów, o których pan mówi. To bardzo rodzinne istoty. Swoje potomstwo otaczają dużą troską, budują dla nich dom, karmią je, ogrzewają...

A po śmierci chowają.

Tak, takie zachowania były obserwowane i rejestrowane w wielu miejscach. A my nie mamy pojęcia, dlaczego to robią. Z tych wszystkich powodów Indianie odnosili się do bobrów z ogromnym szacunkiem. Osadnicy widzieli w nich tylko pieniądze. Potem stały się wyłącznie szkodnikami, które trzeba tępić, bo potrafią przewrócić drzewo albo zalać łąkę. Jeśli chcemy, by nasze życie na tej planecie miało przyszłość wspólną z jakimkolwiek innym organizmem, musimy wszystko przemyśleć na nowo.

Niektórzy ludzie są bardzo głupi i wyjątkowo okrutni.
Być może nie są w stanie znieść myśli, że zwierzę potrafi aż tak przekształcić krajobraz? Że jest w czymś lepsze od nas?

Na szczęście ludzie potrafią radykalnie zmieniać swój stosunek do zwierząt. Przykładem niech będą wilki. Jeszcze dwa pokolenia temu ludzie ich nienawidzili. Całe społeczeństwa wierzyły, że to szatańskie istoty, które wyszły z piekła, by zabijać owce. A potem mija trochę czasu, Holandia organizuje referendum na ich temat i 77 proc. społeczeństwa wyraża opinię, że wilki są ważne i trzeba nauczyć się z nimi żyć.

To jak przekonać ludzi do bobrów? Jak wyjaśnić, że konflikt na linii człowiek–bóbr jest zmyślony?

Oczywiście nie każdy jest zmyślony. Jeśli patrzysz na współczesny krajobraz wsi, to widzisz przede wszystkim drenaż i rolnictwo, które dotyka brzegów rzek. Te rzeki są trzymane w ryzach przez wały przeciwpowodziowe. Kiedy bóbr zaczyna kopać w takim wale, to może pojawić się wyrwa i narazić rolnika na gigantyczne straty. Problemem są też pestycydy, które wiele rozwiniętych społeczeństw ładuje w glebę. Jeśli nie zamierzamy przestać tego robić, to powinniśmy chociaż odsunąć uprawy od rzek, w przeciwnym wypadku każdy większy deszcz będzie czynił ogromne szkody. Więc tak, z bobrami bywają kłopoty, ale wszystko, co one robią, robiły już 40 milionów lat temu. I nie ma w tym nic dziwnego. Możemy wrócić na chwilę do wilków?

Proszę.

W Polsce czy w Rumunii wciąż widzi się pasterzy, którzy z psami pilnują owiec. Przed czym? Oczywiście przed wilkami. Tymczasem w Wielkiej Brytanii dawno wybiliśmy wszystkie duże drapieżniki, więc stawiamy ogrodzenie, wrzucamy owce na pastwisko, tam jest zostawiamy i cześć, nic już nie może pójść nie tak. Jeśli chcesz mieć u siebie dzikie zwierzęta, to musisz sobie uświadomić, że to wpłynie na twoje zachowanie i na krajobraz, w którym żyjesz.

Wyobraża Pan sobie reintrodukcję wilka lub niedźwiedzia do Wielkiej Brytanii?

Z punktu widzenia biologii jak najbardziej. Skoro żyją w Holandii i Danii, to poradziłyby sobie i u nas. Gorzej z punktu widzenia kultury. Nie wiem, czy był pan kiedyś w Wielkiej Brytanii, ale kiedy przyjeżdżają do nas Niemcy, to zwykle mówią, że nigdy nie widzieli tylu owiec. Bo my, z uwagi na dotacje rolnicze, ciągle trzymamy miliony tego cholerstwa. Jasne, tysiąc lat temu to były bardzo wartościowe zwierzęta, ale od tysiąca lat trzymamy je właściwie bez żadnego sensownego powodu. Jeśli w brytyjskim krajobrazie miałyby pojawić się wilki, to coś z tym fantem trzeba by zrobić. A tak na marginesie, one też by nam się przydały.

Aż tak nie lubi Pan owiec?

Chodzi o to, że nasi politycy bardzo chętnie mówią o konieczności sadzenia lasów. Super, ale jeśli zaczniesz to robić, a nie będziesz mieć żadnych drapieżników, to prędzej czy później staniesz przed problemem jeleni, które ten las zjedzą. Jeleni mamy z kolei mnóstwo, bo brakuje właśnie wilków, które są świetne w kontrolowaniu ich populacji.

To jaka przyszłość czeka brytyjskie bobry?

Będą wszędzie. Na razie nie ma ich wiele, może dwa tysiące osobników na całej wyspie. Ale zaczynają się rozprzestrzeniać. Mimo to musimy ciągle importować je z Polski i z Bawarii, w dużych ilościach i to szybko. A poza tym dorosnąć, zmądrzeć i nauczyć się z nimi na nowo żyć. Prędzej czy później będą tu pospolite, tak jak w Polsce.

© Rozmawiał ADAM ROBIŃSKI

DEREK GOW *jest rolnikiem i działaczem na rzecz ochrony przyrody, od 35 lat zajmuje się przywracaniem wymarłych gatunków krajobrazom Wielkiej Brytanii.*

W Sądzie Rejonowym w Chełmie, I Wydziale Cywilnym w sprawie sygn. akt I Ns 858/19 z wniosku Prokura Niestandaryzowanego Sekurytyzacyjnego Funduszu Inwestycyjnego Zamkniętego we Wrocławiu toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Halinie Majdańskiej, zmarłej 13 czerwca 2017 r. w Chełmie, ostatnio stale zamieszkałej w Adolfinie 10, 22-130 Adolfin.

Wzywa się wszystkie zainteresowane osoby, a w szczególności spadkobierców Haliny Majdańskiej, aby w terminie trzech miesięcy od dnia ogłoszenia zgłosili i udowodnili swoje nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie zostaną pominięci w toczącym się postępowaniu o stwierdzenie nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim, Wydział I Cywilny, pod sygnaturą I Ns 653/20, toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Janinie Orzechowskiej zmarłej 1 czerwca 1992 r. w Mińsku Mazowieckim, ostatnio stale zamieszkałej w Antoninie.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy, w terminie trzech miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia, zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, ponieważ w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku

Sąd Rejonowy w Brzesku, Wydział I Cywilny pod sygn. I Ns 224/20 prowadzi postępowanie z wniosku Tauron Dystrybucja SA z siedzibą w Krakowie, o stwierdzenie nabycia spadku po Władysławie Kondziołka, s. Józefa i Magdaleny, zmarłym 30 sierpnia 1990 r. w Jadownikach gm. Brzesko i tam mającym ostatnie miejsce zwykłego pobytu. Zmarły był kawalerem.

Sąd wzywa spadkobierców Władysława Kondziołki do zgłoszenia się do tut. sądu i udowodnienia swych praw do spadku w terminie 3 miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie, Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6 toczy się pod sygnaturą I Ns 261/20 postępowanie z wniosku Hanny Wandy Fiszer o stwierdzenie nabycia spadku po Marii Lorenc, zmarłej 24.03.2002 r. w Jarocinie, ostatnio zamieszkałej w Jarocinie. W skład spadku po zmarłej wchodzi udział w prawie wieczystego użytkowania gruntu i prawie własności położonych na nim budynków.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłej, by w terminie trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Sąd Rejonowy w Lubaczowie, I Wydział Cywilny w sprawie I Ns 94/20 z wniosku Gminy Wielkie Oczy o stwierdzenie nabycia spadku po Franciszce Niemiec, c. Michała i Marii, wdowie, zmarłej 8 września 1998 r. w Lubaczowie, ostatnio stale zamieszkałej i przebywającej pod adresem Kobylnica Wołoska 47, po której pozostał majątek spadkowy w postaci nieruchomości o numerze ewidencyjnym 786 o powierzchni 0,5096 ha, położonej w Kobylnicy Wołoskiej, objętej księgą wieczystą nr PR1 L/00013433/4 prowadzoną przez Sąd Rejonowy w Lubaczowie, wzywa wszystkie osoby roszczące sobie prawa do spadku, aby w terminie trzech miesięcy od dnia zamieszczenia ogłoszenia zgłosiły swój udział w postępowaniu i udowodniły prawo do spadku pod rygorem pominięcia w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim, w Wydziale I Cywilnym toczy się postępowanie w sprawie I Ns 363/20 o stwierdzenie nabycia spadku po Bolesławie Siwaku, zmarłym 26 grudnia 1994 r. w Dobrem, ostatnio stale zamieszkałym w Dobrem.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w terminie 3 miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku po ww., gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postępowaniu o stwierdzenie nabycia spadku.

Sąd Rejonowy w Lubaczowie, I Wydział Cywilny, w sprawie I Ns 41/20 z wniosku Tadeusza Otulaka z udziałem Katarzyny Otulak, Ireny Banaś, Danuty Różańskiej i Stanisława Otulaka o stwierdzenie nabycia spadku po Janie Otulaku, s. Stanisława i Marii, żonatym, zmarłym 3 października 2017 r. w Lubaczowie, ostatnio stale zamieszkałym w Starym Dzikowie, ul. Kościuszki 33, wzywa wszystkie osoby roszczące sobie prawa do spadku, aby w terminie trzech miesięcy od dnia zamieszczenia ogłoszenia zgłosiły swój udział w postępowaniu i udowodniły prawo do spadku pod rygorem pominięcia w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym Lublin – Wschód w Lublinie z/s w Świdniku I Wydział Cywilny w sprawie o sygnaturze I Ns 342/20 toczy się postępowanie z wniosku Zofii Konowałek o stwierdzenie nabycia przez posiadacza samoistnego prawa własności nieruchomości położonej w miejscowości Klarów, gmina Milejów, oznaczonej w ewidencji gruntów i budynków, obrębu 0011 Klarów jako działka 148/2 o powierzchni 0, 84 ha, dla której księga wieczysta nie jest założona, wzywa wszystkich zainteresowanych, aby w terminie 3 (trzech) miesięcy od ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili i udowodnili swoje prawa do przedmiotowych nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie sąd stwierdzi nabycie prawa własności, jeżeli zostanie ono udowodnione.

NIE MA ZMIŁUJ

JAKUB JÓZEF ORLIŃSKI, KONTRATENOR:

Głos, który brzmi najpiękniej na ziemi, osiągamy trzy razy w roku, zwykle w ćwiczeniówce. Gdy nikt nas nie słyszy.

ANNA GOC: Czy Pan ma talent?

JAKUB JÓZEF ORLIŃSKI: Ludzie być może rodzą się z talentami, ale ja mam wrażenie, że na starcie mamy tylko uwarunkowania do bycia w czymś dobrym. I otoczenie, które może nam pomóc odkryć te umiejętności.

To dlatego wybrał Pan liceum plastyczne?

Myślałem wtedy tak: babcia ze strony mamy jest świetną architektką, pracowała w jednym z najlepszych warszawskich biur projektowych. Podobnie dziadek ze strony taty. Mama jest malarką, rzeźbiarką, tato – malarzem, grafikiem komputerowym. Druga babcia robi protezy, więc rzeźbi zęby. Być może i ja mam takie zdolności.

Ale nie wybrałem liceum plastycznego przy Smoczej, gdzie trzeba złożyć w teczce swój dorobek artystyczny z podstawówki i gimnazjum. Tylko żoliborskie, z profilem plastycznym. Myślałem, że rozbudzę w sobie talent plastyczny i będę mógł nad nim pracować.

Coś pozwalało mieć takie przeczucia?

Wręcz przeciwnie. Mam okropne, naprawdę strasznie brzydkie pismo, na co zwracali uwagę już moi nauczyciele z podstawówki. Z rysowaniem też nie było najlepiej. Ale pomyślałem: „Dobra, jadę z tym". Może się uda. Przecież nie ma nic za darmo, prawda?

Podobno z rzeźbą u Pana nie najgorzej.

Czuję figurę, bryłę w ręku. Gdy mieliśmy zajęcia z gliną, byłem w stanie coś zrobić. Ale bez większych sukcesów. Przez pierwsze półtora roku ambitnie studiowałem. Starałem się nauczyć różnych technik, dużo ćwiczyłem w domu, podpytywałem rodziców. Ale gdyby pani zobaczyła, co się wyprawiało na mojej sztaludze... To było skandaliczne. W klasie narodził się nawet rytuał: po dwóch godzinach rysunku wszyscy podchodzili do mojej sztalugi, żeby się trochę pośmiać.

Pan o tym mówi tak wesoło, że nie wiem, co myśleć.

Bo miałem cudowną klasę, więc i te prześmiewcze momenty wspominam pozytywnie. Sam się w końcu z siebie śmiałem. Choć to prawda, na początku trochę bolało. Nieprzypadkowo wyrzuciłem wszystkie swoje rysunki z tamtego czasu. Teraz trochę żałuję, trzeba było je zachować, mógłbym po jakimś czasie pokazać światu swoją radosną, acz bardzo kiepską twórczość.

Jak pierwsze nagrania, które Pan podobno trzyma?

Jestem z tych, którzy nie biadolą, kiedy im coś nie wychodzi. Nie pogrążają się przy każdej porażce. A porażek miałem przecież sporo. Od razu myślę, co mogę zrobić, jak wykorzystać nie najlepszą sytuację. Po to właśnie trzymam stare nagrania. Gdy myślę źle o swoim śpiewaniu, odpalam je i od razu jest mi lepiej. Wiem, od czego zaczynałem i gdzie teraz jestem.

W liceum zorientowałem się, że moje zdolności plastyczne raczej nie przerodzą się w żaden talent, i zdecydowałem, że będę zdawał na warszawski Uniwersytet Muzyczny. Miałem świetną nauczycielkę rysunku, więc postanowiłem wyznać jej prawdę. Przyjęła to na tyle dobrze, że odtąd na lekcji siedziałem na ↦

JAKUB JÓZEF ORLIŃSKI (ur. 1990 r. w Warszawie) jest kontratenorem, jednym z najwybitniejszych śpiewaków młodego pokolenia. Absolwent Uniwersytetu Muzycznego Fryderyka Chopina w Warszawie, prestiżowego programu dla młodych artystów: Akademia Operowa Teatru Wielkiego – Opery Narodowej oraz nowojorskiej Juilliard School, gdzie zdobył graduate diploma pod kierunkiem Edith Wiens.
Zwycięzca Grand Finals w 2016 r. Metropolitan Opera National Council Auditions. Laureat licznych konkursów wokalnych, m.in. Międzynarodowego Konkursu Wokalnego im. Marcelli Sembrich-Kochańskiej, Oratorio Society of New York's 2016 czy Międzynarodowego Konkursu Wokalnego Muzyki Dawnej.
W ostatnich latach otrzymał Koryfeusza Muzyki Polskiej 2018 w kategorii „osobowość roku" oraz Paszport „Polityki" w kategorii „muzyka poważna". Jesienią 2018 r. ukazał się jego debiutancki solowy album „Anima Sacra".
Zajmuje się także breakdance'em oraz innymi stylami tanecznymi, w czym również odnosi sukcesy.

GRAŻYNA MAKARA

FRANCE MUSIQUE / YOUTUBE

JAKUB JÓZEF ORLIŃSKI / YOUTUBE

Jakub Józef Orliński śpiewa arię „Vedro con mio diletto" z opery „Il Giustino" Antonia Vivaldiego podczas pokazu specjalnego Carrefour de Lodéon, Aix-en-Provence, lipiec 2017 r.

↦ środku z wielką książką o historii muzyki, a reszta rysowała mnie.

Oczywiście po trzech latach w plastyku byłem w tyle za wszystkimi, którzy chodzili wcześniej do szkół muzycznych, więc na uniwersytet się nie dostałem. Studiowałem w trybie płatnym i dopiero na trzecim roku mnie przyjęli.

Powtarza Pan, że kontratenorem może być każdy mężczyzna. I że talent wcale nie jest tu nadmiernie potrzebny. Jak to?

Każdy facet, który nie ma zaburzeń aparatu głosu, może być kontratenorem. To kwestia decyzji, jak chce używać swojego głosu. Trzeba nauczyć się wykorzystywać brzegi strun głosowych, czyli opanować technikę falsetową, a potem godzinami ćwiczyć, analizować i dbać o swój instrument, czyli o struny głosowe.

Jeśli od nich tak dużo zależy, trzeba się chyba z nimi bardzo polubić.

Sam dla siebie jestem instrumentem. Nie mogę po koncercie odłożyć strun głosowych do futerału. One są ze mną zawsze. Dlatego najważniejszą umiejętnością jest samoocena, samoanaliza, dobra znajomość siebie.

Muszę wiedzieć o sobie i o swoich strunach wszystko. Jakie mam alergie i czego nie powinienem jeść. Ile mam sił po koncercie. Czy mogę śpiewać w każdy weekendowy wieczór, czy tylko w piątek i w niedzielę. A jeśli zrobię próbę rano w Warszawie, to czy wieczorem w Krakowie mogę mieć drugą, z orkiestrą. Ciągle uczę się oceniać swoją wytrzymałość, która się zmienia, wyrabia latami.

Dochodzi stres, zmęczenie po podróży, praca z nowym materiałem, złe samopoczucie, bo coś się stało np. w rodzinie. Żeby sobie poradzić w takich gorszych momentach, korzystam z wyuczonych technik.

A predyspozycje?

Jakieś trzeba mieć. Ale nawet ci, którzy mają świetne predyspozycje, nie muszą niczego osiągnąć. Same predyspozycje nie zrobią całej roboty. Trzeba się zaangażować. Odpowiedzieć sobie na pytanie, czy o najbliższych dziesięciu godzinach pracy myślę z chęcią, czy raczej się do nich zmuszam.

Poza tym w zawodzie śpiewaka – podejrzewam, że podobnie jak w wielu innych – nie można o sobie powiedzieć: „jestem już dobrym/najlepszym śpiewakiem". Bo głos, wraz z rozwojem organizmu, cały czas się zmienia. Nasza praca to jest codzienne studium, którego nie da się odpuścić. Tysiące godzin siedzenia sam na sam w malutkiej sali, z której nikt nas nie słyszy, więc możemy się wyszaleć, wykrzyczeć i porządnie przeanalizować swój głos.

I co się tam dzieje, gdy nikt nie słyszy?

Nie jest żadną tajemnicą, że głos, z którego jesteśmy w stu procentach zadowoleni, o którym możemy wreszcie pomyśleć, że brzmi najpiękniej na ziemi, jest niczym nieskrępowany, osiągamy właśnie w ćwiczeniówce, gdy nikt nas nie słyszy. I to się dzieje średnio trzy razy w roku.

Oczywiście nie tylko w te trzy dni jest najpiękniej, a w pozostałe źle. Potrafimy śpiewać, korzystać z naszego fachu. Mówię tylko o doskonałości, którą osiągamy rzadko, zwykle w procesie. Czy to nie jest fascynujące?

Lubię proces, nie tylko w śpiewaniu. Gdy robimy operę, podglądam zza kurtyny. Dopytuję, dlaczego mamy takie oświetlenie, zagaduję kostiumografa o inspiracje. Chcę wiedzieć, jak nam się udało dojść do końcowego efektu.

Podobno do tej pory lubi Pan ćwiczyć w sali, w której jako dziewięciolatek zaczął Pan śpiewać w chórze Gregorianum.

Gdy jestem w Warszawie, uwielbiam pracować w sali chóru Gregorianum, do którego należałem przez dwanaście lat. Nie jest to ta sama sala, w której mieliśmy próby lata temu, ale uwielbiam tam siedzieć. Najlepiej, gdy mam na to kilka godzin, nieprzerywanych wywiadami, sesjami, spotkaniami. Wtedy jestem przeszczęśliwy. Gdy dzień jest poszatkowany, rwany, i tylko między różnymi sprawami próbuję znaleźć czas na ćwiczenia, jestem zestresowany, a raczej sfrustrowany. Dlatego chronię czas przeznaczony na ćwiczenia.

Berenika Jozajtis i Leszek Kubiak z chóru Gregorianum nauczyli mnie czerpać radość z muzyki. Być jak jeden organizm z tymi, z którymi występuję. Dzięki nim wiem, jak dopasować swój głos do innych wykonawców, sprawić, żebyśmy

Nagranie „Stay home”, kwiecień 2020 r.

POLISH CULTURAL INSTITUTE IN LONDON / YOUTUBE

Podczas koncertu w Wigmore Hall, Londyn, lipiec 2018 r.

brzmieli spójnie. A gdy śpiewam z innymi głosami, jak wejść moim kolorem w ich kolor. Potrafię zaadaptować się akustycznie do miejsca, w którym występuję. Mój organizm nauczył się, w jaki sposób pozycjonować dźwięk, by załapał akustycznie walory danego miejsca. Umiem ocenić, czego sala ode mnie wymaga, jakie może mi dać bonusy. A jeśli akustyka jest słabsza – sucha czy bardziej dudniąca, wiem, co mogę zrobić, żeby sytuację uratować.

To są umiejętności, które ludzie zdobywają latami, a ja je mam dzięki chórowi.

Co Pan robi, gdy słyszy dobrą muzykę?

Zamykam oczy. I kiedy ktoś mówi, że słuchając mnie też zamyka oczy, to dla mnie największy komplement. Jedni uchodzą w wymarzone krainy, inni, dzięki przymknięciu powiek, mogą się skoncentrować, skupić i analizować to, co słyszą.

Jestem człowiekiem dość emocjonalnym, nawet melancholijnym. Gdy śpiewam np. arię „Cara sposa” Rinalda, która jest lamentem za utraconą ukochaną, porwaną przez złą czarownicę, to staram się tym wszystkim mazać paletę emocji, które przekazuję słuchaczom. Ale nie chcę im narzucać swojej interpretacji, bo każdy może mieć w głowie obraz czegoś innego. Mam takie jedno wspomnienie – gdy byłem młodszy i słuchałem jakiegoś utworu Beethovena, myślałem o mojej babci i jej najlepszych na ziemi naleśnikach. Dzięki Beethovenowi czułem nawet ich zapach. Ale nie odważyłbym się powiedzieć pierwszemu skrzypkowi, żeby zagrał dla mnie pod te naleśniki.

Pan ma tremę?

Kiedy zaczynałem śpiewać, nie mogłem oddychać. Mój głos nie rezonował, nie odpalał. Kurczyłem się w sobie, miałem zaciśnięte wszystkie mięśnie. Straszne momenty, które trwały przez lata, ale na szczęście z biegiem czasu i wyrobieniem godzin na scenie w różnych sytuacjach to się zmienia. Nauczyłem się nad tym panować.

Oczywiście zawsze przed koncertem się stresuję. Wciąż się zdarza, że muszę sobie powtarzać „uspokój się”. Ale panuję nad tym. Wypracowałem rutynę, która pomaga mi przerabiać zwykły stres w streso-adrenalinę, a tę mogę wykorzystać. Ćwiczę fizycznie, breakdance i taką zmodyfikowaną jogę. Do tego mam całą masę ćwiczeń oddechowych. Oddech dla śpiewaka to 80 procent sukcesu.

Gdy znajomi śpiewacy opowiadają mi, jak bardzo stresują się przed koncertem, myślę, że gdybym tak miał, musiałbym zrezygnować z tego zawodu.

Ludzie, którzy są na widowni, od razu widzą nasz dyskomfort. Wysyłamy im energię. Przecież nikt nie chce oglądać koncertu, gdy wykonawca tak się ze sobą zmaga. „Pan tak lekko śpiewa – mówią mi dziś słuchacze po koncertach – jakby się pan przechadzał po łące”. To miłe, bo zależy mi na tym, żeby ludzie czuli lekkość i łatwość w tym, co słyszą, mimo że często są to piekielnie trudne rzeczy.

Doceniają dykcję?

Najmniejsze detale zauważają zazwyczaj ci, którzy znają się na muzyce. Też kiedyś nie wiedziałem, jaka jest różnica między łaciną włoską a germańską. I że to ma znaczenie. Dopiero w Juilliard School poznałem IPA, czyli International Phonetic Alphabet. To alfabet znaków odpowiadających za wymowę. Można go znaleźć w słownikach w nawiasach kwadratowych. Bardzo przydatne narzędzie do wykonywania takiego zawodu, jakim jest śpiew operowy.

Poza tym my, kontratenorzy, jesteśmy nadal takimi trochę produktami egzotycznymi. W Polsce nie ma nas za wielu. Jeszcze kilka lat temu, gdy wychodziłem na scenę, widziałem uśmieszki: „facet, a śpiewa jak kobieta”. Trudno się dziwić. Sam w podstawówce uczyłem się grać na cymbałkach i flecie, historii muzyki nawet nie tknęliśmy, więc skąd ludzie mają wiedzieć, że coś takiego istnieje. Na szczęście teraz jest szeroko dostępna wiedza, którą można znaleźć w internecie.

To częste reakcje?

Nieczęste i niestety zdarzały mi się tylko w Polsce. Bywało, że gdy występowałem w domu kultury, ktoś najpierw się dziwnie uśmiechał, a potem wychodził z koncertu. Ale wtedy nie śpiewałem najlepiej, może to dlatego? Było widać, że jestem facetem i zmagam się z tą materią. Choć w Niemczech czy we Francji, gdzie edukacja muzyczna wydaje się być na lepszym poziomie, z takimi reakcjami się nie spotykałem.

To się na szczęście zmienia, coraz częściej dostaję wiadomości od innych ↦

↦ kontratenorów, że studiują w Katowicach, w Poznaniu, w Łodzi. Pytają o moją drogę, a to miłe. Dobrze wiedzieć, że coraz więcej studentów decyduje się na ten rodzaj głosu, a ja zawsze z chęcią opowiadam i pomagam, ile mogę.

Gdy się staje w Carnegie Hall przed czterema tysiącami osób, presja jest chyba ogromna.

Na scenie często chodzi o poczucie własnej wartości, o uwolnienie się. Nie warto myśleć, ilu jest słuchaczy na widowni, i że to wystąpienie może być naszą jedyną szansą.

Jeśli się przygotowujesz i przygotowujesz, i przygotowujesz, to w końcu chcesz zapomnieć o wyuczonej technice i po prostu dać się ponieść. Pomyśleć: „*no risk no fun*". Korzystać z tego, że jesteś wśród ludzi i możesz się z nimi dzielić tym, nad czym pracowałeś miesiącami.

Na pewno pomogły mi w tym dwa lata w nowojorskiej Juilliard School. W Warszawie też zdarzają się ważne koncerty, pojawiają na nich ludzie, którzy decydują o karierach młodych śpiewaków. Ale to, co u nas się zdarza, w Juilliard jest od samego początku na porządku dziennym.

Najpierw próbował się Pan jednak dostać do filadelfijskiego Curtis Institute of Music. Jest lepsze?

Curtis jest dużo bardziej elitarne. O tym miejscu powiedział mi mój mentor, Eytan Pessen, który był moim nauczycielem w Akademii Operowej Teatru Wielkiego – Opery Narodowej.

Jeśli w Juilliard School jest 900 studentów, w tym instrumentaliści i wokaliści, to w Curtis zaledwie stu lub nieco ponad stu. Curtis jest więc od razu bardziej ukierunkowane, spersonalizowane.

Program, na którym mi zależało, trwa dwa lata. Można się na niego dostać po magisterce. W teczce składa się całe życie. Aplikację uzupełniałem przez miesiąc. Skany dotychczasowych koncertów, eseje, listy rekomendacyjne. Wszystko porządnie posegregowane i zredagowane.

No i jest to spory koszt: trzeba zapłacić za aplikację, za wizy, za loty. Na końcu zabrakło mi pieniędzy na hotel, na szczęście przenocował mnie znajomy znajomego. To było w lutym, straszliwie zimno. Spałem w śpiworku na pompowanym materacyku w przedsionku czyjegoś domu. Rano poszedłem do Curtis najszybciej, jak to możliwe, żeby się tam jeszcze przygotować i ogrzać.

Jak wyglądają przesłuchania?

Zapraszają maksymalnie 30 śpiewaków z całego świata. Są trzy rundy. Po pierwszym etapie zostaje 15 osób, po drugim sześć. W finale trochę się ze mnie śmiali, bo przyszedłem w czarnym garniturze z czarną koszulą, a śpiewaliśmy w black boksie, więc było widać tylko moją twarz.

Z tej finałowej szóstki wybierają jedną osobę. Po zakończeniu obrad dyrektor szkoły zaprosił mnie do swojego biura i powiedział, że mnie doceniają, że świetnie wypadłem na przesłuchaniach, ale rozmawiał z pedagogami i musieliby stworzyć specjalnie dla mnie wyspecjalizowany kierunek, bo dotąd nie robili żadnych projektów z muzyki dawnej. A na projekt, w który jest zaangażowana tylko jedna osoba, nie mają możliwości finansowych.

Byłem trochę zły, bo gdy wysyłałem aplikację, było już wiadomo, że jestem kontratenorem. Na wszystko: czyli loty w dwie strony, szybkie obejrzenie Nowego Jorku, dojazd do Filadelfii i przesłuchania, miałem sześć dni. Po powrocie byłem przez tydzień chory.

Z drugiej strony myślę o tych przesłuchaniach jak o introdukcji do Stanów Zjednoczonych. Co to jest za uczucie, gdy się wysiada z metra przy Central Parku i jest się w centrum tego wszystkiego. Nawet nie sądziłem, że będę tam kiedykolwiek studiował.

W Juilliard panuje whiplashowa atmosfera?

Nie do końca, ale rzeczywiście atmosfera często jest dość napięta. Pamiętam mój koncert z francuskimi piosenkami – kameralny, w środę wieczorem, w piwnicy, najmniejszej sali Juilliard. Rozejrzałem się po widowni, a tam Zachary Woolfe z „New York Timesa". W Juilliard nie ma wystąpienia, na którym nie byłoby kogoś bardzo ważnego. Presja jest duża.

Klimat szkoły potęguje nagromadzenie miejsc wokół niej: New York City Ballet, Metropolitan Opera House, Alice Tully Hall, kilka ulic dalej Carnegie Hall, Kauffman Center for the Performing Arts. Sanktuarium muzyczne.

Do tego studenci biorą udział w masie przesłuchań. Ciągle przyjeżdżają z zaproszeniami na najważniejsze festiwale: Salzburg, Monachium, Zurych, Londyn. Wystąpiliśmy z Michałem Bielem, pianistą, moim przyjacielem, który też dostał się do Juilliard, w co najmniej setce przesłuchań. Bez Michała byłoby mi tam bardzo ciężko.

W Metropolitan Competition wystartował Pan na pierwszym roku studiów. Czyj to był pomysł?

Na jednym z moich koncertów klasowych pojawiła się osoba z administracji tego konkursu. Po występie zasugerowała mojej nauczycielce śpiewu, kanadyjskiej sopranistce Edith Wiens, że powinienem wystartować.

Edith nie była przekonana. Pierwszy rok, czy na pewno? Ale w końcu powiedziała, że w sumie dlaczego nie?

Pierwszy etap konkursu jest w dystryktach, na które są podzielone Stany. Dys-

POŻEGNANIE

Żegnamy z wielkim żalem wybitną działaczkę społeczną

Ś.† P.

Izę Dzieduszycką

współzałożycielkę Ruchu i szkół Przymierza Rodzin,
wieloletniego członka władz Klubu Inteligencji Katolickiej
w Warszawie oraz opiekunkę grup młodzieżowych.

Żegnamy w niej naszą serdeczną przyjaciółkę
i niezwykłą animatorkę społecznych ruchów rodzinnych w Polsce.

Z. i A. Wielowieyscy

tryktów jest chyba ze 40. W mniejszych staje do konkursu, powiedzmy, 40 śpiewaków, w większych nawet 160. W zależności od wielkości do półfinałów regionalnych przechodzi jedna lub nawet kilka osób. Pierwszy etap udało mi się wygrać, dostałem zaproszenie na finał regionalny w Bostonie.

Konkurs znów był w lutym. Przyszła taka śnieżyca, że odwołali większość połączeń do Bostonu, w tym mój lot, a potem autokar. Złapałem ostatni i jedyny tego dnia pociąg. Byłem w Bostonie po północy. Taksówki nie jeździły, bo miasto było w śniegu po kolana, więc do hotelu szedłem dwa kilometry, przebijając się przez śnieg. Następnego dnia z samego rana miałem przesłuchania.

Emocje są duże, bo Metropolitan Competition jest traktowany jak rozgrywki ligowe piłki nożnej. Na każdym etapie sale są pełne.

Podobno trzeba nawet czasem uciszać publiczność, tak głośno kibicuje.

Jest zupełnie jak na meczu. Niesłychane uczucie, gdy nagle dwa tysiące ludzi klaszcze i krzyczy po twoim występie.

Byłem dość nowy na amerykańskim rynku muzycznym, więc nie do końca zdawałem sobie sprawę, jaką ten konkurs ma wagę. Gdy wygrałem w regionie, byłem szczęśliwy. Nie myślałem nawet o tym, że muszę przejść do kolejnego etapu. Chciałem dać z siebie wszystko, być zadowolony z wystąpienia.

Z mojego regionu do finału miała wejść jedna osoba. Jurorzy zaczęli od nagrody specjalnej, potem odczytali trzecie miejsce, drugie... Tak sobie siedziałem i myślałem, że trochę szkoda, nawet nagrody specjalnej nie dostałem. Nagle przeszli do pierwszego miejsca i przeczytali moje nazwisko. Wbiło mnie w fotel. Trząsłem się jak na pierwszym w życiu koncercie. Od razu zadzwoniłem do Michała Biela, który bardzo pomagał mi w przygotowaniach do konkursu.

Półfinały są na głównej scenie Metropolitan Opera. Wciąż mam przepustkę z moim zdjęciem i informacją, że jestem finalistą. Zachowałem ją sobie na pamiątkę. Całość jest tak zorganizowana, że można się poczuć jak w bajce.

Opowie Pan o tej bajce?

Pójść sobie do Metropolitan Opera do stołówki i zobaczyć, jak Elīna Garanča je jabłuszko, bo ma przerwę w próbie. Chodzić wszystkimi korytarzami zamkniętymi dla ludzi z zewnątrz. Zobaczyć całe zaplecze MET. Przecież to wszystko jest takie: „Łaaaa, zajebiście!". Energia rozsadza.

Podczas przesłuchań jurorzy siedzą na parterze. Pierwszy balkon zajmują zaproszeni goście: sponsorzy teatru, dyrygenci, agenci, ludzie biznesu muzycznego. Wyławiają talenty. Półfinały mogą być początkiem gigantycznej kariery, można stamtąd trafić do najlepszych teatrów i oper świata. Finału słuchają tysiące osób. Jest nadawany przez radio. Na widowni są cztery tysiące osób. Gdy się dowiedziałem, że jestem w finale, znów nie mogłem uwierzyć.

Przed finałem podnosił mnie na duchu Mariusz Kwiecień, fenomenalny śpiewak, występujący regularnie w Metropolitan Opera. Powiedział: „Jakub, robisz swoje, bez stresu". Dodał, że będzie z dużą polską grupą na widowni trzymał kciuki. Słyszał mnie z Michałem nie raz, więc chyba wiedział, co mówi, a miło mieć wsparcie od polskiej grupy w takim momencie.

Nie pomyślałabym nawet, że mogę wygrać.

> Na scenie często chodzi o poczucie własnej wartości, o uwolnienie się. Nie warto myśleć, ilu jest słuchaczy na widowni i że to może być nasza jedyna szansa. **I po prostu dać się ponieść.** Pomyśleć: „no risk no fun".

Po takim sukcesie wymagania rosną?

Po wygranej pomyślałem, że być może jestem więcej wart, niż o sobie myślę. I że mój głos jest lepszy od moich własnych recenzji.

Nie zmieniło się jednak to, że staram się kierować własnymi odczuciami i pomysłami, nie zwracając uwagi na to, czy one się komuś podobają, czy nie. Tak było z moją pierwszą płytą „Anima Sacra". Zależało mi na tym, żeby to była moja wypowiedź artystyczna. Nie chciałem być produktem wytwórni.

Stąd pomysł z przywróceniem do życia światowych premier sprzed stuleci?

Gdy studiowałem w Juilliard, Philippe Jaroussky, fenomenalny kontratenor, występował w Alice Tully Hall. Bardzo chciałem go zobaczyć na żywo. Po występie zapytałem Philippe'a, dlaczego wyszukuje światowe premiery. Przecież to kosztuje mnóstwo pracy, a i tak nikt ich nie zna. Odpowiedział, że to wszystko prawda, ale gdy już się uda przywrócić coś takiego do życia z orkiestrą, to uczucie jest nie do opisania. Miał rację, jest obezwładniające.

Praca nad płytą „Anima Sacra" trwała ponad rok. Codziennie wieczorem, po próbach, łączyłem się z Yannisem François, genialnym śpiewakiem z Gwadelupy, który wynajdywał dla mnie manuskrypty zapomnianych utworów. Potem godzinami opracowywaliśmy je na nowo.

Muzyka barokowa jest mi najbliższa. Jest w niej dużo wolności, kontrastu i olbrzymia dawka piękna. Takiego, na którym nie trzeba się specjalnie znać, by je odczuwać i utożsamiać się z nim.

Z pierwszej płyty jestem dumny. „Alla gente a Dio diletta" to utwór zupełnie nieznany, wynaleziony, a teraz śpiewam go na każdym koncercie i czuję, że już jest rozpoznawany.

Na drugiej płycie – „Facce d'amore" też jest sporo światowych premier, ale pojawiają się także sławniejsze i bardziej znane utwory. Na trzeciej, która jest już nagrana, ale będzie dopiero w tym roku, znów jest od groma światowych premier.

Wiadomo już, kiedy ma się ukazać?

Niestety nie, utrudnia to pandemia. Ale za to mam sporo niespodzianek na Wielkanoc i jesień tego roku. Będę zasypywał fajnymi rzeczami. Pandemia pokrzyżowała mi sporo planów, ale także otworzyła wiele nowych miejsc, do których nie bałem się zajrzeć. Tuż przed naszą rozmową dowiedziałem się np., że odwołano część mojej styczniowej trasy. Gdy dzieje się coś złego, staram się jak najszybciej przełożyć tę negatywną energię na coś pozytywnego i produktywnego. Dlatego w czasie pandemii siedziałem nad kartką, rysowałem bryły, uczyłem się cieniować. Nie odpuszczam, bo rysowanie jest umiejętnością, którą chciałbym mieć. Może jednak da się jej nauczyć?

©℗ Rozmawiała ANNA GOC

NICK PICKLES / GETTY IMAGES

Występ MF Dooma w pierwszym dniu festiwalu I'll Be Your Mirror, Londyn, 23 lipca 2011 r.

Wszystkie wcielenia rapera

JAN BŁASZCZAK

Zanurzony w tradycji, zrewolucjonizował hip-hop. Wcielał się w łotrów, ale o złotym sercu. Przez dwadzieścia lat ukrywał swoją tożsamość, a i tak stał się ikoną. Nikt nie wyglądał w masce tak dobrze jak Daniel Dumile.

W wierszu „Wypadek drogowy" Wisława Szymborska pisze o chwilach, które poprzedzają wiadomość o katastrofie. Tragedii, która już się wydarzyła, ale jeszcze nie jesteśmy jej świadomi. Oto więc ostatnie chwile beztroski, bo tuż za naszym polem widzenia zbierają się czarne chmury. Annuszka już rozlała olej.

Fani hip-hopu żyli w uchwyconym przez Szymborską momencie przez ostatnie dwa miesiące. Od 31 października do 31 grudnia 2020 r. – bo tak długo udało się ukrywać rodzinie Daniela Dumile'a informację o jego przedwczesnej śmierci. Być może utrzymanie tej wiadomości w tajemnicy było prostsze w roku pandemii, kiedy odwoływano festiwale i trasy koncertowe. Bez wątpienia było też o nią łatwiej w przypadku rapera, który przez ostatnie dwie dekady ukrywał się za komiksową maską i długą listą pseudonimów.

Wszystko to prawda, a jednak jest coś dziwnego w tym, że twórca tak istotny dla współczesnej popkultury, tak powszechnie uwielbiany, odszedł w zupełnej ciszy. Jego muzyka ekscytowała jak wcześniej. Płyty nie przeskakiwały w gramofonach, teledyski nie zacinały się znacząco. Dumile zmarł, ale jego liczne artystyczne wcielenia żyły jak dawniej.

Najbardziej znanym spośród nich jest MF Doom. Nie oznacza to wcale, że występując pod tym pseudonimem raper wypełniał stadiony, okupował szczyty list przebojów i zajmował plotkarskie portale. A jednak to właśnie MF Doom stał się ikoną hip-hopu. „Ulubionym raperem twoich ulubionych raperów" – jak o nim pisano. – MF Doom był dla mnie kluczową postacią, myślę, że był najważniejszy... – przyznaje Przemysław „1988" Jankowiak, producent znany z hiphopowej grupy Syny czy ubiegłorocznego duetu z Włodim. – Każda sesja z jego muzyką była dla mnie jak lekcja.

Być może musi minąć więcej czasu, by takie porównania były w pełni uprawnione, ale wypowiedzi takie jak powyższa skłaniają ku temu, by umieścić Dumile'a w jednej kategorii z zespołami takimi jak The Velvet Underground czy Fugazi. Grupami, które może same nie grały dla tłumów, ale inspirowały zastępy twórców, wliczając w to gwiazdy światowego formatu.

Dumile inspirował pokolenia urodzonych w latach 80. i 90. raperów zarówno za sprawą nieprzejednanej postawy, dopracowanego wizerunku, jak i autorskiej wizji rapu. – Kiedy coś wydawał, dawał mi gwarancję, że prawdziwy hip-hop wciąż żyje – wspomina Marek Pędziwiatr, pianista i kompozytor związany z zespołami EABS i Błoto. – Że można zachować jego surowość i piękną brzydotę pomimo tego, że technologia idzie do przodu i pozwala robić wymuskane brzmieniowo produkcje.

Idee, wizerunek, konsekwencja – to wszystko sprawy ważne, ale jednak dru-

gorzędne w zestawieniu z samą muzyką. Dumile nie wywarłby takiego wpływu, gdyby nie albumy, które po sobie zostawił. Przede wszystkim nagrane w duecie Madvillain „Madvillainy" – jedna z najlepszych hiphopowych płyt XXI wieku, która w dniu premiery przeszła do klasyki gatunku.

Zev Love X

Dumile był twórcą tak nieszablonowym, że jego kariera nie mogła toczyć się według branżowych prawideł. Podczas gdy wielu raperów osiąga gwiazdorski status w bardzo młodym wieku, ten nagrywał swoje przełomowe albumy mając 32-33 lata. Nie oznacza to bynajmniej, że późno zaczął przygodę z rapem. Kiedy wraz z bratem zawiązywali w Nowym Jorku grupę KMD, nie byli jeszcze pełnoletni. Nagrywający jako Zev Love X Dumile debiutował w samym środku okresu, który nie bez przyczyny określa się dziś mianem „złotej ery rapu".

Debiut KMD zatytułowany „Mr. Hood" wpisywał się w ówczesne trendy. To hip-hop momentalnie wpadający w ucho za sprawą funkowych i soulowych sampli. KMD, podobnie jak inne nowojorskie środowisko Native Tongues, w lekki sposób podejmowało ważkie, trudne tematy: rasizmu, uzależnień, potrzeby walki o lepsze jutro dla Afroamerykanów. – W końcówce lat 90. odkryłem płytę „Mr. Hood" – wspomina Pędziwiatr. – Uwielbiałem jej nieprzewidywalność. Wałkując w kółko numer „Figure of Speech" dowiedziałem się, kim był Malcolm X. Od tej chwili zacząłem się fascynować historią czarnej kultury w USA.

Tym, co wyróżniało grupę na etapie debiutu, było brawurowe sięganie po sample spoza świata muzyki. „Mr. Hood" wypełniają fragmenty programów telewizyjnych, nagrań edukacyjnych i bajek, na czele z „Ulicą Sezamkową". Warto też zwrócić uwagę na jeszcze jedną inspirację, która będzie wpływała na dalszą karierę Dumile'a – idee głoszone przez Nuwaubian Nation, które fascynowały liczne hiphopowe grupy tamtego okresu. Była to jedna z religijnych sekt, które wychodząc od islamu zabrnęły w historie o UFO i spiskowe teorie sięgające starożytnego Egiptu. Niezależnie od prywatnych poglądów rapera, ezoteryczne, quasi-religijne teorie Nuwaubian Nation niewątpliwie posłużyły mu później za tworzywo do budowania własnych wyimaginowanych artystycznych światów.

Kariera KMD skończyła się równie szybko, jak się zaczęła. Dwa lata po debiucie mieli gotowy nowy materiał. Tym razem nie zamierzali skrywać swoich poglądów za zasłoną humoru. Zarówno tytuł „Black Bastards", jak i rysunkowa okładka przedstawiająca lincz zapowiadały album bezkompromisowy. Zbyt bezkompromisowy, jak uznała wytwórnia Elektra, wstrzymując premierę. Zanim płytę odłożono na półkę, zespół już nie istniał. Kilka dni wcześniej brat Dumile'a – DJ Subroc zginął potrącony przez samochód. KMD zniknęło ze sceny. Wraz z nim rozpłynął się Daniel Dumile. Rzekomo nigdy nie przestał nagrywać, ale przez lata nie dzielił się efektami swojej pracy. Z tego trudnego, mrocznego czasu zrodził się MF Doom.

MF Doom

Kilka lat po tragicznej śmierci brata i odrzuceniu przez fonograficznego giganta Dumile zaczął pojawiać się na imprezach w klubach oferujących swoją scenę początkującym raperom. Aby zachować anonimowość, chwytał za mikrofon w zaciągniętych na twarz rajstopach. Po niedługim czasie *image* rodem z filmów o napadach na banki zamienił na ten, z którym będzie kojarzony do samego końca: założył maskę stylizowaną na komiksowego Doctora Dooma, przejmując po nim również pseudonim.

Wiele lat później raper podkreślał w wywiadach, że zasłonięcie twarzy było w zamyśle ruchem antysystemowym. Po latach społeczno-politycznego zaangażowania hip-hop końca lat 90. coraz mocniej się komercjalizował. Zakładając maskę, Dumile naiwnie wierzył, że odwróci w ten sposób uwagę odbiorców od siebie i przeniesie ją z powrotem na muzykę. Plan powiódł się połowicznie: raper rzeczywiście nie został gwiazdą w stylu Puff Daddy'ego czy Willa Smitha, niemniej komiksowy *image* zrobił z niego ikonę hip-hopu.

MF Dooma, jak i pozostałe postaci, w które wcielał się Dumile: Viktora Vaughna czy Kinga Geedorah, poznajemy jako klasyczne czarne charaktery, choć w zamyśle rapera bliżej im raczej do Robin Hooda – bohatera walczącego z systemem w imieniu ulicy. Ten obraz może przypominać wizję świata proponowaną przez Pięcioprocentowców – wyrosłą z islamu sektę bliską ideowo niektórym ↦

POŻEGNANIE

Ś.†P.

Andrzej Jordan-Rozwadowski

Z głębokim żalem zawiadamiamy,
że 21 grudnia 2020 r. w Toronto, Kanadzie
zmarł nasz ukochany kuzyn Andrzej w wieku 82 lat.

Pozostawił pogrążoną w smutku rodzinę,
żonę Barbarę i trójkę dzieci: Teresę, Pawła i Michała.

Urodzony we Lwowie,
człowiek bardzo rodzinny i serdeczny.

Wybitny inżynier, konstruktor, Vice President firmy Aecon.
Nadzorował projekty na całym świecie. Między innymi:
CN Tower w Toronto – najwyższą wieżę komunikacyjną,
porty lotnicze w Peru, Sri Lance i Toronto T3,
projekty irygacyjne w Indiach,
które polepszyły życie milionom ludzi.

Rozwadowscy, Komorniccy i Młodzianowscy

↦ hiphopowym składom lat 90. Według niej ludzkość dzieli się na trzy grupy: 85 proc. nieoświeconych, 10 proc. elit, które nie dopuszczają pozostałych do wiedzy, kontrolując świat, i wreszcie 5 proc. skonfliktowanych z establishmentem oświeconych, którzy dążą do wtajemniczenia i zrównania całej ludzkości. W tej ostatniej grupie znalazłby się oczywiście MF Doom.

Jego przygody po raz pierwszy trafiły na płytę w 1999 r., kiedy ukazał się album „Operation: Doomsday". Wydała go niewielka wytwórnia prowadzona przez „Bobbita" Garcię – jednego z najbardziej zasłużonych dla hip-hopu DJ-ów radiowych. Warto o tym wspomnieć, ponieważ stare audycje radiowe i sposób, w jaki miksowano w ich trakcie piosenki, zapowiedzi czy dżingle, mocno wpłynął na odrobinę chaotyczny charakter solowych płyt Dumile'a. – Miał nosa do nietypowych sampli, które wraz z jego wersami, ciętymi dialogami i charakteryzacją tworzyły ten kreskówkowy sznyt – tłumaczy Jankowiak. – Od strony produkcyjnej nigdy nie był to majstersztyk: bębny często brzmią płasko, a niektóre numery były niemal pozbawione basu. I właśnie za tę surowość tak je uwielbiałem.

Kompozycjom upstrzonym porwanymi dialogami i muzycznymi wtrętami towarzyszył głos Dumile'a, który w porównaniu do czasów KMD uległ znaczącej metamorfozie. Zrobił się niższy, jakby przybrudzony i lekko ociężały. Raper brzmiał czasem tak, jakby nie bez zmęczenia przedzierał się przez gęstwinę rymów, która coraz szczelniej oplatała jego kolejne wielkie płyty.

Madvillain

Jak wspominał Danny Brown, jeden z miłośników Dumile'a pośród raperów, słuchając pierwszych płyt MF Dooma czuł, że wypełnia je energia bohatera, który wraca, by się zemścić. Zapomniany, ba – odrzucony, chce pokazać innym miejsce w szeregu. Zarówno dowcip, którego pełno w wersach Dumile'a, jak i publikowane z nim wywiady każą mi wątpić w tak negatywne intencje. Niemniej reżim pracy, jaki narzucił sobie w pierwszych latach po powrocie, może wskazywać, że artysta chciał za wszelką cenę odzyskać stracony czas. Witał XXI wiek, nagrywając jak w transie.

Szczyt tej niezwykłej kreatywności przypadł na okres od czerwca 2003 r. do listopada 2004 r. W ciągu 17 miesięcy na rynku pojawiło się pięć albumów Dumile'a. Wśród nich trzy płyty entuzjastycznie przyjęte przez krytykę i jedna okrzyknięta arcydziełem przez aklamację. Ta ostatnia to „Madvillainy" duetu Madvillain, czyli rezultat współpracy MF Dooma z uznanym hiphopowym producentem Madlibem. Zróżnicowany stylistycznie, wypełniony samplami z płyt amerykańskich, indyjskich i przede wszystkim brazylijskich artystów album trzymają w ryzach poszatkowane w charakterystyczny dla obu twórców sposób dialogi filmowe oraz dudniący głos Dumile'a. Łączy je również brak tradycyjnych refrenów czy nawet powracających, wyrazistych fraz.

> Dumile brzmiał czasem tak, jakby nie bez zmęczenia **przedzierał się przez gęstwinę rymów,** która coraz szczelniej oplatała jego kolejne wielkie płyty.

We wprowadzającym w historię tytułowych arcyłotrów „The Illest Villains" zderzają się urywki m.in. „Dzikiego" z Marlonem Brando i „Frankensteina" z 1931 r. Towarzysząca im w tle kakofonia instrumentów sprawia, że utwór przypomina strojenie się orkiestry przed rozpoczęciem koncertu – porównanie tym bardziej na miejscu, że po 16 latach od wydania „Madvillainy" cieszy się statusem klasyka. Niewątpliwie zawdzięcza to wrażliwości i niezwykłemu słuchowi Madliba. Nie mniej ważne są tu jednak pisane przez Dumile'a zwrotki, które otworzyły nowy, osobny rozdział w historii rapu.

Wyłamujące się z typowych dla hip-hopu struktur opowieści MF Doom układał na swój własny, pogmatwany sposób. W zbliżającej się erze YouTube'a furorę robiły graficzne rozbiory utworów takich jak „Figaro", wskazujące wszystkie wewnętrzne i zewnętrzne rymy upakowane ciasno w pisanych przez Dumile'a linijkach. Raperowi nie chodziło jednak tylko o wynajdowanie podobnie brzmiących wyrazów. Złożone gry słowne, żarty, niszowe nawiązania – to wszystko sprawia, że pełne brawurowych hipotez i analiz komentarze pod utworami z „Madvillainy" czyta się jak forum miłośników „Twin Peaks".

Daniel Dumile

Ze względu na ten autorski sznyt i wyjątkową technikę „Madvillainy" błyskawicznie stało się ulubioną płytą raperów i hiphopowych producentów. Sława Dumile'a nie ograniczała się zresztą do tego środowiska. Jego płyty inspirowały kalifornijskich producentów muzyki elektronicznej z Flying Lotusem na czele. Pod wielkim wrażeniem jego sposobu operowania słowem był Thom Yorke, który w 2010 r. nagrał nawet oficjalny remix jednego z utworów MF Dooma. Duch jego surowych produkcji jest wyczuwalny u niektórych przedstawicieli młodej sceny jazzowej. Oprócz polskiego EABS można wskazać tu popularną kanadyjską grupę BadBadNotGood, która w mijającym roku spotkała się z Dumile'em w studiu nagrań.

Powszechnej estymie nie zaszkodziła ubiegła dekada, kiedy Dumile obniżył loty. Jego ostatni solowy album ukazał się w 2009 r. Od tego czasu nagrywał jedynie we współpracy z innymi twórcami, a rezultaty tych spotkań budziły mieszane odczucia. Echem odbiło się kilka gorzkich, demitologizujących hip-hop zdań, które Dumile – wydawałoby się, wielki romantyk – wypowiedział w wywiadzie. Komentarze wywołał również koncert, na który raper wysłał ubranego w maskę zmiennika. Wybaczono mu i to. Może ze względu na jego status na hiphopowej scenie, a może po prostu artyści, którzy zawsze podążają własnymi, czasem pogmatwanymi ścieżkami mogą liczyć na większą wyrozumiałość.

Kiedy kończę pisać ten artykuł, wciąż nie wiadomo, co było przyczyną śmierci 49-letniego rapera. Nie wiemy również, dlaczego żona Dumile'a tak długo czekała z podaniem informacji o jego zgonie. Niektórzy fani kolportują już plotki, że artysta tak naprawdę żyje, a uśmiercił jedynie swoje artystyczne *alter ego*. Pozostali są w żałobie. I kiedy czyta się te płynące zewsząd kondolencje, słucha spontanicznie nagrywanych hołdów i wyznań artystów, dla których Dumile był mistrzem, trudno nie odnieść wrażenia, że pod maską arcyłotra skrywał się prawdziwy superbohater.

© JAN BŁASZCZAK

HBO / MATERIAŁY PRASOWE

Julia Louis-Dreyfus jako Selina Meyer w serialu „Figurantka”

Koniec buziaczków

PIOTR TARCZYŃSKI

Wiceprezydentka o afroamerykańskich czy azjatyckich korzeniach, taka jak Kamala Harris, była nie do pomyślenia nawet dla ludzi zawodowo trudniących się wymyślaniem historii w Hollywood.

Żaden amerykański polityk nie aspiruje do roli wiceprezydenta, nie idzie do polityki z nadzieją, że zamieszka kiedyś w Number One Observatory Circle, a nie w Białym Domu. „Było sobie dwóch braci. Jeden wypłynął w morze, a drugi został wiceprezydentem i o obu słuch zaginął” – powiedział kiedyś Thomas Marshall, zastępca Woodrowa Wilsona. Miał sporo racji, o czym świadczy choćby to, że znaczna większość Państwa zapewne nigdy w życiu o Thomasie Marshallu nie słyszała.

Kamala Harris, która 20 stycznia 2021 r. zostanie pierwszą w dziejach Stanów Zjednoczonych wiceprezydentką, wyróżnia się na tle swoich poprzedników nie tylko płcią, ale i jamajsko-indyjskim pochodzeniem. Jest zaledwie trzecią kobietą, którą jedna z dwóch głównych partii mianowała kiedykolwiek na to stanowisko. Choć Amerykanie nigdy wcześniej nie mieli wiceprezydentki prawdziwej, popkultura pokazała im wystarczająco wiele fikcyjnych, by w zbiorowej wyobraźni zdołał się utrwalić pewien wizerunek wiceprezydentki.

Ty umierasz – ja przylatuję

Fikcyjni prezydenci z filmów, seriali, książek czy komiksów od lat kształtują wyobraźnię obywateli – kiedy myślą o prezydencie idealnym, widzą Josiah Bartleta z serialu „Prezydencki poker”, kiedy myślą o złym, widzą niegodziwego Franka Underwooda z „House of Cards”. A przynajmniej myśleli tak do niedawna, bo prezydentura Donalda Trumpa także i w tej kwestii okazała się przełomowa i przesunęła granice tego, co zwykło się uważać za wyobrażalne.

Amerykańska konstytucja daje wiceprezydentowi paradoksalną rolę – z jednej strony jest on pierwszą osobą w porządku sukcesji, „jedno uderzenie serca” od Gabinetu Owalnego. Z drugiej strony ma tylko jedno zadanie: przewodniczy Senatowi, a i to wyłącznie w teorii. Codziennymi pracami izby kieruje kto inny, wiceprezydent zaś fatyguje się tylko na uroczyste wydarzenia (np. zaprzysiężenie nowych senatorów). Jego głos liczy się jedynie w przypadku remisu, co nawet w dwupartyjnym systemie nie zdarza się tak często. Wiceprezydenci jeżdżą więc po kraju, przecinając wstęgi i wręczając odznaczenia, albo po świecie, reprezentując USA na królewskich ślubach, inauguracjach głów państw i pogrzebach. Jak to autoironicznie ujął George Bush senior w czasach, kiedy był zastępcą Ronalda Reagana: „*You die, I fly*” („Ty umierasz – ja przylatuję”).

Nic dziwnego, że wiceprezydenci rzadko są obiektem zainteresowania ↦

popkultury. „Vice", satyryczny film z 2018 r. o Dicku Cheneyu, jest tu potwierdzającym regułę wyjątkiem; tak samo zresztą jak sam Cheney, który jako zastępca George'a W. Busha zdołał sobie wykroić władzę znacznie większą niż którykolwiek z jego poprzedników.

Wiceprezydent może tylko wyczekiwać, aż jego szef zachoruje, umrze, zrezygnuje albo zostanie usunięty z urzędu. Od II wojny światowej zdarzyło się to trzykrotnie, więc jakaś szansa na to istnieje, ale nie jest duża. Nic zatem dziwnego, że w kulturze popularnej wiceprezydenci zajmują się najczęściej spiskowaniem przeciwko urzędującemu lokatorowi Białego Domu, w nadziei, że uda im się zająć jego miejsce. Tu znowu kłania się „House of Cards", gdzie najpierw wiceprezydent Underwood knuje przeciwko prezydentowi, a potem, kiedy zajmuje jego miejsce, sam staje się celem intryg... wiceprezydentki Underwood.

Kobiety w Białym Domu długo przynależały jednak albo do gatunku komedii, albo do sfery *science fiction*. W „Kisses for My President" („Buziaczki dla mojego prezydenta") z 1964 r. pani prezydent musi sobie radzić z emocjami męża, zazdrosnego o pozycję żony i ostatecznie – kiedy zachodzi w ciążę – rezygnuje ze stanowiska, albowiem dla kobiety priorytetem powinna być rodzina, nie kariera. W późniejszym o dwadzieścia lat sitcomie „Hail to the Chief" dowcip też ma polegać na napięciach między wymaganiami Białego Domu i domu rodzinnego – prezydentka musi sobie radzić z Sowietami, ale przede wszystkim z niewiernym mężem.

W książkach i filmach *science fiction* kobiety (tak samo zresztą jak Afroamerykanie) rządziły dopiero w przyszłości: lepszej, pozbawionej uprzedzeń, ale, niestety, odległej. Jeśli miały szczęście, nadzorowały kolonizację kosmosu, jeśli pecha – trafiał się im atak kosmitów, uderzenie meteorytu albo inna katastrofa. Kobieta w Białym Domu zaskakująco często łączyła się z widmem III wojny światowej: w „Alas, Babylon" Pata Franka, klasycznej powieści postapokaliptycznej z czasów zimnej wojny, kobieta zostaje głową państwa dopiero, kiedy nuklearna zagłada zabije wszystkich przed nią w porządku sukcesji prezydenckiej. W brytyjskim filmie „Whoops Apocalypse" Toma Bussmanna do wybuchu wojny doprowadza niekompetentna prezydentka, która objęła to stanowisko po gwałtownej śmierci poprzednika, skądinąd piramidalnego idioty.

Prezydentki rządzą dopiero w filmowej przyszłości.
Jeśli miały szczęście, nadzorują kolonizację kosmosu, jeśli pecha – trafia im się atak kosmitów albo uderzenie meteorytu.

Nie zmieniły tego wybory 1984 r., kiedy kongresmenka Geraldine Ferraro została pierwszą w historii kandydatką na wiceprezydentkę. Także dlatego, że Demokrata Walter Mondale – spodziewając się przegranej – postanowił, w symbolicznym geście, wybrać na zastępcę kobietę albo Afroamerykanina. Padło na Ferraro, która w kampanii musiała odpowiadać na pytania o to, czy jest „wystarczająco twarda", ale i o to, czy potrafi piec muffinki – paradygmat „Buziaczków dla mojego prezydenta" wciąż trzymał się mocno.

Widma Hillary i Sary

Prawie do końca XX wieku (wice)prezydentki były tylko przypisem, atrakcyjnym uzupełnieniem fabuły thrillerów politycznych. Musiało minąć wiele czasu, zanim popkultura wydała z siebie wiceprezydentki naprawdę kompetentne, choć wciąż ograniczone wąskimi horyzontami scenarzystów.

W filmie akcji „Air Force One" Wolfganga Petersena z 1997 r. wiceprezydentka Kathryn Bennett (Glenn Close) musi znosić seksistowskie uwagi rosyjskich terrorystów, którzy porwali samolot z prezydentem (Harrison Ford) na pokładzie, lecz także maczystowskie zachowanie członków gabinetu, którzy traktują Bennett protekcjonalnie, nieustannie próbując umniejszać rolę nie tylko jej osobiście, lecz także urzędu wiceprezydenta. Close wyznała niedawno, że według pierwotnego scenariusza jej bohaterka miała się rozpłakać na posiedzeniu sztabu kryzysowego. „Powiedziałam, że tego nie zrobię. (...) Moja wiceprezydentka nie będzie płakać, tylko stanie na wysokości zadania". Ostatecznie Bennett okazuje się mądrzejsza od wszystkich mężczyzn (z wyjątkiem bohaterskiego prezydenta, który własnoręcznie pokonuje terrorystów) oraz lojalniejsza niż reszta podwładnych.

Bennett nie cofa się przed odpowiedzialnością, ale jest tym rzadkim przypadkiem fikcyjnego zastępcy prezydenta, który nie ma ambicji i nie pragnie zdobyć władzy za wszelką cenę. Dopiero kiedy wiceprezydentki zaczęły spiskować przeciw swoim prezydentom, kiedy ich płeć przestała być „okolicznością łagodzącą", kiedy mogły przekonująco wystąpić w roli czarnego charakteru, zaczęły być w popkulturze symbolicznie równe mężczyznom. Nie, żeby nie było precedensów (jak wiceprezydentka, która okazuje się córką Hitlera i przywódczynią neonazistów), ale tak naprawdę dopiero w 2005 r. telewizja dała Amerykanom prawdziwą złą wice. Caroline Reynolds z popularnego serialu „Prison Break" robi wszystko, co dotychczas było zarezerwowane dla mężczyzn: chodzi na pasku złowrogiej korporacji, ukrywa seksskandal, a wreszcie truje prezydenta, żeby zająć jego miejsce.

W tym samym roku premierę miał też serial „Commander in Chief", gdzie po nagłej śmierci prezydenta jego stanowisko przypada bezpartyjnej wice, Mackenzie Allen (Geena Davis). Choć nie ma ona ambicji prezydenckich, w chwili próby okazuje się właściwą osobą na właściwym miejscu. Davis dostała za tę rolę nominację do Złotego Globu, ale serial miał słabą oglądalność i po jednym sezonie zawieszono jego produkcję – być może dlatego, że prezentował zbyt naiwną i uładzoną wizję amerykańskiej polityki, a może dlatego, że widzowie nie byli zainteresowani śledzeniem przygód pani prezydent.

Nad oboma serialami unosiło się jednak widmo Hillary Clinton, byłej pierwszej damy i senatorki z Nowego Jorku, o której planach prezydenckich już wtedy dużo się mówiło. Jej zwolennicy widzieli w niej Mackenzie Allen, kobietę twardą, odważną i bardziej kompetentną niż niejeden mężczyzna; przeciwnicy – żywą wersję skorumpowanej, niegodziwej i chorobliwie ambitnej Caroline Reynolds. Popkultura nie przewidziała sytuacji, w której kobieta będzie ubiegać się od razu o Biały Dom, z pominięciem etapu przygotowawczego w postaci wiceprezydentury. Ambicje Clinton wykraczały ponad to, co zwykło się uważać za dopuszczalne dla kobiety i m.in. dlatego wielu uznało ją za „zbyt ambitną", a przez

to „niebezpieczną", choć – przy wszystkich wadach Hillary – jeśli czemuś zagrażała, to przede wszystkim męskiej hegemonii w polityce.

Jakkolwiek Clinton nie zdecydowała się rzucić wyzwania Bushowi juniorowi w roku 2004, dość powszechnie uważano ją za liderkę wyścigu o nominację Demokratów cztery lata później. Niespodziewanie przegrała z Barackiem Obamą (pierwszym Afroamerykaninem w tej roli i pierwszym czarnym prezydentem w dziejach USA), ale rok 2008 uświadomił Amerykanom, że kobieta w Gabinecie Owalnym to perspektywa najzupełniej realistyczna, a nie żadne *science fiction* – i to nie tylko z powodu Hillary Clinton. Rywal Obamy, Republikanin John McCain, na swoją zastępczynię wybrał bowiem kobietę, w geście podobnym do Mondale'a ćwierć wieku wcześniej.

Wybór konserwatywnej gubernatorki Alaski, Sarah Palin, zgodnie z planem podekscytował wprawdzie konserwatystów (i media), ale szybko okazało się, że polityczna nowicjuszka jest kompletnie nieprzygotowana do roli numeru dwa – a co dopiero numeru jeden. Nie sposób zaprzeczyć, że obie kandydatki spotkały się z licznymi przejawami seksizmu (na różne sposoby, ale z obu stron sceny politycznej), jednak perspektywa Sarah Palin „jedno uderzenie serca schorowanego siedemdziesięciolatka" od Białego Domu przeraziła wielu Amerykanów (także Republikanów) z powodów merytorycznych.

Palin nie była wprawdzie pierwszą niekompetentną osobą ubiegającą się o wiceprezydenturę, ale w 2008 r. istniała uzasadniona obawa, że jej kompromitacja – oraz przegrana Clinton – zaszkodzą kobietom w polityce. Tak się jednak nie stało. Gwiazda Palin rozbłysła i zgasła (doczekawszy się licznych parodii w popkulturze), ale w każdych kolejnych prawyborach startowało coraz więcej polityczek i w 2016 r. Clinton została wreszcie pierwszą kobietą, którą jedna z dwóch głównych partii wskazała jako swoją kandydatkę na najwyższe stanowisko w kraju. Choć zagłosowała na nią większość Amerykanów, szklany sufit nie pękł za sprawą systemu elektorskiego, który oddał prezydenturę Donaldowi Trumpowi. Clinton przetarła jednak prezydencki szlak, którym podążyły inne polityczki, z Kamalą Harris na czele. Poniosła sztandar z hasłem „Możesz próbować dokładnie tak samo jak mężczyźni", choć pod spodem (wcale nie tak drobnym drukiem) widniało smutne uzupełnienie: „Licz się jednak z tym, że nawet w XXI wieku będziesz oceniana według innych standardów".

Kamala Harris dowiaduje się o wygranych wyborach w rozmowie telefonicznej z prezydentem elektem Joe Bidenem, Waszyngton, 11 listopada 2020 r.

INSTAGRAM / BEEM / EAST NEWS

Bo jest zbyt ambitna

Najciekawszą wiceprezydentką popkultury okazała się bohaterka serialu komediowego HBO „Veep" (2012-19), w Polsce znanego jako „Figurantka". To, co wyszło od starego motywu „przypadkowej wiceprezydentki", rozwinęło się w mroczną i wielopłaszczyznową (a przy tym szalenie zabawną) satyrę na Waszyngton. Wiceprezydentka Selina Meyer, brawurowo zagrana przez Julię Louis-Dreyfus, w pierwszych sezonach rzeczywiście jest jedynie figurantką: ignorowana przez prezydenta, próbuje wykroić sobie jakąś niszę, przekonać innych – i samą siebie – że jest do czegoś potrzebna i coś naprawdę znaczy. W kolejnych sezonach, kiedy nieoczekiwanie zasiada w Gabinecie Owalnym, wybija się na podmiotowość – tracąc przy tym jednak resztki człowieczeństwa.

Meyer od pierwszego sezonu jest bezideową cyniczką, ale z czasem staje się okropną osobą. Jest chorobliwie ambitna i rażąco niekompetentna, ale nie bardziej niż wszyscy mężczyźni wokół niej. Mimo że na każdym kroku spotyka się z seksizmem, jest mizoginką i nie czuje żadnej lojalności wobec innych kobiet – choć kiedy to dla niej wygodne, bez żadnych oporów wykorzystuje swoją płeć. Nic dziwnego, że krytycy z lewej strony określali „Veep" mianem serialu zarówno feministycznego, jak i antyfeministycznego.

Przy wszystkich zaletach „Veep" (a jest ich mnóstwo), w sytuacji, gdy pierwsza prawdziwa wiceprezydentka dopiero obejmie urząd, postfeminizm tego serialu to jednak trochę stawianie wozu przed koniem. O ile kultura popularna pomogła przygotować wyborców na nadejście czarnego prezydenta – pokazując Afroamerykanów zawsze jako przywódców kompetentnych i empatycznych – wizja kobiety w Białym Domu, nawet jako wiceprezydentki, zawsze była naznaczona uprzedzeniami. Tak samo jednak, jak wybór Obamy na prezydenta nie uczynił amerykańskiej polityki postrasową, tak samo dziś nie jest ona postfeministyczna.

Kobiety wciąż mają w polityce wyraźnie trudniej niż mężczyźni – zwłaszcza przedstawicielki mniejszości. To zresztą kolejny przykład na to, że kulturze popularnej brakuje wyobraźni: wszystkie wiceprezydentki w kinie czy telewizji były białe, tak jakby szok, że wiceprezydent nie jest białym mężczyzną, trzeba było widzom dawkować (postać czarnej prezydentki pojawiła się jedynie w zakończonym po pierwszym sezonie serialu „State of Affairs" z 2014 r.). To znamienne, że wiceprezydentka o afroamerykańskich czy wschodnioazjatyckich ↦

↦ korzeniach, taka jak Kamala Harris, była nie do pomyślenia nawet dla ludzi zawodowo trudniących się wymyślaniem historii.

Przed Harris niełatwe zadanie: jako pierwsza kobieta na tym stanowisku będzie siłą rzeczy kształtować wizerunek wiceprezydentki w zbiorowej wyobraźni. Każda kolejna kobieta będzie do niej porównywana, a ją samą oceniać się będzie surowiej niż jej poprzedników-mężczyzn. Widać to było już wyraźnie w czasie ubiegłorocznej kampanii prawyborczej Demokratów, w której brała udział rekordowa liczba kobiet. Senatorki Harris, Amy Klobuchar i Elizabeth Warren musiały nieustannie udowadniać, że są wystarczająco „sympatyczne", kwestionowano też ich kompetencje – choć doświadczeniem politycznym przewyższały nie tylko wielu kandydatów, lecz także dwóch ostatnich prezydentów.

Później, kiedy prawybory ostatecznie wygrał Biden, część doradców odradzała mu wybranie Harris na zastępczynię, miała być bowiem „zbyt ambitna" – co znamy doskonale z filmów i serialu, gdzie pozytywną bohaterką jest tylko wiceprezydentka ambicji pozbawiona. Na prawicy z upodobaniem opowiada się, że nowy prezydent nie doczeka końca kadencji, a jego ambitna wiceprezydentka tylko chyha na to, by zająć jego miejsce. Takie ryzyko istnieje zawsze, rzecz jasna, ale tu wpisuje się ono w narrację, którą znamy z popkultury.

Kamalę Harris czeka udowadnianie, że nie jest ani „figurantką", ładnym kwiatkiem do kożucha, ani owładniętą pragnieniem władzy maniaczką. Innymi słowy: że nie jest ani Sarah Palin czy Hillary Clinton, ani Mackenzie Allen, Caroline Reynolds, Claire Underwood czy Seliną Meyer, tylko Kamalą Harris, która otwiera nowy rozdział w dziejach Ameryki.

© PIOTR TARCZYŃSKI

RADIO KRAKÓW
Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | www.radiokrakow.pl

BENJAMIN LOEB / NETFLIX

Shia LeBeouf jako Sean i Vanessa Kirby jako Martha w filmie „Cząstki kobiety"

Częstotliwość drgań

ANITA PIOTROWSKA

Filmowa adaptacja „Cząstek kobiety", wystawionych w TR Warszawa, mogłaby stanowić przyczynek do rozważań o wyższości „kina w teatrze" nad „teatrem w kinie". Ma jednak swoją moc.

Kornél Mundruczó wędruje nieustannie między teatrem i kinem. Węgierski reżyser z równym powodzeniem pracuje na deskach scenicznych (patrz: głośne przedstawienia TR Warszawa, jak „Nietoperz" czy właśnie „Cząstki kobiety") i z kamerą (filmy „Delta", „Biały Bóg" czy ostatnio „Księżyc Jowisza"). Ale kamera lubi wkradać się u niego także na scenę, służąc czemuś więcej niźli tylko uatrakcyjnieniu czy unowocześnieniu spektaklu.

We wspomnianych „Cząstkach" pierwszy akt był czymś w rodzaju „transmisji na żywo" z domowego porodu, który odbywał się w pomieszczeniu obok. Widz teatralny, przykuty do wielkiego ekranu, miał wrażenie bezpośredniego uczestnictwa i nie mógł, w przeciwieństwie do partnera rodzącej, wyjść na papierosa przez ekran-ścianę. Trafia do nas tymczasem filmowa adaptacja sztuki Katy Wéber, napisana przez nią samą i wyreżyserowana przez Mundruczó. Mimo wielu swoich atutów mogłaby stanowić doskonały przyczynek do rozważań o wyższości „kina w teatrze" nad „teatrem w kinie".

Dziecko, które rodzi się w pierwszym akcie, chwilę potem umiera, toteż i spektakl, i film skupiają się przede wszystkim na tym, co psychologowie nazywają pracą żałoby. Tym razem kamera pozwala zobaczyć ją w bezlitosnym zbliżeniu: jak na przestrzeni kolejnych tygodni zdziera lakier z paznokci, jak strączkuje włosy, jak nagła utrata oddziela i oddala od siebie tych, którzy teoretycznie powinni przeżywać ją wspólnie.

Bo to nie tylko Martha (gra ją nagrodzona w Wenecji Vanessa Kirby) zostaje „osierocona". Żałobę przeżywa ojciec dziecka Sean (Shia LaBeouf), tracąca pamięć matka Marthy (Ellen Burstyn) czy siostra Anita (Iliza Shlesinger). Film nie pozwala zapomnieć również tej, którą oskarża się o śmierć noworodka, czyli położnej (Molly Parker), kierującej feralną akcją porodową w zastępstwie koleżanki. Jednakże na tytułowe „cząstki" rozpada się przede wszystkim matka

dziecka, a sygnał karetki pogotowia rozdziera film na dwie pozornie nieprzystające do siebie części.

W spektaklu, przypomnijmy, część „dokumentalna", porodowa, zderzona była z dłuższym aktem drugim, zrobionym w konwencji teatru mieszczańskiego, równocześnie rozsadzającym go od środka. Film niby stosuje ów podział, tyle że już bez cudzysłowu. No i bez cudownego tańca z szarfami w wykonaniu Marthy i Anity do piosenki „Felicità", który lepiej niż słowa opisywał siostrzaną relację. Problemem ekranowych „Cząstek kobiety" jest bowiem ich literalizm – by posłużyć się określeniem Olgi Tokarczuk.

W świetnej sekwencji wprowadzającej włączona przez Seana muzyka, która ma złagodzić bóle porodowe, rozlewa się znienacka poza kadr, melodramatyzując scenę narodzin, uwznioślając krew, pot, łzy i wody płodowe. Tak samo w wielu innych scenach kompozycje Howarda Shore'a będą łagodzić nasze bóle. Podobny, tautologiczny wydźwięk przynoszą rozsiane w filmie wizualne metafory: te wszystkie kiełkujące nasionka, zamknięte w słojach płody, obrazy natury, która w rytm pór roku obumiera i odżywa... Lepszą robotę wykonuje sama praca kamery Benjamina Loeba, o której ktoś powiedział, że snuje się niczym zagubiona dusza, jakkolwiek potrafi także skrupulatnie inwentaryzować żałobę, skupiając się na tym, co Martha zatrzymuje na moment w swoich wewnętrznych stop-klatkach.

Wyrwę, która pojawia się w filmie wraz z rodzinną tragedią, scenariusz próbuje wypełnić dodatkowymi wątkami: niewiernością w związku Seana i Marthy, holokaustową przeszłością jej matki, wreszcie – finałowym dramatem sądowym, który mógłby przynieść zadośćuczynienie straumatyzowanej rodzinie. Dołóżmy do tego iście bergmanowską dramę z udziałem matki i córki – to bardzo dużo jak na jeden dwugodzinny film, w dodatku rozpoczęty trzęsieniem ziemi.

Mimo tych utyskiwań, wywołanych w dużej mierze zbyt świeżą jeszcze pamięcią o spektaklu, ekranowe „Cząstki kobiety" mają swoją moc. Promieniuje ona przede wszystkim od Kirby, znanej u nas m.in. jako księżniczka Małgorzata w serialu „The Crown" czy z „Obywatela Jonesa" Agnieszki Holland. To właśnie filmowana w wielkich planach twarz młodej brytyjskiej aktorki potrafi najskuteczniej osłabić kierowane wobec tej historii zarzuty, jak żerowanie na silnych emocjach, eksploatowanie kobiecej traumy czy finałowe „hollywoodzkie" *katharsis*. Dzięki Kirby niemal wszystko, co w owej historii za bardzo się przelewa, można poddać dyskusji, w której argumentem będzie indywidualna wrażliwość tudzież własne przeżycia.

Podpowiedź, dlaczego niszowy europejski reżyser nakręcił film tak bardzo „amerykański", przynosi jego filmografia, gdzie było dotąd wiele miejsca na śmiały eksperyment, ale też na twórcze korzystanie z reguł gatunku. Świetnym tego przykładem niechaj będzie „Biały Bóg" – szarpiąca nerwy wizja totalitarnych Węgier, gorszym zaś okazał się „Księżyc Jowisza", łączący okołouchodźczą publicystykę z tanim realizmem magicznym. Jedno jest pewne: węgierski twórca umie obsługiwać potencjometr naszych emocji.

Przy filmie Mundruczó można również kręcić nosem na całkowite pominięcie politycznych różnic, które ujawniały się w wersji scenicznej; ledwo zarysowane zostało także napięcie klasowe między wykształconą rodziną Marthy a pracującym fizycznie Seanem. Ocala się jednak to, co najistotniejsze, czyli portret kobiety na krawędzi, a zarazem kobiety pod presją. Ta ostatnia słyszy zewsząd, jak powinna swoją żałobę przeżywać, w jaki sposób opłakiwać stratę, jak „wymazać" utracone dziecko, albo wręcz przeciwnie.

Przywołany podczas obiadu u matki kaznodziejski banał, że czas leczy wszelkie rany, kilkanaście minut wcześniej znajduje celną kontrę w potocznej definicji rezonansu: nie wszystko drga z tą samą częstotliwością, dlatego most czasami może się zawalić. Tak też jest z filmem Mundruczó, którego amplituda – od realizmu do fantazji, od dosłowności do metafory, od ściśniętego gardła do słownego patosu – bywa chwilami zabójcza, lecz ostatecznie nie prowadzi do katastrofy. ©

CZĄSTKI KOBIETY *(Pieces of a Woman) – reż. Kornél Mundruczó. Prod. Kanada/USA/Węgry 2020. Dostępny na Netfliksie. Spektakl TR online 30 i 31 stycznia o godzinie 19.00.*

WARTO ZOBACZYĆ

1. Kret w Korei

Dokumentalny, reż. Mads Brügger, Dania i inne 2020, vod.mdag.pl

Ta historia (opisywana na łamach „TP" w numerze świątecznym) brzmi niczym wymyślona intryga szpiegowska, ale jest skrzyżowaniem wieloletniego śledztwa, dziennikarskiej prowokacji i portretu większego niż życie. Oto niepozorny duński kucharz udaje wielkiego przyjaciela Korei Północnej i rozpracowuje brudne interesy Pjongjangu, mające globalny zasięg i takież powiązania.

2. Ema

Dramat, reż. Pablo Larraín, Chile 2019, Cineman i inne VOD

Ekstatyczny taniec, rozwydrzona dziewczyńskość, a do tego mocno „nieświęta" (choć dla niektórych skrycie konserwatywna) wizja współczesnej rodziny. Dla chilijskiego reżysera „El Clubu" i „Jackie" to jednak tylko punkt wyjścia dla stworzenia muzyczno-filmowego spektaklu. Reggaeton jest tu wyrazem zarówno indywidualnej kobiecej ekspresji, jak i politycznym przesłaniem.

3. Domek w górach

Thriller, reż. Veronika Franz, Severin Fiala, Wielka Brytania i inne 2019, HBO Go, Chili, Rakuten, iTunes Store

W bajkowej scenerii często budzą się demony. Dla twórców horroru „Widzę, widzę" są nimi rodzinne traumy i religijne obsesje, które wychodzą spod podłogi w przysypanej śniegiem chatce, na dodatek w świąteczny czas. Czy to dzieci próbują unicestwić nową macochę, czy też daje o sobie znać duch zmarłej matki? Zabawa filmowym gatunkiem sugeruje głębszą diagnozę.

4. Giń, 2020!

Mockument, reż. Al Campbell, Alice Mathias, USA 2020, Netflix

Miniony rok zasłużył w kinie na solidne egzorcyzmy, tymczasem autorzy „Black Mirror" żegnają go w konwencji satyry politycznej, skoncentrowanej na pandemii i sytuacji w USA. Wszystko to z udziałem znanych twarzy i masek, łże-ekspertów i statystycznych „przeciętniaków", a w rolach głównych Hugh Grant, Tracey Ullman czy Samuel L. Jackson.

JAN

Klata:

Wydarzenie pięcioosobowe

Nowy rok, nieco infantylnie nazwany ZOZI, rozpoczął się z przytupem, który nasuwa podejrzenia, że zaraz zatęsknimy za ZOZO, a zatem – na wszelki wypadek – piszę niniejszy felieton 38 grudnia 2020 r. Cóż to się nie dzieje wokół, istna parada atrakcji, a miał być sen zimowy byle do szczepionki, sen w kolejce, oczywiście. Ludzie jednak nie chcą śnić ot tak, ludzie chcą śnić w jakimś celu, choćby mglistym, więc wychodzą z domów, z „samoizolacji" – jak się teraz nazywa areszt domowy.

W miasto ruszyli na przykład Trzej Królowie. Każdy, kto liznął trochę dobrej literatury z happy endem, wie doskonale, że Trzej Królowie muszą wyjść z domów, żeby dojść, gdyż jeśli nie dojdą, to co z nich za Trzej Królowie, nieprawdaż? Więc Trzej Królowie wyszli, aby historia świata mogła się cyklicznie toczyć w tym naszym nowym, prawie nieużywanym roku 2021, wyszli w orszaku na plac Piłsudskiego... i zostali wylegitymowani. Policjanci ustalili tożsamość Trzech Króli, prawdopodobnie żeby wiedzieć, czy pouczają konkretnie Kaspra, Melchiora czy Baltazara, gdyż jeden z nich nie miał maseczki.

Hasłem tegorocznego orszaku Trzech Króli było „Panu dzięki oddawajmy", więc może policjanci chcieli uściślić, któremu z panów oddają – przecież było ich trzech, w każdym z nich inna krew, chociaż jeden przyświecał im cel. *Nota bene*, orszak Trzech Króli zost ał zarejestrowany jako wydarzenie pięcioosobowe, co pozwala mi matematycznie przypuszczać, że albo nie liczono nieletniego, albo z docelowego spotkania wykluczono św. Józefa, co byłoby jednak bardzo klasistowskie i przemocowe. Tak czy owak, dobrze, że policjanci zabezpieczali rejon. Spekuluję, że pilnowali wiadomych pomnikowych schodów, żeby królewski orszak o nie nie zawadził. Byłby skandal na cały świat. Dreszczyk emocji skończył się szczęśliwie i światowi monarchowie zostali lokalnie pouczeni, przyjmując czynności organów władzy ze zrozumieniem, które wskazywałoby, że multi-kulti jednak działa. ©

Lektor:

Siła krótkiej prozy

▪ *Katherine Mansfield*
OPOWIADANIA
Wybrała, przełożyła i posłowiem opatrzyła Magda Heydel.
Officyna, Łódź 2020, ss. 421.

Opowiadanie jako gatunek literacki wraca do łask, wracają też jego klasyczne dzieła. Katherine Mansfield (1888–1923) była odnowicielką tego gatunku; w Polsce tłumaczono ją już w latach międzywojennych i wznawiano po wojnie, teraz pojawia się w nowym przekładzie i z posłowiem doskonale wprowadzającym w jej biografię i twórczość, umieszczającym ją na mapie europejskiego modernizmu.
Jak przypomina Magda Heydel, w naszym dwudziestoleciu „życiorys błyskotliwej, wyzwolonej kobiety, anglojęzycznej pisarki o nowozelandzkich korzeniach, która umiera na suchoty w wieku 34 lat, był gratką dla uczestników i uczestniczek dyskusji światopoglądowych, jakie toczyły się w społeczeństwie przechodzącym przyspieszony (i boleśnie niedokończony) kurs modernizacji". Przyznaje też, że wydanie tomu opowiadań Mansfield było od kilku lat jej marzeniem. Wspaniale, że mogła je spełnić: nasz „kurs modernizacji" wciąż się przecież nie zakończył, a proza zeuropeizowanej Nowozelandki jest nie tylko rozdziałem w historii literatury i nie tylko (choć także) rozbitym na okruchy zwierciadłem swojego czasu.
Mistrzowskie, czasem zaledwie kilkustronicowe miniatury od pierwszego zdania wprowadzają nas w sam środek rzeczywistości widzianej z perspektywy bohaterów. Nie ma tu żadnych introdukcji ani zbędnych słów, choć lapidarna narracja dopuszcza obrazy zachwycająco malarskie. Jest wnikliwość psychologiczna, bezlitosna świadomość nie tylko urody świata, ale też jego śmieszności, niesprawiedliwości i okrucieństwa, a przy tym wrażliwość i współczucie dla tych, których to okrucieństwo dosięga: jak Ada Moss z „Filmów", sprzątaczka z „Życia Starej Parker" czy panna Brill z opowiadania pod tym samym tytułem.
Dwadzieścia trzy teksty pokazują skalę talentu autorki. Satyryczny obrazek „Niemcy przy stole" z debiutanckiego zbioru „In a German Pension" (1911), będącego efektem pobytu w bawarskim kurorcie, jest po prostu niebywale śmieszny. Podczas lektury „Córek świętej pamięci pułkownika" śmiech zamiera na ustach, bo bezradność dwóch starych panien osieroconych przez ojca-tyrana i ich szamotanie się w więzach konwenansów są bardziej przerażające niż komiczne. No i mamy w tym wyborze arcydzieła Mansfield osadzone w realiach jej nowozelandzkiego dzieciństwa: „Preludium", „Nad Zatoką" czy mój ukochany „Domek dla lalek". Wielka to jest pisarka. ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Cukier boli

Próg bólu. W sensie ścisłym to pojęcie z dziedziny fizjologii słuchu i neurologii oraz ochrony porządku publicznego – bo jednym z podstawowych praktycznych zastosowań zjawiska pojawiania się nieznośnego bólu przy pewnym natężeniu określonych dźwięków jest rozpędzanie zgromadzeń przez specjalne policyjne mega-szczekaczki. Każdy, kto w Warszawie napatoczył się w pobliże stadionu w dniu ważnego meczu albo szedł koło demonstracji związkowców, mógł zauważyć dziwną półciężarówkę z kosmicznie wyglądającym panelem na stojaku. Przy czym w Polsce stosowanie tej metody jest prawnie zakazane. Zresztą, jak zeszła jesień pokazała, do rozbijania marszów wystarczają dwudziestowieczne i dozwolone przepisami pała plus gaz.

Jest od niedawna inny obszar, w którym państwo narusza próg bólu obywateli. 10 zł i więcej za dużą butelkę coli. To jest bolesne. Przypuszczam, że bolesne równie mocno jak widok ważniaków, którzy kiedyś cielęcinę brali spod lady, a dziś szczepionkę bez kolejki, potem zaś zamiast powiedzieć wprost, że im się należało, mętnie się tłumaczą. Ktoś ponoć ich prosił na ambasadorów. Chyba królestwa Bajlandii.

Skąd to przypuszczenie? Z liczby i zjadliwości memów, dzisiejszych odpowiedników politycznych kawałów opowiadanych przy imieninowym stole albo przez gadatliwego taksówkarza. W pierwsze dni stycznia nie widziałem innego tematu, który jakoś by zahaczał o sprawy publiczne. Cola droższa i cenniejsza od alkoholu, zgrzewka coli jako lokata kapitału, puszka energetyku jako cenny klejnot, i tak w nieskończoność. Może to sprytny marketing wirusowy jednego z wielkich producentów, który chce utrwalić w głowach konsumentów przekonanie, że to brązowe świństwo pozostaje niezbędne do godnego życia.

A może nie trzeba szukać spisków i uznać, że autentycznie zabolało. Podatek cukrowy, bo o nim tu mowa, wszedł nareszcie w życie. Pamiętam, że był to jeden z wielkich tematów społecznych, jakie rozważaliśmy w redakcyjnym gronie równo rok temu – wtedy jeszcze, tuż przed pandemią, trwały boje legislacyjne z lobbystami i oczekiwano, że władza zdąży wprowadzić go od lipca. Potem się wszystko poprzesuwało, ale wreszcie jest.

Złoty dwadzieścia na litrze. Taki jest, zgodnie z nowym prawem, maksymalny wymiar kary za picie cieczy pozbawionej odżywczego sensu, która jest wyłącznie po to, by łechtać system nerwowy cukrem, kofeiną i niekiedy tauryną. Tylko uryny brakuje w tej wyliczance. Wydawałoby się to zgoła niebolesne: nawet w przypadku człowieka chętnego pić codziennie po dwa litry, danina wyniesie ok. 70 zł na miesiąc. Trzy i pół procent minimalnej płacy na rękę. Z pewnością grubo mniej niż później wspólnota wyłoży na koszty obsługi jego cukrzycy i stowarzyszonych schorzeń. A jednak, jak uczy ekonomia behawioralna, ważenie gołych liczb i procentów mało nam mówi o realnych ludziach i ich decyzjach.

Sądzę, że nagłe ożywienie internetowej *vox populi* na tę zmianę świadczy o tym, że władza dotknęła jednego z ważnych nerwów naszego zbiorowego ciała. Trąciła go w sposób najboleśniejszy, gołym skalpelem fiskalizmu. Sens podatkowej relacji poddanego z władzą wykracza daleko poza sam fakt poboru pieniędzy. Podatek, danina na rzecz cesarza, króla czy „budżetu", to archetypiczna forma ucisku, pokazywania, kto tu jest od wydawania nakazów i zakazów, a kto ma się ich słuchać, ukradkiem omijać lub kontestować w szturmie na Bastylie i Kapitole.

Także i wcześniej każda cola lub rozmaite napoje pseudoowocowe zawierały w cenie podatki – z vatem na czele, który dotyka boleśnie tylko końcowego spożywcę. Ale ludowe poczucie humoru wówczas spało. Obudziło się dlatego, że pojawił się nagle podatek specjalnie wycelowany. Podatek, czyli oznaka szczególnego zainteresowania władzy, przedsmak reglamentacji, zakazów, ograniczeń. Najpierw każą płacić 50 groszy, jutro zakażą sprzedaży dzieciom, a pojutrze... Jeden z memów przedstawia butelkę coli z nalepioną akcyzą i mówi to nam dwie rzeczy, które wystarczą za całe moje pisanie: naród czuje, że zbliża się koniec swobodnego dostępu do cukru, a budzi to w nim lęk, bo jest od tego cukru uzależniony jak od wódki. Albo i gorzej. ©℗

Jest gruba niekonsekwencja w zniechęcaniu podatkiem do picia coli i zostawianiu w spokoju batonów, wafli i różnych ich wariantów – słyszałem taki argument i całkiem się z nim zgadzam. Może władzy starczy odwagi, by pójść za ciosem. A my tymczasem wdrażajmy się w jedzenie rękodzielniczych batonów, które też potrafią zaspokoić uzasadnioną w zimie potrzebę słodyczy. Batonów lub kulek: co ulepimy z samodzielnie stworzonej masy, to już dowolna rzecz. Podstawą każdego zdrowego zapychacza są suszone daktyle, które ja wolę mieszać z suszonymi śliwkami. Z tym że staram się omijać te kalifornijskie, zbyt mdłe – na dobrych targach można znaleźć polskie suszone elektrycznie (tzn. nie wędzone, jak na kompot wigilijny). Moczymy ok. 300 g daktyli (lub pół na pół ze śliwkami), odciskamy, nie wylewamy wody. Miksujemy w blenderze, dosypując ok. 100 g wiórków kokosowych (2-3 łyżki) i szczyptę soli, dolewając trochę wody z moczenia, tak żeby uzyskać masę o konsystencji miękkiej plasteliny. Jeśli wydaje nam się za rzadka, możemy dogęścić paroma łyżkami płatków owsianych błyskawicznych. Potem dobrze wyrabiamy rękoma i formujemy blok, który ściśle owijamy papierem do pieczenia, schładzamy parę godzin w lodówce przed pokrojeniem. Niektórzy lubią dorzucać posiekane orzechy. A ja, ponieważ jestem już dużym chłopcem, zawsze dolewam łyżkę grappy lub ciemnego rumu.

GRAŻYNA MAKARA

ZMYSŁY

DOM OD NOWA

Z punktu widzenia filozofii przeprowadzki życie jawi się raczej jako serial niż film. Opowieść się nie kończy – bo zadomowienie nigdy nie jest ostateczne.

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Napiórkowscy są jak psy. W domu zawsze mówiło się, że koty przywiązują się do miejsc, a psy – do ludzi. Dlatego koty źle znoszą przeprowadzki, a psy nie mają nic przeciwko, byleby tylko wciąż dzielić życie ze swoimi. Nie wiem, czy to prawda. Nigdy nie mieliśmy kota, żeby się przekonać.

Mieszkałem w kawalerce i sporych mieszkaniach, w bloku z wielkiej płyty i domku jednorodzinnym, w samym centrum Warszawy i półtorej godziny od niego, w suterenie oraz pokoju na zapleczu apteki. Przez ponad rok pomieszkiwałem na innym kontynencie. W każdym z tych miejsc był mój dom, bo byli ze mną ci, których kocham. Wygląda na to, że po rodzicach odziedziczyłem psią naturę.

Ale są na świecie także ludzie koty, którzy mocno wrastają w swoje miejsca. To nie tak, że nie cenią więzi międzyludzkich. Być może pod pewnymi względami doceniają je nawet bardziej. Dla „kotów" bliscy są nie tylko ci, których możemy zabrać ze sobą – jak rodzina, przyjaciele i stali goście – lecz także sąsiedzi, pani ze spożywczaka albo nieznajomy co dzień widywany w tramwaju. Udomawianie świata to dla nich raczej wieloletni proces, a nie zuchwała decyzja. Z punktu widzenia człowieka kota miejsce staje się domem dopiero po latach codziennej krzątaniny. Taki dom to sieć trwałych więzi, pamięć osadzająca się w murach, ścieżkach i znajomych widokach. Szanuję ten długotrwały, bardzo koci rytuał udomowiania, który obcy jest większości psów.

Dom, czyli...

Ojczyznę opisuje się jako dom („Dom wszystkich Polska"), rodzina to też dom, a jakże. Obrazami szczęścia zamkniętego w czterech ścianach kuszą deweloperzy, markety budowlane, firmy farmaceutyczne (prześwietlone wnętrza, białe dekoracje, duże okna), a nawet browary (mieszkanie w półmroku, rozświetlone dwoma blaskami: z telewizora i lodówki). Także filozofia nie pozostaje obojętna na uroki domu.

Najstarsze znane teksty dotyczące domu były bardzo praktyczne. Dla Hezjoda czy Ksenofonta dom jest tym, czym jest. Gdy mowa o przędzeniu, gromadzeniu majątku lub hodowli owiec – chodzi o sprawne zarządzanie, a nie o jakąś głębszą rzeczywistość, którą owce miałyby symbolizować. A jednak czytając te dzieła łatwo dostrzec, że ich autorzy doskonale rozumieli także metafizyczny wymiar dobrego gospodarowania.

Po okresie archaicznym w filozofii domu zapanował okres klasyczny, trwający od Sokratesa (był chyba „kotem", bo wolał śmierć od wygnania) aż po wiek XIX. Dom stał się metaforą. Jako to, co bliskie i znane, służył do przystępnego wyjaśniania trudnych zagadnień. Symbolizował królestwo niebieskie lub ziemską ojczyznę, skomplikowany organizm ludzki, a nawet samą filozofię, chętnie przedstawianą jako gmach o wielu kondygnacjach czy pokojach.

SIMONE CASETTA / ANZENBERGER / FORUM

Wiek XX przyniósł jeszcze inne, nowoczesne oblicze filozofii domu. Ludzkie miejsce zamieszkania odkryto na nowo jako samo w sobie warte poznania i refleksji. Rozwój antropologii przyczynił się do wzrostu zainteresowania tym, jak mieszkamy. Idealnie nadawała się do tego fenomenologia. Jej głównym zadaniem było wszak wydobycie na światło dzienne tego, co zwykle skrywa się w mroku oczywistości.

Pięknym przykładem tego nurtu jest „Poetyka przestrzeni" Gastona Bachelarda – niezwykły esej, w którym autor opisuje dom jako stworzony przez człowieka model kosmosu. Rozpoczyna się opowieścią na płaszczyźnie uniwersalnej – udomawianie przestrzeni opisuje jako akt walki chaosu z kosmosem. Szybko przechodzi jednak do analizy niepozornych szczegółów codziennego życia – klamek, szuflad, kuferków... Opisywane przez niego domy – rzeczywiste i pożyczone z dzieł literackich – są przestrzeniami drobnych, praktycznych działań. Bachelard pokazuje proces wrastania ludzi w ich mieszkania. Wyjaśnia, jak to możliwe, że gdy chowamy do szuflady zwinięte w kulkę skarpetki, rozlokowujemy w domu także nasze wspomnienia. ↦

↦ U Bachelarda domy są miejscem niewidocznego, lecz dokonującego się nieustannie zapisu, na który składają się: wycieranie się dywanów, wyrabianie zawiasów, przepalanie żarówek czy szarzenie ścian. Dom to medium. To dziennik właściciela, jego autoportret, ale też zapis niezliczonych dialogów – gościnna przestrzeń, w którą wpisują się inni. Żywy dom pełen jest duchów.

Sprzątanie to szczęście

Mamy takiego Bachelarda i u nas, nad Wisłą. To Jolanta Brach-Czaina, której wspaniałe „Szczeliny istnienia" łączą konkret i uniwersalność w sposób niczym nieustępujący klasycznemu esejowi Francuza. Brach-Czaina opisuje sprzątanie kuchni: stos piętrzących się w zlewie naczyń, ich tłustą powierzchnię, nieprzyjemne uczucie, którego doświadczamy sięgając po pływające w brudnej wodzie statki. Ale przedstawia też kuchnię sprzątniętą – czasowy triumf porządku nad chaosem.

Dla autorów uczących nas uważności wobec praktyk zamieszkiwania dom jawi się jako maszyna do przekładania kategorii metafizycznych na drobnostki codziennej krzątaniny i z powrotem. Filozofia domu odbywa się poprzez codzienne gesty, lecz dotyczy spraw najważniejszych, rzec by można – ostatecznych. „Brud w mieszkaniu. I bałagan – czytamy w „Szczelinach istnienia" – to są znaki stałej obecności sił niezależnych i kierujących domem mimo walki, jaką z nimi prowadzę. Bez końca. Właściwie już dawno bym powinna poddać się, skoro tylekroć widziałam dowody ich mocy i nieograniczonej zdolności odradzania się. Doprawdy trudno powiedzieć, dlaczego mimo jawnej słabości nie stać mnie na pełną rezygnację. (...) Tak jakby moja obecność w domu była uzależniona od uczestnictwa w walce, z której nie wolno się wycofywać, choć trudno wierzyć w zwycięstwo".

W ostatnich latach narodził się nurt filozofii domu, na powrót czyniący przedmiotem zainteresowania całkiem niemetaforyczne sprzątanie mieszkania. Szokująco popularna „Magia sprzątania" Marie Kondo czy książki Joshuy Fieldsa Millburna i Ryana Nicodemusa – głosicieli modnej filozofii minimalizmu – pełne są porad o składaniu skarpetek i pakowaniu pudeł. To najmłodsze pokolenie filozofów domu faktycznie wierzy, że odpowiednie techniki sprzątania czy urządzania wnętrz są kluczem do szczęśliwego życia.

Hezjoda naprawdę interesowało sprzątanie. Dla Platona było pretekstem do opowieści o porządku świata. Dla Bachelarda czy Brach-Czainy – opowieścią i światem samym w sobie. Dla Marie Kondo sprzątanie znów jest sprzątaniem. Filozofia domu zatoczyła koło.

Świat na nowo

Jak jednak na fundamencie filozofii domu zbudować filozofię przeprowadzki? Wyzwanie polega na przejściu od domu do domów, od jednorazowości i totalności aktu udomawiania do szeregu następstw, który układałyby się w ludzkie biografie z ich cyklicznością, a zarazem siecią splątanych, rozwidlających się ścieżek.

Z punktu widzenia filozofii przeprowadzki życie jawi się raczej jako serial niż film. Tu chaos oswajany jest cyklicznie. Żadne rozwiązanie nie ma charakteru permanentnego, bo w kolejnym odcinku pojawią się: nowy kryzys i nowe wyzwania. Opowieść nigdy się nie kończy, zadomowienie nigdy nie jest ostateczne.

Dom oglądany z perspektywy przeprowadzki zmienia się w czasownik. To coś, co się robi. W miarę udomawiania przestrzeni odkrywamy także przymiotnikową naturę domu (gdy pewne rzeczy stają się domowe), a nawet naturę przysłówkową, gdy dom staje się sposobem robienia czy wręcz – jak rzekliby fenomenologowie – bycia w świecie.

Nawyki i przedmioty stają się domowe. Są też domowi ludzie – domownicy. Po kataklizmie przeprowadzki świat konstytuuje się na nowo.

Można więc sformułować pierwszą regułę filozofii przeprowadzki: przeprowadzka jest wydarzeniem metafizycznym, definiowanym przez swój cykliczny charakter. Okazuje się jednym z nielicznych w naszym życiu doświadczeń rzeczywiście bliskich temu, co badacz mitów Mircea Eliade nazywa „cyklicznym powtarzaniem aktu stworzenia świata". Jeżeli dom faktycznie jest przestrzenią nieustannego starcia między kosmosem i chaosem, to przeprowadzka jest zawsze założeniem nowego kosmosu, a zarazem przyznaniem, że żaden porządek nie jest ostateczny. Staje się tym samym najradykalniejszym, najbardziej ludzkim wyzwaniem rzuconym entropii. Zuchwałym aktem rozpoczęcia całkiem od nowa z pełną świadomością, że nic nie trwa wiecznie.

Odwieczny cykl

„– Urodziłem się w Austrii, ale dzieciństwo spędziłem w Rumunii. Całe dorosłe życie mieszkałem w ZSRR, a wygląda na to, że umrę w Ukrainie.

– Toście, dziadku, sporo podróżowali!

– A skąd! W życiu się nie ruszyłem z tej wsi!".

Ta anegdota o starym człowieku z okolic Czerniowiec jest wyjątkowa. Ale nawet ona nie przeczy kolejnemu prawu filozofii przeprowadzki: historia każdego życia ludzkiego to historia przeprowadzek. Ilekroć powtarzamy: „nigdy nie opuścił swego ukochanego Królewca" albo „całe życie mieszkał pod jednym adresem", podkreślamy tylko wagę tego prawa przez zaznaczenie wyjątku od reguły.

Kolejne rozdziały życia wyznaczane są rytmem przeprowadzek. Badania socjologiczne pokazują, że dynamika ta ma swoją strukturę. Przeprowadzka przeprowadzce nierówna.

Nasza obecność na świecie zaczyna się od przeprowadzki. Można zaryzykować stwierdzenie, że każda kolejna zmiana miejsca zamieszkania jest symbolicznym powtórzeniem aktu narodzin. Tym właśnie tropem podąża Bachelard, pisząc o sentymencie, jaki wielu pisarzy żywi wobec swych najdawniejszych domowych wspomnień: „Dom najwcześniejszego dzieciństwa interesuje nas tak żywo, daje on bowiem świadectwo schronieniu jeszcze dawniejszemu". Dom dzieciństwa to miejsce, do którego wracamy – w sposób dosłowny lub wspomnieniami – jako do miejsca, które było zawsze, a zarazem celu naszej najpierwszej przeprowadzki.

Wejście w dorosłość, niczym plemienny rytuał przejścia, zaznaczone jest zwykle kolejną przeprowadzką. To wyprowadzka „na swoje", symbolizująca początek życia „na własny rachunek". Jest to wyzwanie zarówno dla dorastających dzieci, jak i dla rodziców, którzy zmierzyć się muszą z syndromem opuszczonego gniazda. Jego kontrapunktem staje się „wicie gniazda" przez młodą parę, często przygotowującą się na przyjęcie własnego potomstwa, rozpoczynając tym samym kolejny cykl przeprowadzek. Ścieżki rodziny rozwidlają się.

Ci, którzy pozostali w starym domu, muszą zmierzyć się z własnym wyzwaniem. Jego horyzontem są zwykle ambitne plany. „Teraz nareszcie mamy czas" ma spotkać się z „teraz nareszcie mamy przestrzeń". Niestety, życie układa się często zupełnie inaczej. Zwolnione pokoje po dzieciach, które miały stać się gabinetami, biblioteczkami, warsztatami albo wymarzoną przestrzenią do uprawiania zawieszonego przez lata hobby, pozostają niezamieszkałe i stopniowo wypełniają się niekontrolowanym chaosem. „Wciąż za mało czasu" napotyka „zbyt wiele przestrzeni". Mieszkanie czy dom dopasowany rozmiarami i wyposażeniem do wychowywania dzieci staje się nagle pusty i niefunkcjonalny. Nadchodzi pora, by rozważyć następną przeprowadzkę, którą w fachowej literaturze socjologicznej określa się jako *downsizing*, czyli pomniejszanie.

Nie zaczynamy od zera. Im bardziej adres jest nowy, tym bardziej my **jesteśmy wciąż ci sami.**

Kolejny etap to moment, gdy nie możemy już dłużej mieszkać w swym dawnym mieszkaniu. Konieczna okazuje się przeprowadzka „do dzieci", która staje się odwróceniem „wyfruwania z gniazda", do nowego mieszkania bliżej nich, a czasem do specjalnego ośrodka lub szpitala. Badania socjologów i psychologów podkreślają wielkie wyzwanie, jakim jest ta przeprowadzka. Jest wiele mądrości w przysłowiu, które mówi, że nie przesadza się starych drzew. To przeprowadzka przedostatnia. Potem każdego z nas czeka już tylko jedna, ta ostateczna.

Oczywiście nie wszyscy przechodzą przez ten konwencjonalny cykl przeprowadzek. Są wśród nas nomadowie, przeprowadzający się nieustannie i co roku rozpoczynający nowy rozdział życia w nowej przestrzeni. Są i tacy, którzy – jak w przykładzie otwierającym ten fragment – całe życie przemieszkają pod jednym adresem. To model przydatny do prowadzenia badań, projektowania polityki mieszkaniowej czy systemów opieki społecznej, ale tylko model. Różnorodność indywidualnych przeprowadzkowych biografii zawsze będzie go przerastać i rozsadzać. Nic tu nie jest pewne. Poza, oczywiście, pierwszą i ostatnią przeprowadzką.

W poszukiwaniu lepszego życia

„Trzykroć przeprowadzała się matka Mencjusza" – za popularnym chińskim przysłowiem kryje się ciekawa opowieść.

Otóż kobieta mieszkająca nieopodal cmentarza pewnego dnia dostrzegła, jak jej syn bawi się w grabarza. „To nie jest miejsce dla mojego dziecka!" – stwierdziła i przeprowadziła się w pobliże targu. Tam z kolei jej syn zaczął w zabawie odgrywać rolę handlarza. „To także nie jest miejsce dla mojego dziecka!" – zawyrokowała ambitna matka i po raz kolejny spakowała cały ich dobytek, tym razem przenosząc się w okolice szkoły. Tam jej syn, jak czytamy, zaczął bawić się w sprawowanie ofiar dla przodków, a także głośno powtarzać pełne szacunku pozdrowienia, jakie wymieniali między sobą nauczyciele i uczniowie. „Oto jest właściwie miejsce dla mojego dziecka!" – stwierdziła zadowolona kobieta. Jej syn wkrótce sam zaczął uczęszczać do szkoły, by wyrosnąć na jednego z najwybitniejszych chińskich filozofów. Mengzi, w Europie znany pod zlatynizowanym imieniem Mencjusz, szczególnie wiele uwagi poświęcał wychowaniu, edukacji i porządkowi. Matczyne nauki nie poszły na marne.

Choć historia matki Mencjusza spisana została w I w. p.n.e., jestem pewien, że wielu rodzicom wyda się nadzwyczaj aktualna. Wprawdzie zjawisko „szkolnych przeprowadzek" nie jest u nas aż tak rozpowszechnione jak w USA, gdzie ceny nieruchomości w znacznej mierze pokrywają się z mapami dystryktów szkolnych, ale i w Polsce chęć zapewnienia lepszej przyszłości swoim dzieciom powoli staje się jedną z ważniejszych motywacji do przeprowadzek.

Gdy więc mówimy o dobrych okolicach i złych okolicach, przyznajemy, że miejsce, w którym mieszkamy, w jakiś sposób kształtuje nas i definiuje. Nie tylko my urządzamy swój dom. On także urządza i meblu je nas po swojemu. Nie tylko my wpływamy na swoją okolicę, stając się członkami lokalnej wspólnoty. Okolica wpływa też na nas. W miarę jak udomawiamy pewną przestrzeń, przestrzeń niepostrzeżenie udomawia nas.

Ale matka Mencjusza nie była tylko przedmiotem kolejnych przeprowadzek – była ich sprawczym podmiotem, aktywnie poszukującym lepszego losu dla siebie i dziecka. Tak więc, poza powtarzalnym cyklem przeprowadzek, istnieje też ludzka sprawczość. Filozofia przeprowadzek musi zrozumieć pragnienia, nadzieje i lęki ukrywające się za każdą decyzją o zmianie miejsca zamieszkania; dostrzec, co ciągnie ludzi w nowe miejsce, ale też – co wypycha ich ze starego. Wszak historie przeprowadzek to także opowieści o nieoczekiwanych eksmisjach, wypowiedzianych umowach najmu, a nawet ucieczkach przed prześladowaniem czy bombardowaniami. Każda przeprowadzka stanowi zderzenie przypadku i wyboru w różnych proporcjach. Idziemy tam, gdzie rzuca nas los, ale przeprowadzając się zawsze stajemy się też jego kowalami.

Kim my jesteśmy?

Wróćmy jeszcze do „psów" i „kotów". Znam domy ludzi kotów. Miejsca udomowione tak, jak to tylko możliwe. Adresy, gdzie historia wsiąkła w ściany tak głęboko, że można by je wyżymać, przelewać zawartość do wiaderek i wypełniać nimi kolejne tomy wspomnień. Takie osoby często obawiają się przeprowadzki, bo czują, że ich tożsamość zaklęta jest w rzeczach i miejscach, których nie sposób zabrać ze sobą. To chyba nieprawda. Jeżeli proces udomowienia faktycznie jest zwrotny, jeżeli nie tylko my oswajamy rzeczy, domy, a nawet dzielnice, ale także one oswajają nas, to ryzyko pozostawienia czegoś ważnego za sobą nie jest aż tak wielkie, jak mogłoby się wydawać. To, co najważniejsze, zawsze podążać będzie za nami.

Żadna przeprowadzka nie jest łatwa. Każda jest tytanicznym wysiłkiem budowania kosmosu i wyzwaniem rzuconym chaosowi. Nigdy jednak nie zaczynamy od zera. Im bardziej adres jest nowy, tym bardziej my jesteśmy wciąż ci sami. To właśnie nasza tożsamość jest warunkiem przeprowadzki. W akcie przeprowadzki to my stajemy się gwarantami ciągłości świata niczym Eneasz, Atlas czy jeden z ich odpowiedników rozsianych po mitologiach całego świata.

W ten sposób każda przeprowadzka definiuje nas jeszcze bardziej. Nie rozmywa tego, kim jesteśmy, lecz podkreśla. Żeby przenieść wszystko, co istotne, musimy uświadomić sobie i przemyśleć swoje wartości.

Zaczynamy nowy rozdział. Zabieramy ze sobą tylko to, co ważne!

© MARCIN NAPIÓRKOWSKI

STANISŁAW

Mancewicz:
Ludzie w futrach

Warszawska afera ambasadorska, nawijająca się w sposób – przyznajmy – atrakcyjny, a wciąż przecież mająca potencjał sceniczny, spadła właśnie z hukiem z afisza, czy – jak kto woli – zgasła jak świeca. Zgasił ją podmuch szalonego amerykańskiego widowiska, będącego brutalną odpowiedzią na nasze naiwne próby robienia niepokojącego moralnie teatru na wschodnioeuropejskim poziomie.

Nie da się ukryć – do stu tysięcy zjełczałych dawek szczepionki na COVID-19 – że możliwości amerykańskie, jeśli idzie o rozmach w każdym sensie, zwłaszcza w rozrywce, są jednak nieograniczone. Nasze scenariusze, scenografie, zasoby – za przeproszeniem – ludzkie, nasze deklamacje i melorecytacje są szalenie kameralne. Są one, powiedzmy sobie szczerze, rozdzierająco lokalne i tylko takoż zrozumiałe. Nasze próby zglobalizowania rodzimej rozrywki wychodzą zawsze smętnie i przyznajmy się: taka opinia to wcale nie samobiczowanie bądź wypluwanie kompleksów w efekcie noworocznego przepicia. Tak jest po prostu od wieków. Nie da się zdobyć Hollywood tak konstruowaną dramaturgią, nie da się tym porwać widza skądinąd niż z Mazowsza czy Kujaw. Bo do tego potrzebne jest to coś, jakiś prosty przemawiający motyw, jakiś myk tu wszystkim umykający, ot, choćby przebranie się za bizona, a nie – pardon – za ambasadora.

A więc szturm na Kapitol był w każdym sensie wydarzeniem niezwykłym. Charakteryzacja i kostiumy szturmujących w niewiele ponad kwadrans weszły do klasyki ikonografii, w której mamy i wizerunki marynarzy kronsztadzkich, i ludzi zdobywających Pałac Zimowy czy ongiś Bastylię. Ktoś mniej niż mało zorientowany historycznie zechce tu zapewne wtrącić swe trzy grosze i dopisać na przykład szturm na galerie handlowe, magazyny meblowe bądź salony pielęgnacji bród po lockdownie. Okej, niech będzie. Oczywiście natychmiast zgodzimy się na tę parabolę, bowiem uważamy, że każda jest dobra, póki coś żywo ilustruje, i nie jest nadmiernie wulgarna.

Popatrzmy: brodaci ludzie w futrach, z warkoczami, w rogatych czapkach, wytatuowani po pachy, wyposażeni w niezliczone, wielobarwne chorągwie i totemy, wymawiający magiczne formułki, w osobliwy sposób ryczący do kamerek w telefonach, wspinający się po ścianach, drapiący się po genitaliach. To wszystko, rzec trzeba, musi być znakiem nowej ery. Ale było też przede wszystkim widowiskiem, od którego nie sposób było oderwać oczu choćby na sekundę. Atak na siedzibę amerykańskiego parlamentu, taki atak, w takiej aurze i kolorystyce, zlecony przez urzędującego prezydenta Stanów Zjednoczonych, to, zważmy, czysta magia, to wydarzenie wcześniej nie do zmyślenia, choć zmyśla się przecież od wieków różne dramatyczne historyjki. To mogło się wydarzyć tylko w Stanach, gdzie pokłady tego, co niewyobrażalne, są grubo grubsze niż tradycyjna polska gościnność i tolerancja.

By na koniec rzucić garstkę spostrzeżeń dotyczących oficjalnych, polskich reakcji na wydarzenia w Waszyngtonie, wypada pierw odnotować, że wszyscy, nie tylko wschodni i środkowi Europejczycy, poczuli powiew dziwnego uczucia, dla jednych miłego, dla innych wstrętnego i przykrego. Oto przez tyle dziesięcioleci Ameryka kładła nam do głowy jak żyć – od 6 stycznia zapewne długo tego robić nie będzie. Wypada wyrazić też odrobinkę żalu i współczucia, że doprawdy nie jest dziś łatwo być tradycyjnym republikaninem czy człowiekiem prawicy w starym stylu. A teraz nasi. Oto przez dłuższy czas zastanawialiśmy się, jak ująć funkcję, a może rolę polskiej polityki i polskich – za przeproszeniem – liderów po 1 stycznia 2021 r. Pisaliśmy na brudno jedno zdanie, za nim drugie, zmienialiśmy szyk, dodawaliśmy przymiotniki albo je usuwaliśmy, zdania były podrzędnie bądź współrzędnie złożone, głównie – mówiąc wprost – przekombinowane, więc na koniec uznaliśmy, że takie wystarczy: Nie ma głupstwa, którego polityk polskiej prawicy nie jest w stanie powiedzieć publicznie. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

weź, czytaj!

zanim zabraknie

Zamów nasze *the best of* – tematyczne numery „Tygodnika Powszechnego. Wydania Specjalnego", zanim ich nakłady się wyczerpią. Napisz na adres: **zamowienia@TygodnikPowszechny.pl**, my zajmiemy się resztą.

Do kompletu 4 wybranych wydań piąte dodajemy GRATIS*!

* Cena pojedynczego wydania archiwalnego – 15 zł.

i w prenumeracie:

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
  ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
  Bank Pekao SA
  nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 660 692 101 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ*

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	420 zł	540 zł
Półroczna (26 numerów)	240 zł	300 zł
Kwartalna (13 numerów)	130 zł	160 zł
Pokolenia**	365 zł	
Karta Dużej Rodziny***	365 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY. WYDANIE SPECJALNE" W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM"

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	490 zł	610 zł
Pokolenia** + 4 wydania specjalne	430 zł	
Karta Dużej Rodziny*** + 4 wydania specjalne	430 zł	
4 wydania specjalne	**75 zł**	

* ważny od 2 grudnia 2020

** z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

*** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY

SALESmanago
marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

REKLAMA

DZIĘKUJEMY, ŻE JESTEŚ Z NAMI!

Przekaż 1% swojego podatku
POLSKIEJ AKCJI HUMANITARNEJ
KRS 0000 136 833

pah
Polska Akcja Humanitarna